

*Stefania Jagielnicka*

# Spragniona miłości



**Stefania Jagielnicka**

**Spragniona miłości**

## Rozdział 1

Mała Kazia budzi się w środku nocy. Otwiera oczy i widzi w mroku zwisającego nad nią tatusiowego siusiaka. Jest ogromny i złowrogi. Dziewczynka wpatruje się w niego rozszerzonymi z przerażenia oczyma. Chce krzyknąć, lecz nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu.

Skonfundowany nagi mężczyzna szybko wychodzi z pokoju. Zszokowane dziecko długo leży bezsennie, trzęsąc się ze strachu. Gdy wreszcie nad ranem usypia, dręczy je koszmarny sen:

Widzi ledwo tłące światełko, nikłe i mdłe, a w nim przeraźliwe potwory, jakieś stwory nie z tej ziemi, gigantyczne czarne ptaki, monstrualne pająki. Odczuwa niesamowity lęk ściskający gardło i serce.

Dzwoni budzik. Kazia otwiera oczy zlna zimnym potem. Rozgląda się po jasnym, przytulnym pokoiku. Z ulgą uświadamia sobie, że to był tylko sen. Trzeba wstawać i iść do szkoły. Jest już pierwszoklasistką.

Przed wejściem do łazienki biegnie do przedpokoju i wykręca w telefonie numer starszej kuzynki.

— Dzień dobry, Madziu. Muszę z tobą porozmawiać — mówi drżącym głosem.

— Obudziłaś mnie, Kaziu. Jezus Maria, co się stało? — niepokoi się starsza kuzynka.

— Nie mogę powiedzieć, wstydzę się. Przyjedź do nas.

— Nie mam czasu. Opowiedz mi przez telefon.

— Widziałam u tatusia jego... no... tego... Naprawdę wstydzę się powiedzieć.

— No wyduś to z siebie wreszcie. Zobaczyłaś jego członka, tak? — dziwi się kuzynka.

— To jest naprawdę coś obrzydliwego! — krzyczy mała. — Nie wyobrażam sobie, żeby tego siusiaka mieć w sobie. Przecież on jest ohydny. I taki duży.

— Uspokój się. Nic straszego się nie stało, nie histeryzuj. No, co to straszego? Mężczyźni mają takie przyrodzenie. To jest normalna rzecz. Musisz się do tego przyzwyczaić. Jednak, jeśli cię to tak przeraziło, nie myśl o tym na razie. Jak podrośniesz i będziesz miała chłopaka, inaczej na to spojrzysz. A gdzie podpatrzyłaś tatę? To nieładnie.

— Ja go nie podglądałam. Obudziłam się w nocy i zobaczyłam... no... tego... to... przyrodzenie tatusia. Stał nagi przy moim łóżku.

— Niemożliwe. Chyba ci się coś przyśniło.  
— Nie. Nie przyśniło mi się.  
— Opowiedz spokojnie, jak to było.  
— Już ci powiedziałam. Obudziłam się nagle i ujrzałam, że zwisa nade mną... no to... Jak tatuś zobaczył, że się obudziłam, uciekł w popłochu z pokoju.  
— Dziwne. I nic więcej sobie nie przypominasz? Nic innego się nie wydarzyło? Jesteś tego pewna?  
— A co się miało wydarzyć? Było tak, jak mówię.  
— Może zdarzyło się coś... złego. A co ci się śniło?  
— Nie pamiętam. Po wyjściu tatusia długo nie mogłam usnąć. Udało mi się dopiero nad ranem. I wtedy przeżyłam we śnie coś... strasznego, ale nie potrafiłabym tego opowiedzieć.  
Nie podoba się to Magdzie, jednak nie dopytuje się o szczegóły.  
— Wiesz, co? To był sen. To, że widzisz nagiego tatę. Jestem pewna, że to był sen. W twoim wieku ma się takie sny. Zapomnij o tym — kończy rozmowę.

Jednak dorastająca dziewczynka nie potrafiła tego zapomnieć. Zastanawiała się nieraz, czy nie zwierzyć się najbliższej przyjaciółce Anecie, ale się wstydziła. Często o tym myślała. Wiecznie dręczyły ją koszmary senne.

Chyba z tego powodu wiosna jej życia obrosła w mroczne przeczucia i rozdzierającą tęsknotę. Zagłuszał je śpiew ptaków i sny o romantycznej miłości. Zakochiwała się wiecznie, marząc o uściskach, o pocałunkach, o czułości doznawanej w dzieciństwie ze strony ojca. Gdy zaczęła chodzić na dyskoteki, ziściły się te marzenia. Ścisnęła się z chłopakami, całowała, lecz kiedy odmawiała zbliżenia, którego się panicznie bała, żaden nie chciał się z nią więcej spotykać. Za każdym razem przeżywała to dramatycznie. Czuła się wiecznie odrzucana. Wpadała w rozpacz, która — na szczęście — nie trwała zbyt długo. Wkrótce zakochiwała się w kimś innym. I znów żyła nadzieją, że to będzie romantyczna miłość. Pragnęła być kochaną. Brakowało jej pieszczot taty, które skończyły się w wieku dojrzewania.

Często marzyła o tym, jak to będzie ten pierwszy raz, kiedy znajdzie się sam na sam z ukochanym. Wprawdzie wyobrażała go sobie całkiem mgliście, bo nie miała pojęcia, jakby to było, jednak odmalowywała sobie tak... odświętnie jako coś pięknego, najpiękniejszego w życiu. Jako coś, po co właściwie żyła. W końcu odważyła się spytać o to Magdę.

— Różnie to bywa, ale na ogół zaczyna się od pocałunków — wyjaśniła kuzynka. — Następnie mężczyzna wszystko z ciebie zdejmuje, bierze cię na ręce i zanosz do sypialni. Całując cię po całym ciele, sam rozbiera się błyskawicznie, kładzie się na tobie, pieści twoje piersi i wtedy... reszta odbywa się spontanicznie.

Zaboli, ale tylko przez moment. Nawet do głowy ci nie przyjdzie, żeby się bać jego członka. W ogóle nie będziesz o tym myślała... Tak było w moim przypadku, ale może też być inaczej.

\*\*\*

Ojciec Kazi pochodził z rodziny repatriantów ze Wschodu. Dziadkowie mieli trzech synów i córkę — ciocię Irenkę, „starą pannę z powodu wygórowanych aspiracji”, jak mawiał o niej tata.

Z tą ekstrawagancką kobietą wiązało się pierwsze traumatyczne wspomnienie dziewczynki:

Ciocia Irenka leżała w trumnie na katafalku. Bez makijażu, bez fryzury, z siwym odrostem. Zawsze była taka piękna, żywotna, elokwentna, energiczna, wprost pełna życia. W pełni życia. Kazia wyobraziła sobie, jak bardzo ciocia musi się wstydzić, że wszyscy oglądają ją w takim stanie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nikt poza nią nie płakał. Jak to możliwe? Przecież to było takie straszne, ta śmierć! Często spotykana, bliska osoba, piękna kobieta lubująca się w jaskrawych kolorach, czym ściągała powszechną uwagę, zamieniła się w pocerniałe zwłoki w czarnej sukni. W powietrzu unosiła się jakaś złowroga woń przemieszana z zapachem kwiatów.

Nigdy już cioci nie zobaczę, nigdy już nie będę mogła z nią porozmawiać — rozpaczała dziewczynka. — Pustka po niej zostanie. Puste miejsce przy stole. Nic. Po prostu nic... To tak jakby nagle powstała dziura w niebie.

— Przestań wreszcie ryczeć! — zezłościła się w końcu jej mama, gdyż przez cały dzień po pogrzebie pochlipywała po kątach. — Ciekawa jestem, czy po mojej śmierci też będziesz tak płakała?

— Wtedy chyba umrę z rozpaczy, mamusiu — zapewniła. — Dlaczego ludzie muszą umierać? — spytała. — To takie straszne!

Przez długi czas modliła się za duszę cioci Irenki, a ona wiecznie ukazywała się jej we snach. Nie mogła się nadziwić, jak to możliwe, że ona żyje, skoro widziała ją w trumnie. Czasami bała się, ale na ogół godziła się z tym, że ciocia dalej żyje, mimo swojej śmierci.

Dwaj bracia ojca ukończyli studia, pożenili się i wyprowadzili się z domu. Natomiast jej ojciec kontynuował rodzinną tradycję. Po skończeniu nauki w technikum samochodowym objął po ojcu warsztat. Mieszkał wraz z żoną, córką i rodzicami w ich dawnym dużym mieszkaniu w najgorszej, nędznej i brudnej dzielnicy Bytomia, na Rozbarku, przy ulicy Królowej Jadwigi. Wyremontował je, urządził nowymi meblami, lecz nie wyprowadził się z odstręczającej kamienicy, bo

w pobliżu, przy przelotowej ulicy Witczaka, znajdował się jego świetnie prosperujący warsztat samochodowy. Zmodernizował go i zatrudnił trzech pracowników. Powodziło mu się o wiele lepiej niż jego wykształconym braciom.

Kochał żonę, zaspokajał jej wszystkie pragnienia, nigdy nie zdradził, jednak czuł się w tym małżeństwie samotny. Kobieta nie знаła czułości, której był spragniony. Gdy urodziła się Kazia, przelał na dziecko całą miłość odtrącaną na co dzień przez oschłą kobietę. Opiekował się nim jak najlepsza matka, nosił je na rękach, pieścił. Córeczka była jego oczkiem w głowie. Towarzyszył jej w zabawach, nauczył jeździć na rowerze, spełniał każde życzenie, czytał bajkę na dobranoc. Najbardziej lubiła *Kubusia Puchatka*. Bardzo mu współczuła, gdy w zimie padał śnieg, a jemu marzły paluszki. Nawet później, gdy dorosła, w ciężkich chwilach szeptała:

„I nie wie zwierz ni człek, i nie zwierz ni człek” ...

Była to mantra, która działała na nią pocieszająco i uspokajająco.

Gdy się złościła, słowa te zastępowały cisnące się na usta przekleństwo.

I nie wie zwierz ni człek, jaka jestem wkurzona! — krzyczała wówczas.

Jednak na ogół wystarczało powtarzanie w kółko: „I nie wie zwierz ni człek, i nie wie zwierz ni człek.”

Od czasu, gdy ojciec wycofał się z ciepłych gestów, poczuła się odtrącona i osamotniona. Uwielbiający ją dziadkowie już nie żyli, a oschła z charakteru matka nie potrafiła okazać serca. Kazia zwróciła się ze swoimi problemami do córki jednego z braci ojca. Starsza kuzynka Magda stała się jej powierniczką. Mieszkała teraz w Katowicach i studiowała prawo. Nie znajdowała zbyt wiele czasu dla podziwiającej ją kuzyneczki.

## Rozdział 2

Coraz gorzej czuła się w rodzicielskim domu, który po śmierci dziadków stał się ponury. Kiedy żyli, hołubili ją i spędzali z nią wiele czasu. To oni nauczyli ją pacierza i wierszyka: „Kto ty jesteś? Polak mały”. Z tym, że słowa „Polak mały” zamienili na „Polka mała”. Wieczorami rodzice na ogół oglądali telewizję, a babcia i dziadziuś, przy jej akompaniamencie na pianinie, śpiewali wraz z nią patriotyczne piosenki, których ją nauczyli, a które znali od swoich rodziców. Do dziś je pamiętała i gdy ogarniał ją żal po ich śmierci, grała je sobie i śpiewała. Kiedy umarli, jedno po drugim, najpierw dziadziuś, a babcia w niespełna pół roku później, skończyły się te wspaniałe wieczory, ponieważ rodzice w ogóle się takimi pieśniami nie interesowali. Jej natomiast przypadły do serca. Na przykład:

*Legiony to żołnierska nuta,*

*Legiony to straceńców los,*

*Legiony to żołnierska buta,*

*Legiony to ofiarny stos.*

*My pierwsza brygada,*

*Strzelecka gromada,*

*Na stos!*

*Rzuciliśmy*

*Nasz życia los,*

*Na stos, na stos!*

**lub**

*Wojenko, wojenko,*

*cóżeś ty za pani,*

*że za tobą idą,*

*że za tobą idą*

*chłopcy malowani,*

*albo*

*O mój rozmarynie*

*rozwijaj się,*

*o mój rozmarynie*

*rozwijaj się.*

*Ułani werbują,*

*strzelcy maszerują,*

*zaciągnę się.*

Najbardziej lubiła „Czerwone maki na Monte Casino”.

Gdy wracała ze szkoły dziadkowie witali ją na progu. Cieszyła się już po drodze na spotkanie z nimi. Na stole w kuchni czekały trzy nakrycia, bo ojciec i matka wracali do domu później i we dwójkę jedli odgrzany przez babcię obiad.

Podczas ich wspólnego posiłku dziadek zawsze opowiadał coś ciekawego.

Z rozczuleniem wspominał szczęśliwe dzieciństwo w Kałuszu położonym w pobliżu Stanisławowa, wojewódzkiego miasta Podola. Miasteczko było bogate, ponieważ znajdowała się w nim kopalnia eksportowanych za granicę soli potasowych. Słynęło też jako siedziba firmy Felczyńskich — kolebki polskiego ludwisarstwa, która po wojnie przeniosła się do Przemyśla i na Śląsk, gdzie w dalszym ciągu kontynuowała działalność jako jedyna w Polsce odlewnia dzwonów kościelnych.

Najbardziej utkwił Kazi w pamięci okolony drewnianym krużgankiem, biało otynkowany dom, z niewiadomych względów kojarzący się jej z dworkiem z „Pana Tadeusza”. Głównie chyba z powodu owej bieli „widocznej z daleka”, nieznaney na górniczym Śląsku, do którego dziadkowie jako dzieci zostali wraz z rodzicami



przesiedleni. Większość mieszkańców Kałusza pracowała w kopalni, podobnie jak mieszkańcy Bytomia. Różnili się jednak diametralnie, tak samo jak miejsca ich pracy. Biel soli potasowych i czerń węgla wyznaczały symbolicznie kontrast między rodzinnymi stronami dziadków a ponurym miejscem, w którym przyszło im żyć obecnie. Ich zdaniem oczywiście. Kazia czuła się w Bytomiu doskonale, wydawał się jej wspaniałym miastem, jednak ten Kałusz wspomniany przez dziadka musiał być jeszcze wspanialszy.

Przedwojenna Polska stanowiła dla dziadków „raj utracony”. Nie było już bogatego Kałusza, zastąpiło go jakieś biedne ukraińskie miasteczko. Dziadek opowiadał, jak jego rodzice odwiedzili w czasach Związku Radzieckiego siostrę pradziadka, która wyszła za mąż za Ukraińca. Wrócili stamtąd załamani.

— Tam teraz panuje „bród, smród i ubóstwo”, opowiadała mi mama — wspomniał kiedyś dziadek. — Wszędzie śmierdzi. W domach, na ulicach. Wszędzie. Największe rozczarowanie przeżyli rodzice w Stanisławowie przemianowanym na Iwanofrankiowsk. Sapieżyńska, najpiękniejsza ulica w tym wojewódzkim mieście, kusząca przed wojną reklamami i luksusowymi towarami na wystawach sklepów, zamieniła się w pustą, zaniedbaną, z walącymi się domami, na rogu wybudowano ohydny betonowy dom towarowy, gdzie w ogóle nie było żadnych towarów tylko kolejki ludzi zapisujących się na ich dostawy... Zabytkowe budowle i kościoły zupełnie zniszczały... Lepiej o tym nie myśleć — machnął ręką.

Nie mogła odżałować, że dziadkowie nie doczekali rozpadu Związku Radzieckiego i niezależnienia się Polski.

Po ich śmierci z niechęcią wracała z nowoczesnego budynku szkoły do starej, czarnej kamienicy. Gdy wchodziła do paskudnej, odrapanej, śmierdzącej uryną bramy i na drewniane trzeszczące schody, najchętniej uciekłaby na koniec świata z tego obrzydliwego miejsca. Ugotowany przez mamę obiad nie był tak smaczny, jak ten przygotowywany przez babcię.

Dopiero po śmierci dziadków odczuła, że nie ma wytęsknionego przez nią piękna w tym zakątku świata. Przedtem tego nie zauważała. Teraz widziała, że ulica jest brudna i zaśmiecona... No i w ogóle... Beznadzieja! Czuła, że szczęście jest... zamknięte w walizce. Chciała wyjechać daleko w świat, wszystko porzucić, zaspokoić pragnienia i tęsknoty, znaleźć skarby nowych wrażeń. Czasami śniła, że wchodzi nocą do nieznanego domu w tej czarownej przedwojennej Polsce ze wspomnień dziadków, gdzie spokojny sen porusza ludzkie piersi, i znajduje tam bratnie dusze. Złe myśli umierają śmiercią naturalną. Szpak śpiewa pieśń poranną,

ziszczają się marzenia...

Często stawała przy wychodzącym na podwórko oknie, przed którym rosła lipa. Najbardziej lubiła się jej przyglądać podczas burzy. Smagane szpicrutą wiatru drzewo wymachiwało rozpaczliwie gałęziami, jakby przyzywało na ratunek.

Co zrobić? — myślała. — Jak pomóc? Jak odwdzińczyć się za świeże powietrze, za radość oczu, za cień chroniący przed skwarem, za pocieszenie w smutku?

Kochała drzewa. Na wagary ze swoją najlepszą przyjaciółką Anetką zawsze chodziła do Parku Miejskiego, gdzie królowało piękno natury. Dziewczynki poznały się w pierwszym dniu nauki. W pachnącej farbą, świeżo wymalowanej szkole zderzyły się ze sobą tornistrami przy wejściu.

— Przepraszam — wyszeptała zalekniona Kazia i spojrzała w roześmiane chabrowe oczy pulchnej dziewczynki z dołeczkami w policzkach.

— Nic się nie stało — odpowiedziała Anetka, uśmiechając się szeroko.

— Idziesz do pierwszej A?

— Tak, ty też? To idziemy razem.

Już od tego momentu dziewczynki poczuły do siebie sympatię, chociaż — a może właśnie dlatego — różniły się wyglądem i usposobieniem. Kazia była introwertyczna, małomówna, melancholijna. Podczas lekcji myślała o niebieskich migdałach. Natomiast Anetka miała niezwykle temperament, często chichotała. Śmiech wydobywał się jej z gardła lekko i swobodnie, jakby zawsze gotowy był do kolejnego wybuchu. Jak zaczajony pod skórą burzył się, wprost kipiał w krwi. Wystarczył jakiś drobiazg, żeby się roześmiała. Musiała nieraz siłą trzymać się ławki i mocno zagryzać usta, żeby nie parsknąć nagle podczas lekcji przy jakimś dziwnym słówku wypowiedzianym przez nauczycielkę. Niewiele było trzeba, żeby pobudzić ów wezbrany, zanoszący się sam sobą dziecięcy śmiech, który eksplodował przy byle iskierce, zawsze obecny i zawsze w gotowości, swawolny i łobuzerski. Nazywano ją „chichotką”. Potrafiła nim zarazić poważną przyjaciółkę, rozpędzając wiszące nad nią chmury po każdym, kolejnym zawodzie miłosnym.

Gdy się poznały, Kazia była chudą, mysią blondyneczką z warkoczykami i wytrzeszczonymi czarnymi oczami. Dopiero w okresie dojrzewania pociemniały jej włosy i przybrała na wadze. Natomiast Aneta wyglądała jak aniołek z jasnymi lokami, ogromnymi bławatkowymi oczami i małym noskiem.

Nauczycielka zauważyła, że podczas zabawy na podwórku, od której zaczęła zajęcia z dziećmi, dziewczynki mają się ku sobie, więc posadziła je obok siebie. I odtąd stały się nierozłączne aż do matury. Czasami sprzeczały się, obrażały się na siebie, lecz nigdy nie trwało to zbyt długo, gdyż nie mogły się bez siebie obejść.

W liceum zaprzyjaźniły się z nową koleżanką, Słazaczką Elą. Właściwie wyłącznie z jednego powodu. Obie miały dwóję z matematyki, a Ela była najlepszą uczennicą w klasie, lecz niestety z tego powodu strasznie zarozumiała. Arogancka

i zgryźliwa. Chociaż miała zdolności do przedmiotów ścisłych, to jednak tak „wkuwała” humanistyczne, że w nich też brylowała. Nikt jej w klasie nie lubił, jedynie Kazia i Anetka przyjaźniły się z nią, ponieważ odpisywały od niej rozwiązania zadań matematycznych. Jednak dziewczynka nie pasowała do nich i nie podzielała ich zainteresowań. Była szara od stóp do głów. Szare włosy, szare oczy, szara cera z haczykowatym nosem, nawet sukienka. Czyniła wrażenie myszy, która dopiero co wyszła spod ziemi. A w dodatku miała zęza. Wiele wycierpiała w powodu tej wady wzroku. Od dziecka nosiła specjalne okulary, nie zdejmowała ich nawet na noc. Wytrwale robiła zalecone przez lekarza ćwiczenia, jednak nic to nie dało. Jej rodzice obawiali się, że po operacji mogą pojawić się różne problemy, nawet utrata wzroku, więc trudno im było się zdecydować. W końcu jednak, gdy była już w dziewiątej klasie, poddała się operacji. Niestety, po czterech miesiącach zez powrócił. Należało przeprowadzić kolejną, jednak ona nie chciała już o tym słyszeć, ponieważ po tej pierwszej pojawiła się opuchlizna i krwiak. Długo się męczyła, zanim oko się wyrównało. Obawiała się, że druga operacja też pomoże tylko na jakiś czas. A przy tym narazi ją znów na przykre dolegliwości. Kazia współczuła jej i chyba dlatego ją lubiła.

Natomiast Aneta wręcz jej nie znosiła, nie tylko z powodu jej przykrego charakteru, lecz również ze względu na brak urody. Wiecznie się z nią sprzeczała. Nie utrzymywała z nią bliższych kontaktów, ale w dalszym ciągu korzystała z pomocy w matematyce. W odróżnieniu od niej, spędzającej czas głównie na nauce, obie serdeczne przyjaciółki były zagorzałymi kinomankami, kolekcjonowały fotografie aktorów, rozczytywały się w powieściach oraz kobiecych i plotkarskich pismach, z czego Ela często kpiła. Ona czytała wyłącznie szkolne lektury. Irytowało ją też ich przesadne dbanie o wygląd i strojenie się.

Matka Kazi również patrzyła na to niechętnym okiem, chociaż sama przesiadywała u fryzjera i kosmetyczki. Była korpulentną brunetką o dużych malachitowych oczach, które dziewczynka po niej odziedziczyła. Kobieta uważała, że córka powinna bardziej przykładać się do nauki. Tymczasem ta nie lubiła odrabiania lekcji. Woląa rysować, grać na pianinie i czytać powieści, co czyniła nieraz nawet w szkole, trzymając książkę pod ławką na kolanach. Ojciec opłacał prywatnego nauczyciela muzyki, który przychodził do nich dwa razy w tygodniu. Z nauki gry na fortepianie wyniosła umiłowanie klasycznych utworów. Często słuchała płyt CD i chodziła z rodzicami do opery. Urzekowało ją królujące tam piękno, a muzyka uszczęśliwiała i pogłębiała egzaltację. Nie słuchała uszami, lecz sercem. Identyfikowała się z tenorem lub sopranistką, wyśpiewującymi całą pierś miłość, rozpacz, wszelką namiętność. Marzyła wówczas o ukochanym darzącym ją taką samą czułością, jak ojciec w dzieciństwie. To opera ukształtowała świat jej uczuć i wyobraźni. Łatwo wpadała w zachwyt i uwielbienie.

### Rozdział 3

Kazia wiecznie była zakochana. Pisała długie, miłosne listy do starszych chłopców, lecz oni ją ignorowali. Gdy jednak jeden z kolegów z maturalnej klasy wziął na serio jej wyznania i usiłował zgwałcić, zaniechała tej staromodnej epistolografii, zastępując listy krótkimi, tajemniczymi esemesami. A przede wszystkim starała się atrakcyjnym wyglądem ściągnąć na siebie uwagę obiektu swych wzdychań. Po wielu niepowodzeniach ograniczyła się do marzeń, z których zwierzała się przyjaciółce Anecie i kuzynce Magdzie.

Tata nie skąpił pieniędzy na ciuchy i kosmetyki, w których lubowała się od najmłodszych lat. Wiedziała, że będzie kosmetyczką, by poprawiać kobiecą urodę, a w tym zawodzie matematyka nie była potrzebna. Dobre stopnie miała tylko z trzech przedmiotów — z zajęć artystycznych oraz z języków polskiego i niemieckiego, który opanowała dość dobrze dzięki babce — Ślązaczce rozmawiającej z nią po niemiecku; szczęśliwej, że przynajmniej wnuczka lubi ten język, bo córka w ogóle go nie знаła.

Ojciec był z tego niezadowolony.

— Twoja mama chce z niej zrobić Niemkę! — krzyczał do żony.

— Jaką Niemkę? Zwariowałaś! Przecież to dobrze, że będzie znała język sąsiadów.

— Sąsiadów? Wrogów!

— Niemcy to nasi przyjaciele. Dobra znajomość niemieckiego może się w życiu przydać... Zresztą... Niech ci będzie, że to nasi wrogowie. Ale język wroga też dobrze jest znać.

Chyba przekonała go tym argumentem, bo nigdy więcej się z nią o to nie spierał.

Kazia była świadkiem tej awantury, lecz nie zastanawiała się nad tym, bo miała na głowie inne problemy. Naraziła się wychowawczyni z powodu mocnego makijażu, który ta starała się jej wybić z głowy, grożąc obniżeniem stopnia ze sprawowania.

Co ona się tak do mnie przyczepiła? Jak mogła powiedzieć, że wyglądam jak prostytutka spod latarni — denerwowała się. — Przecież inne dziewczynki też się malują... No tak, trochę dyskretniej. Chyba będę musiała robić takie cieniutkie, niedostrzegalne kreski nad oczami, lekko potuszować rzęsy i nie malować ust, tylko, niestety, będę brzydsza z tymi wypukłymi powiekami. Cóż, muszę, bo mama chyba by mnie wyklęła, gdybym miała obniżoną notę ze sprawowania.

Przesadne zainteresowanie wyglądem miało też związek ze zmianą zachowania ojca. Ubzdurzyła sobie, że przestała mu się podobać. Obawiała się, że wobec tego nie spodoba się też żadnemu innemu mężczyźnie. Starła się więc za

wszelką cenę poprawić urodę. I to się stało dla niej najważniejsze.

Po wielu romansowych niepowodzeniach doszła do wniosku, że już nigdy nikt jej nie pokocha. Postanowiła spełnić się w pracy zawodowej. Po zdaniu matury ukończyła kurs kosmetyczny. Rozpoczęła praktykę w katowickim oddziale renomowanego instytutu doktor Ireny Eris, gdzie poznała wszelkie arkana kosmetyki pielęgnacyjnej. Uczestniczyła w szkoleniu samodzielnego prowadzenia gabinetu w ramach tak zwanej „franczyzy” zapewniającej jednolity wizerunek wszystkich punktów należących do sieci Eris. Wkrótce z zapalem przystąpiła do urządzania własnego gabinetu w Chorzowie, bo mieszkała w pobliżu tego miasta, a tam nie było jeszcze punktu tej sieci. Zataiła swoje nie ulubiane imię Kazimiera. Była teraz Leną i tym imieniem ochrzciła swój salon kosmetyczny.

Nie narzekała na brak klientek, ponieważ okazało się, że jest predysponowana do tego zawodu. Spełniała się w nim. A przy tym wykazywała niebywałą przedsiębiorczość i pomysłowość. Zatrudniła fryzjerkę, manikiurzystkę, recepcjonistkę. Był to gabinet kosmetyczny co się zowie. Oferowano w nim najnowsze usługi upiększające. Manikiurzystka skończyła kurs robienia tipsów, a także przedłużania rzęs, fryzjerka potrafiła nawet przedłużać włosy, a Lena była mistrzynią masażu twarzy i sporządzała dla swoich klientek własne firmowe kremy.

Dla klientek stała się kimś w rodzaju powierniczki. Stwarzała im relaksową atmosferę, w której podczas zabiegu otwierały serce, zdradzając jego tajniki. Bardzo jej to odpowiadało. Wczuwała się w ich problemy. Najbardziej lubiła, gdy zwierzały się z miłosnych zawodów lub kłopotów w małżeństwie. Pocieszała się wówczas, że nie tylko ona ma pecha. Stopniowo nabierała poczucia własnej wartości.

Pomogło w tym też, stanowiące rekompensatę za odtrącenie przez ojca, zbliżenie do matki, która była z niej teraz dumna. Regularnie przyjeżdżała do gabinetu i korzystała z darmowych zabiegów. Chwaliła gust i przedsiębiorczość córki. Lena czuła się tym podbudowana, bo dotąd przyzwyczajona była do strofowania i połajanek ze strony matki. Teraz wszystko się zmieniło. Była górą, dbając o poprawienie matczynej urody i wysłuchując narzekań, ta bowiem z niczego nie była zadowolona. Sama jednak nie zwierzała się matce, która tak bardzo była skoncentrowanej na swojej osobie, że nie interesowały jej zbytnio problemy córki, której zazdrościła samodzielności i niezależności. Sama nigdy tego nie zaznała, choć bardzo pragnęła. Nie chciała być „kurą domową”. Ukończyła technikum ekonomiczne, jednak nie znalazła zatrudnienia. Wciąż narzekała, że nie ma swoich pieniędzy.

## Rozdział 4

Lena wspaniale czuła się w kupionym dla niej przez ojca mieszkaniu na Osiedlu Tysiąclecia w Katowicach, które tonęło w zieleni. Przed domem znajdował się gazon z różnymi gatunkami kwiatów i rozciągał się staw otoczony ścieżką rowerową, po której czasami jeździła. Zachwycona była zmianą otoczenia po wyrwaniu się z ponurej dzielnicy Bytomia.

Mieszkała w pobliżu najstarszej części Parku Śląskiego ze słynną Żyrafą przy wejściu, ze wspaniałymi bukami, kasztanami, brzoźami, lipami, z przepięknym Rosarium, atrakcyjnym Zoo i Wesołym Miasteczkiem. Najbardziej lubiła przechadzać się po Rosarium, podziwiać różnorodne, dorodne róże. Kochała naturę, stapiała się z nią.

Chorzów niezbyt się jej podobał, lecz przebywała tam tylko w swoim gabinecie. Natomiast w Katowicach czuła się doskonale. Od dziecka lubiła wielkomiejski ruch i gwar. Zadowolona była, że tak blisko ma teraz do Teatru Śląskiego i do galerii artystycznych, ponieważ często w tych miejscach gościła. Cieszyła się, że udało się jej wyrwać z ponurego, walącego się Bytomia. Zmiana otoczenia uszczęśliwiała ją.

Lubiła nowoczesność, lecz przede wszystkim uwielbiała starocie, antyki, zwiedzanie zabytków. Często ogarniała ją tęsknota za pięknem gotyckich katedr i starych zamków, z którymi się zetknęła podczas urlopu we Francji. Zwiedziła też Włochy — Wenecję, Mediolan, Florencję i Rzym — gdzie przeżyła istne olśnienie.

Największe estetyczne wzruszenia wzbudził w niej Rzym. Była tam jesienią. Widziała jak zwiewne mgły unoszą się nad miastem uspionym dawnych wieków wspomnieniem. Odnosiła wrażenie, że przetrwały tam jedynie dobro i piękno. Niepieszno im było do walki z plugastwem i złem, które na siłę się wciskało. Drzemały sobie spokojnie, raz po raz jedno oko otwierając. Śledziły, jak ich wrogowie nawzajem się wykańczają. Wiedziały, że „przemija postać tego świata”, a pozostaną tylko one — dobro i piękno. Tak to Lena odczuwała.

W niedzielę często jeździła do Krakowa, gdzie spotykała się z Anetą, która po maturze rozpoczęła studia aktorskie. Oczarowana chodziła po ulicach Starego Miasta urzekającego ją metafizyczną tajemniczością. W powietrzu snuła się aura dobrych duchów przeszłości utrzymujących dziejową ciągłość w tym niezwykłym mieście, uszanowanym nawet przez hitlerowskich zbrodniarzy. Wokół niej wibrowały fluidy szczęścia, radości i miłości, o której tam szczególnie często marzyła, bo spotykała w lokalach i na ulicach przystojnych mężczyzn, jakich w Katowicach rzadko widywała.

Jeździła do tego miasta na ogół przy pięknej pogodzie, gdy niebo było bezchmurne. Miała stałą trasę. Kierując się w stronę Teatru im. Słowackiego, łapczywie pochłaniała wzrokiem Planty i dawne budowle. Przed teatrem zatrzymywała się, przyglądając się jego pięknej neobarokowej fasadzie ozłoczonej promieniami słońca. Przechodząc obok Barbakanu, wchodziła na dziedziniec, stała tam przez chwilę, rozpamiętując juwenaliowe zabawy, w których do niedawna, co roku uczestniczyła wraz z Anetą. Następnie szła powoli ulicą Floriańską, oglądając wystawy sklepów. Gdy znalazła się na Rynku, niezmiennie doznawała oczarowania. Zachwycała ją szczególnie atmosfera tego pięknego zespołu renesansowej architektury z oryginalnymi, jedynymi swego rodzaju sylwetkami Sukiennic i Bazyliki Mariackiej. Chłonęła ekscytującą atmosferę wypełnionych po brzegi tarasów kawiarni, z których dochodził pomruk ściszonych rozmów i tłumionego śmiechu, jakby w obawie, by nie przysł czar tego natchnionego miejsca.

Następnie udawała się ulicą Grodzką na Wawel. Po wejściu do Katedry zawsze odczuwała wzruszenie. Drżała na całym ciele, jej oczy zachodziły mgłą. Ogarniała ją tęsknota za życiem w dawnych historycznych czasach, kiedy to w tym miejscu władcy przyjmowali królewską koronę, zawierali śluby, chrzcili dzieci. Kontemplowała każdy szczegół, chodziła dokoła, podziwiając wciąż na nowo wszystkie kaplice. Najdłużej stała przed Czarnym Krzyżem, pod którym ongiś modliła się Królowa Jadwiga. Wyobrażała sobie, jak wiele wycierpiała ta węgierska młodzianka dziewczyna zakochana w Wilhelmie Habsburgu, kiedy zmuszono ją do wyrzeczenia się miłości i do małżeństwa dla dobra przybranej ojczyzny ze starszym człowiekiem, księciem litewskim Jagiełłą. Królowa ta uczyniła tak wiele dobra, że została świętą.

W komnatach wawelskich Lena wyobrażała sobie przechadzającą się w nich królewską świtę. Wyobrażała sobie, że jest jedną z dworskich dam. Potem spacerowała po dziedzińcu. Słuchała klasycznej muzyki nadawanej ze sklepu z płytami CD, podziwiała piękne kwiaty. Siadała w znajdującej się tam kawiarni i ciekawie przyglądała się turystom.

Po królewskim obiedzie u „Wierzynka” szła do Muzeum Narodowego, gdzie spędzała wiele czasu. Stawała przed niektórymi obrazami jak wryta. Nogi przyrastały jej do ziemi, unieruchomione impulsem z rzeczywistości duchowej, lecz także zmysłowej, bo pobudzającej bicie serca. Odnosiła wrażenie, że to jest prawdziwy świat, a rzeczywistość, w której żyła, jawiła się jej jako sen.

Była wiosenna pogodna niedziela. Po bezchmurnym niebie od czasu do czasu przesuwały się małe obłoczki, pogłębiając jego błękit. Na Plantach rozwijały się pąki drzew. Zapach ziemi drażnił nozdrza. Gołębie na rynku gruchały,

kwiaciarki sprzedawały kolorowe tulipany i żółte narcyzy.

Po przemierzeniu rutynowej trasy i zjedzeniu obiadu spotkała się w ogródku kawiarni „Ratuszowej” z Anetą, która po ukończeniu studiów aktorskich została zaangażowana do teatru w Nowej Hucie. Ta piękna kobieta przeżyła niedawno tragedię. Była na inwalidzkiej rencie, gdyż po nieszczęśliwym upadku podczas wykonywania ekwilibrystycznej sceny, doznała ciężkich obrażeń. Utykała i miała trudności z chodzeniem. Na domiar złego porzucił ją mąż dla młodszej teatralnej koleżanki, czego nie potrafiła przeboleć. Przez cały okres studiów byli nierozłączną, szczęśliwą parą. Zaangażowali się do tego samego teatru.

Wszystko zmieniło się po wypadku, poczerniało i zgasło niczym przygnieciony knot świeczki. Wezbrany śmiech, gotowy zawsze do wybuchu, zamarł, utknął w gardle i rzadko wydostawał się na zewnątrz. A chociaż wciąż chyba w niej tkwił, zmieniła się do niepoznania. Stała się ponura i rozgoryczona. Jednak nie poddała się usiłującej ją pożreć rozpacz, która ostrzyła na nią zęby. Postanowiła zostać pisarką.

Lena bardzo się tym przejęła. Podziwiała siłę ducha przyjaciółki, która po utracie możliwości wykonywania wyśnionego zawodu i odejściu męża nie załamała się, mimo perspektywy pozostania kaleką do końca życia. Pisała opowiadania. Całymi dniami, niestrudzenie. Nigdy nie brakowało jej pomysłów. Wysyłała je do literackich periodyków i wydawnictw, nigdy jednak nie otrzymała odpowiedzi. Za tysiąc złotych sama wydała w końcu mały zbiorek, lecz żadna księgarnia nie chciała go przyjąć do sprzedaży. Rozdawała więc książki znajomym i pisała dalej, w nadziei, że w końcu jakieś wydawnictwo przyjmie je do druku. Istniały firmy wydawnicze publikujące za parę tysięcy złotych książki i zajmowały się ich dystrybucją, ale Aneta miała zbyt niską rentę, by sobie na to pozwolić. Lena zaproponowała pożyczkę, lecz ona nie chciała o tym słyszeć. Głównie zależało jej na wydaniu pokaźnego tomu w jakimś renomowanym wydawnictwie, bo te publikujące za pieniądze autora nie miały zbyt dobrej opinii u czytelników i sprzedawały książki w małych ilościach. Wysyłała więc swoje opowiadania do wszystkich dobrych oficyn wydawniczych. Miała już ich taką ilość, że wystarczyłoby na parę książek. Jednak dobre wydawnictwa miały swoich wypromowanych pisarzy i nie kwapiły się do wydawania książek nieznanymi autorów.

Spotkały się późnym popołudniem, ponieważ Aneta przez cały dzień pisała. Uściskały się serdecznie. Lena zamówiła dla nich tradycyjnie kawę i tort czekoladowy. Przyjaciółka była w ponurym nastroju.

— Wiem, że już nigdy nie wyjdę za mąż, bo żaden mężczyzna nie zakocha się w kuternodze. Absolutnie — poskarżyła się.



— Co ty opowiadasz? — zaoponowała Lena. — Jaka kuternoga? Utykasz tylko lekko. Już w szkole wszyscy chłopcy podkochiwali się w tobie. Byłaś najładniejszą dziewczyną w klasie. I w dalszym ciągu jesteś śliczna. Nie widzisz, jak mężczyźni pozerają cię wzrokiem?

— Dopóki siedzę, ale jak wstanę z miejsca i widać, że kuleję, to się odwracają.

— Wmawiasz to sobie. Zobaczysz, że jeszcze przeżyjesz wielką miłość i wyjdiesz za mąż... To ja już nie mam, na co liczyć. Nikt mnie nie chce. Wiesz przecież, jak skończyło się z Igozem. Niby był zakochany, ale porzucił mnie w krótkim czasie. No cóż, nie przejmuję się tym. Spełniam się w pracy. Ty też masz jeszcze inny cel poza małżeństwem. Zobaczysz, że zostaniesz słynną pisarką. Będziesz jeździła na spotkania z czytelnikami i któryś z nich zakocha się w tobie. Masz przed sobą wspaniałą przyszłość. Jak najbardziej.

— Dobrze, dobrze. Nie pocieszaj mnie. Wiesz... najgorsze, że po wypadku straciłam wiarę. Gdybym dalej wierzyła w Boga, tak jak w naszych szkolnych czasach, to przynajmniej mogłabym się modlić o wydanie książki w jakimś dobrym wydawnictwie i mieć nadzieję, że zostaną wysłuchana.

— Ja też nie chodzę do kościoła, ale w Boga wierzę.

— E, tam — machnęła ręką Aneta. — Wiara to bajka wymyślona po to, by ludzie uwolnili się od lęku przed śmiercią. Absolutnie.

— Oj, Anetko! — Lena pokręciła głową z dezaprobatą. — Wielu poważnych, mądrych ludzi wierzy w Boga. A powiem ci więcej. Jestem przekonana, że w przyszłości astrofizycy znajdą dowody na jego istnienie i na to, że stworzył świat.

— Żartujesz! To może uczeni odkryją też, że istnieją krasnoludki? — zakpiła przyjaciółka.

— To ty żartujesz. Ja osobiście odkrywam Boga co dzień.

— Ciekawe, gdzie i jak?

— A w ludziach, w bliźnich. W tobie na przykład... W Krakowie, w tych wszystkich zabytkach, kościołach, muzeach... Albo kiedy słucham Beethovena, Mozarta. Czy takie dzieła mogli stworzyć ludzie? Oczywiście, nie ma materialnego życia po śmierci, ale pozostaje nasza świadomość, nasza dusza — mówiła Lena z zapalem.

— Czy takie dzieła mogli stworzyć ludzie? — powtórzyła Aneta z sarkazmem. — Jak widać lub słysząc, mogli, a nawet to zrobili. Ale jak lubisz nazywać część człowieka „Bogiem”, to nie mam absolutnie nic przeciwko temu.

— Każdy ma w sobie Boga — upierała się Lena. — Ty też, nawet jeśli sobie z tego nie zdajesz sprawy. A wiesz, dlaczego, bo szukasz prawdy. I nawet nie wiesz, że szukanie prawdy to jest szukanie Boga.

— To twoja definicja, a mnie wystarczy z niej „szukanie prawdy”, czyli

zadawanie pytań, poszukiwania odpowiedzi, kwestionowanie ich i poddawanie próbom. Bóg nie jest do tego potrzebny, tym bardziej wiara...

— Ależ ja wciąż znajduję Boga! W literaturze, w sztuce, w muzyce, zwłaszcza w muzyce. Podobno Albert Einstein po wysłuchaniu koncertu Yehudiego Menuhina powiedział: „Teraz dopiero uzyskałem pewność, że Bóg istnieje.” Poza tym Bóg nie jest tylko prawdą, jest czymś więcej. Jest przede wszystkim uczuciem, uczuciem pięknej, czystej miłości. Platonicznej miłości... Zrozum, ateizm jest dobry dla ludzi wykształconych, odznaczających się wysokim poczuciem moralności. Dla takich na przykład jak ty, ale prymitywni bez Kościoła często staczą się na moralne dno.

— Nie. To do mnie nie przemawia, ponieważ istnienie Boga jest mitem, kłamstwem. Pięknym kłamstwem, bo podtrzymuje na duchu miliony nieszczęśliwych ludzi w całym świecie. Jak możesz mówić, że jest prawdą?

— No wiesz? Dla mnie twierdzenie, że nie ma Boga oznacza, że nie ma piękna, dobra, miłości, mądrości, inteligencji, w ogóle wszystkich pozytywnych idei i wartości. Przecież to wszystko istnieje.

— Daj spokój. W sobie trzeba wierzyć, a nie w Boga. W człowieka trzeba wierzyć.

— No oczywiście. Bez wiary w człowieka nie można wierzyć w Boga, chociaż odwrotnie można, jak widać na twoim przykładzie. Niestety ateizm jest o tyle marny, że powstaje na bazie odrzucenia możliwości kary za grzechy...

— A wiara jest marna, bo wynika z obawy przed karą za grzechy.

— Dajmy sobie spokój z tą poważną dyskusją. Powiedz mi lepiej, jak ci idzie pisanie.

— Doskonale. Piszę po całych dniach i sprawia mi to przyjemność. Wciąż przychodzą mi do głowy nowe pomysły, ale... ty mi wreszcie powiedz, co u ciebie. Poznałaś kogoś?

— Na co dzień mam do czynienia tylko z kobietami. I tak już pozostanie do końca życia. Jak miałabym kogoś poznać? Jednak... Wierz mi, jestem szczęśliwa — zapewniła zgodnie z prawdą, gdyż w Krakowie zawsze rozpierała ją radość, zwłaszcza wiosną.

— To opowiedz, co nowego u naszych szkolnych koleżanek.

— O, wiele. Zosia wyszła za mąż i jest w ciąży. Aldona się rozwiodła.

— Niemożliwe, to była taka dobrana para.

— O Eli już ci opowiadałam.

— Wciąż nie daje znaku życia?

— Nie ma sensu o niej rozmawiać. — Lena machnęła ręką z rezygnacją. — Pewnie już nigdy się nie odezwie.

Poplotkowały trochę o koleżankach i innych znajomych, wypily kawę, zjadły po kawałku tortu, po czym Lena odwiozła Anetę do domu i pożegnały się w dobrym nastroju.

Wróciła do Katowic wieczorem, pełna wrażeń i do późna w nocy słuchała koncertu e-moll Chopina. Podczas gdy płynęły dźwięki nasycone niebywałą intensywnością uczuć, uskrzydłone młodzieńczą namiętnością genialnego kompozytora, oddawała się marzeniom o miłości. Nie wierzyła jednak, że przeżyje ją w rzeczywistości. Zaledwie iskierka nadziei tliła w jej sercu.

## Rozdział 5

W poniedziałek przez cały dzień gnębił ją problem, który dał znać o sobie w rozmowie z Anetą. Nie potrafiła pogodzić się z tym, że wieloletnia przyjaźń z Elą skończyła się w tak bolesny sposób.

Po maturze Ela rozpoczęła studia na politechnice gliwickiej i zamieszkała tam w akademiku, ponieważ cała jej rodzina przeniosła się w tym czasie do Niemiec, lecz ona uparła się, że zostanie w Polsce. Po ukończeniu studiów na wydziale górniczym znalazła zatrudnienie w kopalni „Rozbark” w Bytomiu. Rychło awansowała, kupiła mieszkanie, które wspaniale urządziła. Podczas każdego pobytu u rodziców Lena spotykała się z nią, a ona raz w miesiącu przyjeżdżała do gabinetu na zabieg. Z dumą opowiadała o swojej pracy. Po pewnym jednak czasie zrzędała jej mina. Widać było, że coś ją gnębi, ale milczała. Kiedyś jednak po paru kieliszkach, zaczęła narzekać.

— Czasami mam już dość tej pracy. Dziewczyno! Ci na górze to tylko nadużywają eksponowanych stanowisk do realizacji osobistych i klikowych interesów... Ignorancja, machlojki... — Machnęła ręką z rezygnacją. — Oni uniemożliwiają jakiegokolwiek zmiany na lepsze, torpedują każdą dobrą inicjatywę. — Umilkła, patrząc ponuro przed siebie. Po chwili znów zaczęła mówić z rezygnacją.

— Próbowалам coś zmienić. Gdzie tam, nie ma najmniejszej szansy — pokręciła głową. — Tylko podpadłam. Gdybyś wiedziała, jaki to burdel. Mówię ci. Zwariować można.

— Nie przejmuj się, Elu — pocieszała ją Lena. — Nie ma sensu. Nic się nie da zmienić. Tak już musi być... Rób, co ci każą i siedź cicho... Powiedz mi lepiej, czy straciłaś już wreszcie cnotę, bo ja, jak dotąd, niestety nie.

— Wcale mi na tym nie zależy — rzekła z wyższością. — Całe szczęście nie jestem ładna i nikt na mnie nie leci.

W końcu jednak „przyszła kryśka na Matyska“. Ela zakochała się. Jej ukochany był prostym górnikiem, ale za to odznaczał się wspaniałą męską urodą. Pani inżynier bardzo mu imponowała. Podczas wspólnych spotkań siedział ponury i milczał, bo niewiele rozumiał z tego, o czym przyjaciółki rozmawiają. W końcu zagroził Eli, że z nią zerwie, jeśli nie przestanie spotykać się z Leną. Powiedziała jej o tym bez ogródek, z pewną satysfakcją. Nareszcie górowała pod każdym względem. Ona, brzydka, miała przyjaciela, a ładna przyjaciółka nie. Dla Leny był to cios w samo serce. Jednak pocieszała się, że Ela oprzytomnieje i zacznie spotykać się z nią w tajemnicy przed ukochanym. Miała nadzieję, że przynajmniej zaprosi ją na ślub. Niestety, mijały miesiące, a ona nie dawała znaku życia. Lena też nie usiłowała nawiązać z nią kontaktu, ponieważ czuła do niej ogromny żal.

Może jest jakaś poczta — zastanowiła się, gdy po powrocie z gabinetu znalazła się na klatce schodowej. Istotnie, w skrzynce znalazła gruby list z... Niemiec. Spojrzała na nadawcę i osłupiała z wrażenia. Ela przeniosła się do Niemiec, do rodziny! Nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie otworzyła listu, odkładając przyjemność zaznajomienia się z jego treścią w mieszkaniu. W windzie oglądała z zainteresowaniem znaczki pocztowe. Dopiero po przekręceniu klucza w zamku, usiadła wygodnie na wersalce i otworzyła kopertę. Wypadł z niej cały plik zdjęć. Trudno było rozpoznać na nich Elę w rudowłosej, atrakcyjnej elegantce. Po zezie ani śladu.

No cóż, pomyślała Lena, okazuje się, że w Niemczech potrafią to zrobić lepiej. Z zainteresowaniem oglądała fotografie. Było na nich śliczne jak z widokówki miasteczko, wspaniałe piętrowy dom z werandą, otoczony ogrodem, luksusowo urządzone pokoje, kuchnia, łazienka. Na jednym ze zdjęć Ela siedziała za kierownicą Volkswagena. Po obejrzeniu fotografii Lena z zaciekawieniem zabrała się do czytania listu.

*Droga Leno,*

*przykro mi, że tak długo nie dawałam znać o sobie i przed przeniesieniem się do Niemiec nawet nie pożegnałam się z Tobą. Bardzo Cię za to przepraszam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Po prostu wstyd mi było przyznać się, że Olek mnie porzucił. Czulałam żal do niego, a przy tym zniechęciłam się do pracy w kopalni.*

*Rodzice wciąż mnie namawiali, żebym się do nich przeniosła, ponieważ ojciec ma dobrą pracę i świetnie się im tam powodzi. Ten dom na zdjęciach należy do nich. Zamieszkałam z nimi i starszą siostrą, która od dobrych paru lat jeździ na spotkania z kandydatami na męża poznanymi przez internetowy portal matrymonialny.*

*Początkowo byłam oczarowana. Przeżywałam euforię, wszystkim się zachwycalam, wszystko mnie fascynowało. Siostra z dumą oprowadzała mnie po miasteczku. Najważniejszą budowlę stanowi tu gotycki ratusz i gotycka katedra. Nieduży rynek okolony jest domami z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Na ich gzymsach przedstawione są w kilku płaskorzeźbach najważniejsze sceny z życia miasta. Bardzo mi się to wszystko spodobało.*

*Największą radość sprawiło mi usunięcie tego cholernego zez. Jako świetna matematyczka bez problemów przekwalifikowałam się na informatyka i dostałam dobrą pracę. Dość długo czulałam się tu dobrze, chociaż denerwowało mnie, że cała moja rodzina zgrywa się na Niemców Pawelczyków. Nie jestem już Elżbietą Pawelczyk tylko Elisabeth Pawelczyk. Przecież nawet nasze polskie nazwisko „Pawelczyk” świadczy o tym, że jesteśmy Polakami. Inni Polacy mimo uznania za „późnych przesiedleńców” na podstawie sztambuchów ich śląskich dziadków, dalej*

*mogą być sobą. Na ulicy rozmawiają głośno po polsku, trzymają się razem. Mnie nie wolno zadawać się z nimi. Zaraz na wstępie zabroniono mi tego.*

*Myślałam, że mnie szlak trafi, jak urzędnik w biurze dla przesiedleńców powiedział mi, że w zasadzie Aussiedlerom przysługuje prawo zachowania polskiego obywatelstwa, ale radzi mi się go zrzec. Prawo przewidywało zachowanie polskiego obywatelstwa, a ja miałabym się go zrzec? Powiedziałam urzędnikowi, że bardzo mu dziękuję za „życzliwą” radę, lecz skorzystam z przysługującego mi prawa. Rodzice i siostra byli oburzeni i przerażeni moim zachowaniem. Oni natychmiast po przybyciu do Niemiec wysłali do Polskiej Ambasady zrzeczenie się polskiego obywatelstwa.*

*Początkowo fascynowało mnie poznawanie nowej kultury. Z zapalem pogłębiałam dość dobrą znajomość języka niemieckiego. Akceptowałam krewnych i ich znajomych, chociaż traktowali mnie jak dzikuskę z buszu, którą należy ucywilizować i narzucali swój jałowy sposób spędzania wolnego czasu, polegający na kupowaniu coraz to nowych rzeczy, siedzeniu przed telewizorem i nieustannym ucztowaniu.*

*Nasi krewni chodzą do katolickiego kościoła, gdzie po niedzielnej mszy spotykamy się w domu parafialnym w gronie dawnych „wypędzonych“ przy piwie, winie i wódce, w towarzystwie otyłego księdza żłowiącego piwo, kufel za kuflem, którego rodzice byli „wypędzonymi” z Dolnego Śląska. Nie chodzi o jakieś religijne przeżycie, a jedynie o przyjemne spędzenie czasu. Chcąc nie chcąc biorę w tym udział, gdyż nie mam innego towarzystwa.*

*Na szczęście pracuję ze wspaniałymi ludźmi. Sami normalni Niemcy, ale traktują mnie z rezerwą. Rodowici Niemcy nie przyjaźnią się z takimi jak ja „późnymi przesiedleńcami“, gardzą nimi. Uważają, że jesteśmy prymitywni, że nie znamy ani polskiej, ani niemieckiej kultury, więc muszę się kisić w beznadziejnym gronie rodziny i krewnych. Ksiądz organizuje często wycieczki zagraniczne. Kiedy wracamy z tych wojaży, rozmawiamy wyłącznie o tym, co się tam jadło. Nie istnieje dla nich piękno natury i architektury. Jedynie menu wspominają z rozmarzeniem.*

*Mieszkamy na stosunkowo nowym osiedlu, więc i kościół jest nowoczesny. Niestety jego nowoczesność charakteryzuje się pustką i brzydotą. Od ołtarza zionie obojętność i nuda. To samo maluje się na twarzach wiernych, tak samo nieciekawych jak ich świątynia. Tu na północy Niemcy są protestantami, więc do naszej parafii należą w zasadzie sami dawni „wypędzeni” i nowi „późni przesiedleńcy”, prymitywni ludzie. Wykształceni Polacy w ogóle nie chodzą do kościoła.*

*Nawet wysoka tolerancja na odmienność i dobra wola nie były w stanie uchronić mnie przed frustracją, gdyż zostałam zupełnie pozbawiona podpory we własnej kulturze. Nie mam żadnego kontaktu z polskim językiem. Zmuszona jestem do oglądania wyłącznie niemieckiej telewizji i słuchania niemieckiego radia,*

*a także do czytania niemieckich gazet i książek. Coraz częściej nachodzą mnie wyrzuty sumienia, że dla pieniędzy wyrzekłam się ojczyzny.*

*W miarę przysłuchiwania się rozmowom krewnych i ich znajomych, odczuwam do nich coraz większą antypatię. Należą do organizacji „wypędzonych” i wiecznie pomstują na to, że Niemców pozbawiono ich zachodnich terenów. Okazało się, że chociaż tak wiele czasu upłynęło od zakończenia drugiej wojny światowej i „wypędzenia” ich dziadków z polskich terenów, wciąż kultywują pamięć o tej „straszliwej krzywdzie”, jaka spotkała wówczas Niemców i wciąż uważają, że zachodnia Polska to tereny niemieckie.*

*Siostra wyciąga mnie siłą na przeróżne imprezy organizowane przez tych ludzi. Zdegustowana jestem ich bezsensownym głędzeniem, lecz trudno jest mi się sprzeciwić, gdyż terroryzują mnie różnego rodzaju pogroźkami. Nieustannie tłumaczą mi, że mam zapomnieć o Polsce, bo „nie można siedzieć między dwoma stołkami”.*

*Proboszcz przyjaźni się z pewnym polskim księdzem z Gliwic, który przyjeżdża do jego parafii i wygłasza kazania po niemiecku, utwierdzając jego wiernych w przekonaniu, że na Śląsku mieszkają sami Niemcy. Ksiądz płaci mu za to sownie i przekazuje prezenty dla jego parafian.*

*Najgorsze jest to, że siostra w moim imieniu wysłała ofertę do swojej agencji matrymonialnej. Zgłosiło się wielu facetów, z którymi musiałam się spotykać, co stanowiło dla mnie torturę, gdyż byli na ogół beznadziejni. Oczywiście nie brakuje w Niemczech dobrze sytuowanych, przystojnych mężczyzn, lecz tacy nie muszą szukać żony w Internecie.*

*Wbrew nastawieniu krewnych nie zamierzam wychodzić za mąż. Od czasu krzywdy, jaką wyrządził mi Olek, boję się mężczyzn i brzydzę się nimi. To spotkanie się z kandydatami na mężów doprowadzało mnie do rozpacz. Nie jestem w stanie już dłużej znosić tego towarzystwa. Najbardziej chyba obrzydli mi rodzice i siostra, która wciąż klóci się z matką o to, że nie bierze ode mnie pieniędzy na utrzymanie, a w stosunku do mnie jest złośliwa i arogancka. Stara się za wszelką cenę wykazać swą wyższość i nieustannie mnie upokarza. Jako główna księgowa w niemieckiej filii amerykańskiej firmy zarabia więcej ode mnie, a tutaj najważniejsze jest konto w banku.*

*Piszę do ciebie, ponieważ — mimo próśb i gróźb rodziców — postanowiłam wrócić do Polski. Jako informatyk bez problemu znajdę pracę w Katowicach. Bardzo Cię proszę, wybac mi moje brutalne zerwanie z Tobą i przyjmij mnie do siebie na parę dni, zanim zdążę kupić mieszkanie. Znalazłam już kilka niezłych w Internecie, więc je pooglądam i wybiorę najodpowiedniejsze. Uskładałam sporo, bo nie wydawałam na życie. A poza tym poszczęściło mi się ostatnio na giełdzie.*

*Jeśli się nie zgodzisz, to trudno, będę musiała zamieszkać w hotelu, ale nie znoszę tego, a poza tym stęskniłam się za Tobą, bardzo bym chciała kontynuować*

*naszą przyjaźń.*

*Jeszcze raz przepraszam Cię gorąco i z niecierpliwością czekam na odpowiedź. Najlepiej od razu zadzwoń na numer mojej komórki. Ja Twój już nie mam, dlatego piszę. Adres na szczęście zapamiętałam.*

*Całuję Cię*

*Ela*

*P.S. Pozdrów ode mnie Anetę.*

Lena odłożyła list i jeszcze raz przyjrzała się zdjęciom portretowym Eli. Pomyślała, że po tej korzystnej zmianie, to może i Aneta przekona się do niej.

Wyjęła z barku koniak i wlała sporo do kieliszka. Zamyśliła się, popijając. Wyobraziła sobie, jak bardzo nieszczęśliwa musi być Ela w tak beznadziejnym towarzystwie. Postanowiła pomóc jej w zainstalowaniu się w Katowicach.

Wzięła do rąk leżącą na stoliku okolicznościowym komórkę i nacisnęła dwójkę, pod którą miała zakodowany numer Anety.

— Cześć. Mam dla ciebie niewiarygodną wiadomość — oznajmiła po zgłoszeniu się przyjaciółki. — Dostałam od Eli wzruszający list.

— List? A dlaczego ona nie zatelefonowała do ciebie?

— Jak ci powiem, to osłupiejesz... Bo mieszka w Niemczech. Nie ma już w komórce mojego numeru.

— Niemożliwe! — wykrzyknęła zdumiona Aneta. — Przecież tak się przed tym broniła. Nie chciała o tym słyszeć. Została tu zupełnie sama. Hmm, pewnie ją jej kochaś opuścił.

— Zgadłaś. Wyobraź sobie, że ona chce wrócić do Polski.

— Tak szybko? Przecież od jej zerwania kontaktu z tobą upłynęły chyba dopiero dwa lata.

— Dwa i pół.

— Taka zdolna, inteligentna... Tak dobrze zna niemiecki. Ma tam rodzinę, krewnych. I nie potrafiła sobie jakoś poradzić?

— Świetnie sobie poradziła. Przekwalifikowała się na informatyka, ma dobrą pracę. Zmieniła się nie do poznania. Zoperowali jej tego zeza, włosy ufarbowała na rudo. Teraz to by ci się podobała. Pokażę ci w niedzielę zdjęcia. Jak przyjedzie, urządzę dla nas wspaniałe przyjęcie.

— Daj spokój. Nie mam najmniejszej ochoty na takie spotkanie. Tolerowałam ją tylko ze względu na to, że wyciągała nas za uszy z dwójką z matematyki.

— Nie będę cię do tego namawiała. Nie musisz się z nią spotykać, ale ja ją lubię. Przyjmę ją do siebie na jakiś czas, zanim znajdzie odpowiednie mieszkanie. Będę spała na wersalce w pokoju dziennym, a ją położę w sypialni.



— Oszalałaś? Nie wytrzymasz z nią paru dni. Absolutnie! Niech sobie zamieszka w hotelu. Z tego, co mówisz, stać ją na to... Nie mogę zrozumieć, dlaczego ona chce wrócić, skoro jej się tam tak świetnie powodzi.

— Nie chce być Niemką, czuje się Polką i tęskni za ojczyzną.

— Zrobisz, jak zechcesz, ale ja ci dobrze radzę, nie bierz sobie na kark tej... jędzy. Przecież z nią trudno wytrzymać.

— Przesadzasz. Była przykra, bo miała kompleksy z powodu swojego wyglądu.

— Jakie kompleksy? Nie znam bardziej zarozumiałej osoby niż ona.

— Co chcesz? Była najlepszą uczennicą w klasie. Zresztą, teraz wygląda doskonale, więc nie ma już potrzeby podkreślania wyższości, żeby pokryć poczucie mniejszej wartości z powodu braku urody. Z pewnością nie będzie już taka opryskliwa. Zobaczysz. Polubisz ją.

— Nie przekonasz mnie. Nie zamierzam się z nią w ogóle spotkać. I proszę cię nie dręcz mnie jej towarzystwem, jak będziesz do mnie przyjeżdżała. Ona sobie szybko znajdzie pracę i nowych przyjaciół.

— Myślałam, że się ucieszysz — rzekła zawiedzionym tonem Lena. — Nie wiedziałam, że jesteś taka zawzięta. Przecież ona ze mną, nie z tobą zerwała. Ty z nią nigdy się nie przyjaźniłaś.

— Ale ciebie skrzywdziła. Przecież cierpiałaś z tego powodu. Wciąż czekałaś na jej telefon.

— Już jej wybaczyłam, ponieważ doskonale ją rozumiem. Była taka dumna, że ma przyjaciela, więc wstydziła się przyznać, że ją porzucił. Ona nie jest zła. Tak wiele czasu poświęcała na wbijanie nam do głowy matematyki.

— Nie robiła tego z chęci pomożenia nam, chodziło tylko o wykazanie się wyższością nad nami.

— Dobrze. Nie rozmawiajmy o tym więcej — zdenerwowała się Lena. — Byłam pewna, że jej też wybaczysz. Okazuje się, że za mało cię znam.

— Jeszcze tylko tego brakuje, żeby nas ona zwaśniła. Nieraz próbowała.

— W porządku. Więcej o niej nie wspomnę. Z pewnością się nie pokłócimy z tego powodu. Okay?

— Okay. Ale nie kieruj się dobrym sercem. Myśl o swojej wygodzie.

— Jak zwykle, masz rację. Moje mieszkanie jest za małe na dwie osoby. Odpowiem, że musi zamieszkać w hotelu... Przyjadę w niedzielę i pokażę ci zdjęcia. Są bardzo fajne. To... kończę. Zrobiło się późno. Ty już pewnie jesteś po kolacji, a ja jeszcze nic nie jadłam. Pa, pa.

Zjadła kanapki z wędliną, popiła herbatą z cytryną i włączyła telewizor. Jednak szybko go wyłączyła, bo wciąż myślała o Eli. Wstrząsnęła nią wiadomość

o powrocie przyjaciółki. Wahala się, czy nie zgodzić się, żeby zatrzymała się u niej przez parę dni.

Ale jej pobyt może się przedłużać, a mnie będzie niewygodnie na wersalce — zastanawiała się. — Tylko... trochę mi głupio odmówić... Czym ja się w ogóle przejmuję? — zmytygowała się po chwili. — Jej jakoś nie było głupio zerwać ze mną kontakt na przeszło dwa lata! Muszę od razu odpowiedzieć, bo do rana będę się wahać — zdecydowała.

Wystukała numer, który widniał na załączonej do listu wizytówce i z biciem serca czekała na połączenie. Głos jej utknął w gardle, kiedy Ela się zgłosiła.

— Halo, halo — powtarzała przyjaciółka.

— Dobry wieczór — wykrztusiła wreszcie.

— To ty, Leno?!

— No... Chciałam Ci od razu odpowiedzieć. Cieszę się, że wracasz. Tylko... dlaczego tak długo nie dawałaś znaku życia?

— Przepraszam stokrotnie. Chyba już się nie gniewasz, skoro dzwonisz?

— Jak słyszysz...

Zapadło milczenie. Obie nie wiedziały, co powiedzieć. Ela odezwała się pierwsza.

— Ta rozmowa będzie cię drogo kosztowała, więc mów: zgadzasz się, żebym do ciebie przyjechała, czy mam zamówić sobie hotel?

— Wiesz... Przecież znasz moje mieszkanie. Mam tylko sypialnię i pokój dzienny..

— Rozumiem — przerwała ostrym tonem Ela. — Łaski bez. Dobranoc! — Wyłączyła się.

Lenie zrobiło się przykro. Omal się nie rozplakała. Natychmiast jeszcze raz do niej zadzwoniła, chcąc, mimo wszystko, zaprosić ją do siebie, lecz Ela nie odbierała telefonu.

Ona zupełnie się nie zmieniła — pomyślała zawiedziona. — A ja, głupia, cieszyłam się na nasze spotkanie. Zależało jej tylko na pochwaleniu się i zaoszczędzeniu pieniędzy, które musi wydać na hotel.

## Rozdział 6

Co z tego, że inni uważają mnie za ładną, skoro nie podobam się sobie? — myślała, stojąc przed lustrem w łazience i malując brązowe cienie na powiekach. Te wybałuszone, żabie oczy doprowadzają mnie do rozpacz! Chociaż... Twarz ujdzie od biedy. Najgorsze są te krótkie nogi z nisko osadzoną pupą. I to koszmarnie imię! Kazimiera! Kazia... Ach, ci moi rodzice! Brzydszego imienia nie mogli wymyślić. Najgorsze, że wszystko muszę ukrywać. Wypukłe oczy maskować ciemnymi cieniami i mocno wytuszowanymi rzęsami. Wysokie czoło długą grzywką. Nogi przedłużać wysokimi obcasami. Zwariować można! Od rana do wieczora chodzić na tych szcudłach! W dodatku modne są buty na płaskich obcasach... No i nie mogę przyznać się do własnego imienia. Teraz jestem Lena, ale w dowodzie Kazimiera. Co będzie, jak Patryk to wszystko odkryje? — martwiła się.

Po skończeniu makijażu spryskała czarną czuprynę lakierem do włosów, spojrziała na zegarek i spiesznie wyszła z łazienki. Miała na sobie długą kwiecistą czerwono-żółto kreację i czarne szpilki. Bardzo jej odpowiadała moda na zakrywające nogi suknie.

Wreszcie kogoś poznała! Niesamowicie przejęta i podenerwowana gotowa była na przyjęcie ukochanego. Przez nią ukochanego, bo trudno byłoby to powiedzieć o Patryku, który ze zdziwieniem i ociąganiem przyjął zaproszenie na kolację.

Poznała go na ślubie kuzynki Magdy. Był świadkiem pana młodego, a ona panny młodej. Więc siłą rzeczy wspólnie się bawili na weselu. Przystojny blondyn koło czterdziestki, inżynier — wymarzony kandydat na męża dla kosmetyczki z wysokimi aspiracjami — zrobił na niej ogromne wrażenie. Była oczarowana, czego nie można było o nim powiedzieć. Traktował ją z rezerwą, nawet po znacznej ilości wypitego alkoholu. Ona jednak, jakby tego nie zauważyła, nad ranem — ku jego zaskoczeniu — zaprosiła go do siebie na kolację.

Wszystko było już przygotowane. Mieszkanie lśniło czystością. W pokoju dziennym nakryty stół, w kuchni, w piekarniku zupa pieczarkowa i chińskie danie. Zlustrowała urządzony eleganckimi włoskimi meblami pokój. Usiadła na kanapie i spojrziała na zegarek.

Powinien już być. Dlaczego się spóźnia? — pomyślała z niepokojem.

Wtem odezwała się komórka. Wybiegła do przedpokoju. Drżącą ręką wyjęła

ją z torebki.

— Przepraszam cię, Leno, że dzwonię dopiero teraz. Myślałem, że uda mi się przyjść do ciebie. Niestety, musiałem dłużej zostać w pracy. Naprawdę bardzo cię przepraszam — tłumaczył się Patryk.

— To może... wpadłbyś innym razem? — spytała łamiącym się głosem, z trudem powstrzymując łzy.

— No... — zawahał się. — Na razie jestem bardzo zajęty. Zadzwoń, jak znajdę trochę więcej czasu. Jeszcze raz przepraszam. Do usłyszenia.

Nic nie zdążyła powiedzieć, bo się wyłączył. Usiadła na skórzanej czarnej kanapie mocno zawiedziona.

Znów budowałałam zamki na lodzie — myślała z goryczą. — Jak zwykle. Tylko poznam faceta, od razu się zakochuję i wyobrażam sobie nie wiadomo co. E, i tak nic by z tego nie wyszło — machnęła ręką. — On dobierałby się do mnie po kolacji. Miałby prawo myśleć, że po to go zaprosiłam. No, bo tak było. A ja... Znów stchórzyłabym w ostatniej chwili. Boże, Boże, mam już trzydzieści lat i... nic. Chyba do końca życia pozostanę dziewicą... Głupia jestem. Przecież postanowiłam zająć się wyłącznie pracą zawodową — pocieszyła się niepewnie.

I nie wie zwierz ni człek, jaka jestem załamana — powtórzyła w myśli parę razy, po czym pocieszyła się: — Głupia jestem. Przecież postanowiłam zająć się wyłącznie pracą zawodową — pocieszyła się niepewnie.

Zdjęła suknię, uwolniła stopy od szpilek, włożyła jedwabny karminowy szlafroczek i wyszła do kuchni. Wyjęła z piekarnika „chińszczyznę”, zaniósła ją do pokoju, nałożyła sobie na talerz, napełniła kieliszek białym winem i zabrała się do jedzenia. Był to niezawodny sposób na zmartwienia. Po dobrym posiłku zawsze poprawiał się jej nastrój.

Gdy skończyła jeść, przeniosła się na kanapę. Na stoliku okolicznościowym leżała komórka. Nacisnęła jedynekę, by — jak zwykle — wyzalić się przed kuzynką.

— Nie przyszedł, co? — spytała Magda. — Od razu ci powiedziałam, że tak będzie. No, kto to widział? Ledwo faceta poznajesz i już go zapraszasz na kolację? A zadzwonił przynajmniej?

— Tak. Powiedział, że musi dłużej zostać w pracy.

— Skoro na weselu sam ci nie zaproponował spotkania, to mogłaś się domyślić, że nie jest tobą zainteresowany.

— Jednak tańczył ze mną do rana.

— Bo ty świetnie tańczysz. Widocznie on lubi taniec. Jednak... ani cię nie pocałował... No i w ogóle. Z tego, co mi opowiadałaś, wynikało, że nie miałaś żadnych podstaw, by sądzić, że mu się podobasz.

— No tak — westchnęła ciężko Lena. — Tylko że... ja się w nim zakochałam — wyznała płaczkliwie. — Poradź mi, co zrobić, żeby się z nim jeszcze

spotkać. Powiedział, że jest bardzo zajęty, ale zadzwoni, jak będzie miał więcej czasu.

— Zapomnij o nim. Nie martw się, poznasz kogoś innego i znowu się zakochasz.

— Zakochasz, zakochasz! I znów nic z tego nie wyjdzie. Ty miałaś kilku przyjaciół, teraz masz męża. A ja...

— To twoja wina. Po pewnym czasie musisz się w końcu z facetem przespać. Igor był w tobie zakochany. Ty za nim szalałaś i — jak zwykle — w ostatniej chwili dostawałaś ataku paniki. To dlatego ta twoja kasjerka sprzątnęła ci go sprzed nosa.

— Tym razem byłam zdecydowana. Jak najbardziej. Patryk mnie strasznie podniecał podczas tańca.

— Idźże wreszcie do jakiegoś psychoterapeuty albo seksuologa, bo to jest poważna sprawa.

— Wstydzę się. Jak mam powiedzieć, że boję się członka?

— Normalnie. Opowiesz to tak samo, jak mnie.

— No jak?

— Że po nocach śni ci się stojący przy twoim łóżku ojciec z dużym penisem, bo pamiętasz, że w dzieciństwie przeżyłaś coś takiego i do dziś prześladuje cię ten obraz... Wciąż nie jestem pewna, czy on cię wtedy nie zgwałcił. Tylko ty po prostu wyrzuciłaś to ze świadomości.

— Nie, Madziu. Jak mogło ci to przyjść do głowy? Tatuś nigdy by tego nie zrobił.

— No to skąd znalazł się w twoim pokoju nagi?

— Może krzyczałam przez sen, więc zerwał się z łóżka nagi, tak jak spał. Były wtedy straszne upały. Od mojego niemowlęctwa, to on zawsze wstawał w nocy, jak płakałam. Pamiętam, jak mnie nosił na rękach. Często budziłam się w nocy z płaczem.

— To bardzo dziwne. Normalnie matka wstaje, jak dziecko płacze.

— Ach, moja mama nigdy mnie nie kochała. Chciała mieć syna.

— No proszę, to też jest przyczyna twoich psychicznych problemów. Musisz wszystko opowiedzieć psychoterapeucie.

— Mowy nie ma. Nigdy w życiu nie zwierzę się obcemu mężczyźnie.

— To znajdź jakąś psychoterapeutkę.

— Nie, nie. Nikomu nigdy się z tego nie zwierzę, nawet Anecie.

— Nie opowiedziałaś tego serdecznej przyjaciółce? — zdumiała się Magda. — To jak wyjaśniłaś, dlaczego wciąż jesteś dziewicą?

— Okłamałam ją, że już dawno straciłam cnotę. W trzeciej klasie licealnej poznałyśmy kiedyś w dyskotecce dwóch studentów politechniki, Łukasza i Grzegorza...

— A skąd oni się wzięli w Bytomiu? — przerwała kuzynka.

— Mieszkali tam. Co dzień dojeżdżali pociągiem do Gliwic...

— I co dalej?

— Zaczęłyśmy się z nimi spotykać, no i... Aneta z Grzegorzem straciła cnotę, więc ją okłamałam, że ja też to zrobiłam z Łukaszem. Ona spotykała się z tym chłopakiem aż do wyjazdu do Krakowa na studia, a ten Łukasz... przestał się mną interesować. Wiesz, z jakiego powodu, nie?

— No wiem. I tak jest za każdym razem. Tak kończy się każda twoja wielka miłość. Musisz coś z tym zrobić. Jak tak dalej pójdzie, skończysz jako „żelazna dziewczyna”. Dobrze ci radzę. Idź do jakiegoś psychoterapeuty.

— Nie. Nie potrzebuję żadnego psychoterapeuty. Tylko prawdziwa miłość może mi pomóc. Ach — westchnęła — żeby tak wreszcie ktoś się we mnie zakochał... I wiesz, co ci powiem? Bardzo bym chciała, żeby to był Patryk. Jest podobny do tatusia. Też taki wysoki, barczysty... Ma niemal takie same świdrujące czarne oczy... Podczas tańca wyczułam, że mu stoi i nie bałam się go. Wręcz przeciwnie, po raz pierwszy w życiu pragnęłam mieć w sobie tego... ptaka... Jak najbardziej — zakończyła swoim ulubionym słówkiem, którego nadużywała.

— Cha, cha, cha — zaśmiała się Magda. — W tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz. A on najwidoczniej nie chce.

— To dlaczego podniecił się w tańcu?

— Dlaczego? Taniec go podniecił, a nie ty. Spójrz prawdzie w oczy i zapomnij o nim. Mówię ci.

— Tak myślisz? Chyba masz rację... — Zwiesiła ze smutkiem głowę. — Będę musiała o nim zapomnieć — rzekła żalonym tonem. — No nic, nie zabieram ci czasu. Porozmawiamy, jak przyjdiesz do gabinetu na zabieg.

Odłożyła komórkę i zamyśliła się. Co też tej Magdzie przyszło do głowy?! Tatusi miałby mnie zgwałcić i ja bym tego nie pamiętała. Znienawidziłabym go po czymś takim... No tak, ale mama też go chyba posądzała o coś złego, bo jak tylko siadałam mu na kolanach, złościła się na mnie. Zazdrościła mu, że go tak bardzo kocham. Jak mogłam go nie kochać? Rozpieszczał mnie, był dla mnie dobry, czuły. A ona? Nigdy mnie nie objęła, nie pocałowała. O byle głupstwo się gniewała i długo nie dawała się przeprosić.

Nagle wstała z kanapy i zaczęła chodzić po pokoju, bo zdenerwowała się pod wpływem myśli, która przyszła jej do głowy.

Dlaczego mamie tak bardzo zależało, żebym się wyprowadziła z domu? Zaraz po tym, jak skończyłam kurs, wymusiła na tatusiu, by mi kupił mieszkanie. Może bała się, że on mnie zgwałci?

Posprzątała ze stołu, pozmywała naczynia i usiadła przed telewizorem,

by obejrzeć film ze swoim idolem Leonardem DiCaprio. Chodziła do kina na wszystkie jego filmy. Oglądała je po parę razy. Zawsze z zapartym tchem. Tym razem jednak trudno było jej śledzić akcję, bo wciąż wracała do gnębiących ją myśli. Widziała ten film już dwa razy, więc wyłączyła telewizor i pogрузzyła się we wspomnieniach, usiłując przypomnieć sobie coś, co świadczyłoby o tym, że ojciec ją molestował.

Kiedyś, gdy usiadła ojcu na kolanach, matka krzyknęła z furją:

— Przestań wreszcie ją pieścić, ty zboczony osle!

— A ty Adelu, masz wiecznie kudłate myśli — z wyrzutem zwrócił się do żony mężczyzna.

Jeżeli istotnie tata ją zgwałcił, to nie miała, po co żyć. Jedyna osoba, która ją naprawdę kochała, miałaby ją tak skrzywdzić?

„I nie wie zwierz ni człek, jakie to by było straszne” — powtórzyła parę razy płaczącym tonem.

Usiłowała przypomnieć sobie tę koszmarną noc. Obudziła się nagle i zobaczyła stojącego przy łóżku nagiego ojca ze zwisającym nad nią członkiem.

A jeżeli rzeczywiście to się stało? — myślała z niepokojem. — I było takie straszne, że skojarzyło mi się z jakimiś strasznymi potworami, które mi się wówczas przysniły? Więc wyrzuciłam to ze świadomości, tak jak powiedziała Magda... Nie, to niemożliwe. Jestem pewna, że nie doszło do tego. Jak najbardziej. Pamiętałabym to. Musiałabym pamiętać!

Powycierała zapłakane oczy. Rozmyślała nad tym, co powiedziała kuzynka. Zaczęła sobie przypominać niewytłumaczalne uczucia lęku i smutku ogarniające ją po pewnych drobnych, niepozornych faktach, niegodnych uwagi... Tak. Coś ją gnębiło. Coś, głęboko skrytego na dnie duszy. Może odczuwała podświadomie pieśczozy z ojcem za coś nieprzyzwoitego i miała niejasne poczucie winy z tego powodu? Jednak dziadek też brał ją na kolana i pieścił. Ludzie ze Wschodu są uczuciowi, wylewni. Matka urodziła się w śląskiej rodzinie, a Ślązacy są oschli, zamknięci w sobie, dlatego irytowało ją ich zachowanie... Babcia Gertruda była wyjątkiem. Kochała mnie tak samo, jak tatuś. Też sadzała mnie na kolanach i gładziła po włosach. Może dlatego, że rozmawiałam z nią po niemiecku? A cóż to ma za znaczenie?

Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ojciec tak się zmienił. Skończyły się pieśczozy, rzadko z nią rozmawiał, czasem tylko spytał o stopnie. Poczuli się odtracona. Przeżywała okres dojrzewania i dręczyło ją wiele problemów, a matce nie mogła się z niczego zwierzyć. Chętnie

porozmawiałaby o tym z tatą. Tymczasem on stał się nieprzystępny.

Zaraz, zaraz... Nigdy dotąd nie kojarzyłam zmiany jego stosunku do mnie z tą nocą. Może rzeczywiście zgwałcił mnie i potem dręczyły go wyrzuty sumienia? — pomyślała ze zgrozą.

Kiedyś wyzaliła się przed Magdą, że ojciec stał się taki oschły.

— Nie jesteś już małą dziewczynką, tylko kobietą — ofukała ją kuzynka. Zrozumiałe, że tata przestał brać cię na kolana, przytulać, całować. On się krępuje.

— Ale on mnie unika. Nigdy nie ma dla mnie czasu... Jest jakiś zmieniony, nieswój...

— Jest bardzo zajęty — przerwała jej Magda. — Jego warsztat wciąż się rozrasta. Przybywa mu klientów. Ma wiele spraw na głowie. Przecież w dalszym ciągu cię rozpuszcza. Niczego ci nie odmawia. Na wszystko daje ci pieniądze.

— No, niby tak — zgodziła się. — Jednak on mnie już nie kocha, tak jak dawniej.

— Tobie wciąż się wydaje, że jesteś małą tatusiową córeczką. To się skończyło. Jesteś teraz dla niego kobietą. Zrozum to.

Przypominając sobie tę rozmowę, przyznała Magdzie słuszość.

Wszystko jest w najlepszym porządku, tylko ja jestem strasznie przewrażliwiona — uspokoiła się. — Tatuś mnie kocha i jest najlepszym ojcem w świecie. Kupił mi dwupokojowe mieszkanie, ślicznego farbkowo-niebieskiego Volkswagena Lupo, wynajął w centrum Chorzowa pomieszczenie na mój gabinet, sfinansował jego urządzenie... No, w ogóle... Jestem dla niego najważniejsza. Jak najbardziej.

Uspokoiła się i wyszła do łazienki, by przygotować się do snu.



## Rozdział 7

— Lena! Chodź tutaj! — wezwała ją recepcjonistka. — Jakiś Niemiec chce zrobić termin na zabieg i nie mogę się z nim dogadać!

— Zaraz będę, tylko dokończę nakładać maseczkę! — odkrzyknęła.

Gdy znalazła się w recepcji, oniemiała z wrażenia. Przed nią stał Leonardo DiCaprio! Ta sama okrągła, pełna twarz i ulizane do tyłu ciemno-blond włosy. Z tak eleganckim mężczyzną nigdy jeszcze nie miała do czynienia. Ubrany był w brązowy garnitur i żółtą rozpiętą przy szyi koszulę, w jego butach można było przejrzeć się jak w lustrze. Rzuciła okiem na jego wypielęgnowane dłonie i drogi złoty zegarek. Z ulgą stwierdziła, że nie on ma obrączki. Spuściła wzrok pod wpływem jego wyzywającego spojrzenia, udając, że szuka wolnego terminu.

— Cały zabieg? — spytała, przełykając ślinę, bo zaschło jej w gardle.

— *Ja. Alles* — odpowiedział. — Pani rozumie *Deutsch*?

— *Ein bisschen*.

— A ja *ein bisschen* polski.

— To wystarczy, żebyśmy się porozumieli. — Podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego zalotnie.

— Pani ma *wunderschöne Augen*. — Odwzajemnił uśmiech.

— *Danke* — odpowiedziała, rumieniąc się po same uszy. — *Haben Sie... Zeit am... Montag um... elf Uhr?* — wydukała z wysiłkiem, bo od śmierci babki nigdy nie miała okazji do konwersacji po niemiecku.

— *Sie sprechen gut deutsch* — ucieszył się Niemiec.

— *O, nein!* — zaprzeczyła skromnie. — *Wie heißen Sie?*

— *Friedrich Polotzek... Dann... Wir sehen uns am Montag. Bis dahin.* — Pożegnał się i wolnym krokiem skierował się do wyjścia.

Lena z zachwytem patrzyła na jego wysoką, barczystą postać. Serce zabiło jej mocniej, gdy przy drzwiach odwrócił się i zrobił do niej oko.

Wróciła do pacjentki z nałożoną maseczką. Usiadła przy niej. Swoim zwyczajem zaczęła „budować zamki na lodzie”.

Boże, jaki on piękny! — zachwycała się w duchu. — Zadbany, wypielęgnowany. Te zmarszczki przy uśmiechu dodają mu tylko uroku... Spodobałam mu się, widziałam to w jego spojrzeniu... Najważniejsze, że nie jest żonaty. Chyba, że nie nosi obrączki, bo lubi skok w bok. Nie szkodzi. Z takim to nawet krótka przygoda by mnie uszczęśliwiła. Z nim z pewnością straciłabym wreszcie cnotę.

Spojrzała na zegarek. Trzeba zmyć maseczkę. Koniec marzeń.

Po powrocie do domu, wyszukała szkolne podręczniki do niemieckiego. Postanowiła przerobić wszystkie czytanki, by przypomnieć sobie słownictwo. Usiadła na kanapie i zaczęła studiować. Na przygotowanej uprzednio kartce zapisywała słowa, które wyleciały jej z głowy. Nie mogła jednak się skupić, ponieważ wciąż miała przed oczami okrągłą twarz Niemca i jego szmaragdowe oczy. Przerwała naukę i rozmarzyła się.

— *Ich liebe dich, Friedrich* — wyszeptwała. — Jak to pięknie brzmi. Jak muzyka... *Ich liebe dich, ich liebe dich* — powtarzała z rozanieloną miną, wyobrażając sobie, że on trzyma ją w ramionach. — *Ich liebe dich auch, Lena* — odpowiadał ukochany. — *Du bist mein Engel, liebste* — mówił, całując ją w usta. — Odkryłam szczęście w twoich oczach — odpowiadała mu — ich błękit niebo przypomina. Pokonamy piekło i zaświaty, przenikniemy obcości kazamaty, na obłokach wzniesiemy się do nieba, takiego szczęścia nam potrzeba... — recytowała w rozmarzeniu.

— Ach, żeby to się spełniło! — Westchnęła, wznosząc oczy ku niebu.

Musiała podzielić się swoim szczęściem z Magdą.

— Wyobraź sobie, Madziu — powiedziała z podekscytowaniem, że poznałam fantastycznego faceta. Istny Leonardo DiCaprio. Taki podobny do niego.

— A to nowina! Już dawno nie byłaś zakochana — dworowała sobie z niej kuzynka. — Ostatni raz przed miesiącem, w Patryku.

— Nie kpjij ze mnie. Tym razem chyba coś z tego wyniknie.

— Gdzie go poznałaś?

— Przyszedł dzisiaj do gabinetu zamówić zabieg. Myślałam, że padnę trupem, jak go zobaczyłam. Ręce mi się trzęsły, trudno mi było zapisać jego nazwisko w terminarzu.

— Uważaj, to może być pedał. Normalni mężczyźni nie przesiadują u kosmetyczki.

— Skądże! Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby chciał mnie zjeść. Jest Niemcem. Oni dbają o wygląd.

— Niemiec? — Skrzywiła się Magda. — Daj spokój. Znowu nic z tego nie wyjdzie. Nie angażuj w tę znajomość, radzę ci. Pewnie jakiś biznesmen, który wkrótce wyjedzie z Polski. Wiesz coś o nim?

— Na razie nic. Jak przyjdzie na zabieg, to go wypytam. Przygotowałam już sobie pytania... Ma piękne imię: Friedrich. Jak wielki poeta Schiller.

— Cha, cha, cha — roześmiała się Magda. — Fritz. Po prostu fryc. Inaczej szkop, szwab.

— Przestań. Co ty tak nienawidzisz Niemców? Jaki tam fryc? — oburzyła się Lena. — Piękny, wytworny mężczyzna w sile wieku.

— Fritz to jest zdrobnienie od Friedricha, więc będziesz do niego mówiła: Fritz, czyli fryc... Zaraz, zaraz. W sile wieku? To ile on ma lat?

- Nie wiem, gdzieś koło czterdziestki. Może trochę więcej.
- A, znalazłaś sobie drugiego tatusia, żeby cię tak pieścił, jak twój ojciec, gdy byłaś mała.
- Nabijasz się ze mnie... Twój Arek też jest od ciebie dwanaście lat starszy i pół życia spędził w Niemczech.
- Właśnie od niego wiem, że to wredny naród.
- Jak możesz tak generalizować? W każdym kraju są wredni ludzie. Mało ich w Polsce? Rozumiem, że jacyś wapniacy pamiętający wojnę ich nienawidzą, ale ty?
- Uwierz mi, to fałszywy, podstępny i zaborczy naród.
- No, nigdy bym się po tobie tego nie spodziewała! Rozumiem tatę, który wciąż się ich boi, bo od dziecka słyszał, jak dziadek się martwił, że Niemcy wrócą na Śląsk i zabiorą mu warsztat. Przecież to bzdury! Oni są naszymi sąsiadami, najlepszymi przyjaciółmi. Pomagają nam stanąć na nogi, stać się Europejczykami, inwestują w nasz kraj... No... we wszystkim nam pomagają. Jak najbardziej.
- Za mało wiesz, kochanie. Zawsze będziemy dla nich niższą rasą. Interesuje ich tylko tania siła robocza i rynek zbytu na ich towary.
- Nie przypuszczałam, że jesteś taka zacofana. Mówisz, jak te... patriotyczne oszołomy.
- Nie dyskutujmy na ten temat. Tym bardziej, że nie wiadomo, czy ten fryc zainteresuje się tobą. Tylko błagam. Nie powtarzaj błędu, który popełniłaś wobec Patryka. Nie zapraszaj go, broń Boże, na kolację. No i... w ogóle. Przestań wreszcie budować zamki na lodzie. Wiecznie narażasz się na niepotrzebne cierpienie. Bardzo cię proszę, bądź z nim ostrożna. W tym wieku to on z pewnością ma żonę, dzieci. I po co ci to?
- Dobrze. Postaram się. — Posmutniała. — Masz rację. Jak najbardziej.
- Wciąż przyznajesz mi słuszność, lecz robisz swoje. Wydorosłej wreszcie, przestań być tatusiową córeczką.

Rozmowa z Magdą odebrała jej apetyt na kolację. Nie mogła więc tym razem zastosować swojej metody na poprawę nastroju. Zaparzyła tylko herbatę. Popijając ją, zamyśliła się. Przypomniała sobie awanturę, jaką zrobił matce opanowany na ogół ojciec z powodu zdeklarowania przez nią przynależności do narodowości śląskiej. Doszła do wniosku, że ojciec cierpi na jakąś obsesję, którą wysłał z piersią swojej nienawidzącej Niemców matki.

No tak, jednak Magda jest wykształcona, skończyła prawo, a też nie lubi Niemców. Powiedziała, że są wredni i fałszywi... Przecież to śmieszne — machnęła ręką. — Po co ja w ogóle zawracam sobie tym głowę?

## Rozdział 8

Przez cały weekend marzyła o pięknym Niemcu. Powiem mu, że jest podobny do Leonarda DiCaprio i będę mówiła do niego Leonardo — postanowiła. — Friedrich to bardzo oficjalnie, a zdrobnienie Fritz rzeczywiście brzmi jak fryc. Magda słusznie to zauważyła.

Nadszedł wreszcie upragniony poniedziałek. Od rana przygotowywała się do tej wizyty. Przed umówioną godziną skropiła się drogimi francuskimi perfumami przewidzianymi na wyjątkowe okazje. Parę minut przed jedenastą czekała na niego w recepcji. Przyszedł punktualnie co do minuty. Zaprowadziła go do oddzielnej kabiny i uprzejmie poprosiła, by zdjął koszulę, po czym drżącymi rękoma założyła mu peniuar. Kiedy się położył spytała, skąd dowiedział się o jej gabinecie.

— Poleciała mi panią Helga Schmidt z DFK Schlesien.

— A co to takiego? — spytała zdziwiona.

— Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców w Chorzowie.

— To ona jest Niemką?

— Oczywiście.

— Dziwne. Nigdy mi o tym nie wspomniała.

— Może obawiała się, że to panią do niej zniechęci. Polacy nie lubią Niemców. Są straszliwymi nacjonalistami.

— Ależ skąd? To nieprawda! — wykrzyknęła spontanicznie. — Mieszka pan w Chorzowie? — spytała, zmieniając temat.

— Nie. W Katowicach.

— A na długo przyjechał pan do Polski? — Zaczęła delikatnie oczyszczać wacikiem jego twarz.

— Mieszkam tu, ponieważ na Śląsku prowadzę interesy.

Milczała podczas masażu twarzy i dekoltu.

— Ma pani bardzo miły dotyk — odezwał się. — Jedwabiste paluszki. Bardzo to przyjemne.

— Dziękuję. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z zabiegu.

W milczeniu dokończyła masaż. Nałożyła mu maseczkę oczyszczającą i waciki na oczy.

— Proszę się teraz relaksować. Czy włączyć jakąś muzykę? — spytała syrenim głosem.

— Tak. Klasyczną.

Włączyła Vivaldiego. — Może być?

— Oczywiście. Chętnie posłucham.

— Zostawiam pana samego. Zjawię się po upływie przewidzianego czasu.

Podeksytowana wyszła do hallu, by podzielić się wrażeniami z recepcjonistką Iloną.

— Nie wyobrażasz sobie, jaką on ma wspaniałą, wypiełgnowaną skórę, a pachnie... — wzniosła oczy ku niebu.

— No uważaj, żebyś się nie zakochała — zaśmiała się Ilona.

— Co by mi z tego przyszło? — Wzruszyła ramionami. — Nie mam szans u takiego faceta — powiedziała nieszczerze, aby nie zapeszyć.

— No, nie bądź taka skromna. Widziałam, jak po ustaleniu terminu zrobił do ciebie oko.

— To nic nie znaczy — wzruszyła ramionami. — A zresztą, po co mi taka przygoda? On pewnie niedługo wróci do Niemiec... Czy mamy jeszcze dosyć maseczek ściągających? Może byś sprawdziła? — Zmieniła temat, by nie zdradzić się ze swoimi zamiarami wobec Niemca.

Postanowiła, że straci z nim cnotę, chociażby to miała być przygoda tylko jednej nocy. Czowała, że z nim nie miałyby najmniejszych oporów.

Porozmawiała jeszcze trochę z Iloną i wróciła do niezwyklego pacjenta. Po oczyszczeniu twarzy i nałożeniu maseczki ściągającej usiadła obok niego i przypatrywała się jego wspaniałej postaci, zastanawiając się, jak zagaić rozmowę po skończeniu zabiegu. Nie wyszła też po nałożeniu maseczki odżywczej. Siedziała w milczeniu, słuchała muzyki, oddając się marzeniom.

Kiedy wstał z leżanki, drżącymi rękoma zdjęła mu peniuar. On włożył koszulę i uśmiechnął się szeroko, ukazując lśniące białą zęby.

— To było wspaniałe — powiedział, przeciągając się. — Trochę się zdrzemnąłem. Czuję się jak młody Bóg. Będę przychodził do pani regularnie. Bardzo jestem zadowolony. Muszę się odwdzińczyć za tę... rozkosz, którą przeżyłem dzięki pani. Zapraszam na kawę. Co pani na to?

Serce podskoczyło jej do gardła. Tak to sobie właśnie wymarzyła.

— Bardzo chętnie. Jak najbardziej — powiedziała, stłumionym z wrażenia głosem po polsku.

— W niedzielę przed południem w Café Monopol. Odpowiada?

— Dobrze. O jedenastej — odpowiedziała podniecona.

— A pani przyjaciel nie będzie zazdrosny?

— Nie mam przyjaciela.

— To świetnie. Jesteśmy umówieni. Do zobaczenia — rzekł, podając dłoń i wyszedł do recepcji, by uregulować rachunek.

Usiadła na taborecie, bo ugięły się pod nią nogi. To było niewiarygodne. Zaświtała nadzieja utraty dziewictwa. Jej plan zaczął nabierać realnych kształtów.

W tym dniu była nieprzytomna. Naraziła się na przykre uwagi niektórych klientek, jednak się tym nie przejmowała. Żyła już spotkaniem w kawiarni, po którym sobie wiele obiecywała. Miała ochotę zadzwonić do Anety, by o tym porozmawiać.

Nie ma sensu zawracać jej tym głowy, bo pewnie nic z tego nie wyjdzie — skonstatowała po namyśle.

\*

Friedrich Polotzek był nieszczęśliwy. Ukochana żona opuściła go przed rokiem dla pewnego rzeźbiarza, sprowadziła się do niego i podzielała jego zwariowany tryb życia, który jej bardzo odpowiadał. Friedrich czuł się osamotniony. Tęsknił za swoją Ulrike. Często do niej telefonował i odbywał z nią długie rozmowy. Łudził się, że ona do niego wróci.

Było to niezbyt dobrane małżeństwo, wiecznie się kłócili z powodu różnicy charakterów i wskutek diametralnie różnego podejścia do rzeczywistości. Jak na artystkę-malarkę przystało, kobieta miała liberalne poglądy w odróżnieniu od Friedricha, zagorzałego konserwatysty. Była niezwykle piękną kobietą, typową aryjką, jasnowłosą, błękitnooką, długonogą. Ubóstwiał jej urodę i niebywały temperament w łóżku. Podczas trzech miesięcy wzajemnego oczarowania przed ślubem nie mieli sposobności do poważnych dyskusji. Jednak po zawarciu małżeństwa dochodziło do awantur, ponieważ żona doprowadzała go do wściekłości poglądami i swobodnym stylem życia. Posuwał się nawet do rękoczynów. Kochali się w nocy, a w dzień nienawidzili. Mimo to szalał za nią. Przez cały czas małżeństwa zachowywał jej wierność. Kiedy mu oznajmiła, że odchodzi, rzucił się na nią i zaczął dusić. Na szczęście w porę się opanował.

Trudno mu było otrząsnąć się z rozpaczy po opuszczeniu przez żonę. Po rozstaniu cierpiał niesamowicie. By ukoić ból, postanowił znaleźć sobie kochankę, lecz nic z tego nie wychodziło. Przeniósł się do Katowic, ponieważ prowadził proces odzyskania domu, z którego jego dziadkowie zostali po wojnie „wypędzeni”. Nawiązał kontakty z Ruchem Autonomii Śląska i mniejszością niemiecką, wciąż jednak nie mógł znaleźć stałej przyjaciółki. Po jednej nocy zrywał znajomość.

Nie był bynajmniej oczarowany Leną, jakby się mogło wydawać, jednak spodobała mu się. Była czysta, pachnąca, dobrze zorganizowana, a przy tym znała niemiecki, co mu bardzo odpowiadało, ponieważ nie lubił rozmawiać po polsku, choć dość dobrze znał ten język. Nieprzypadkowo znalazł się w gabinecie. Stała klientka Leny, jego dobra znajoma Helga Schmidt wiele mu o niej opowiedziała i poleciła jako odpowiednią osobę. Podczas wizyt w gabinecie spotykała matkę Leny, z którą często rozmawiała. Wiedziała o niej, że jest Ślązaczką, więc

wyobraziła sobie, że musi mieć niemieckie pochodzenie, o czym nie omieszkała powiedzieć Friedrichowi.

Rodzice jego ojca byli „wypędzonymi” z Górnego Śląska. Od dziecka wpajali mu nienawiść do Polaków, którzy zajęli poniemieckie domy i majątki. Z mlekiem matki wyssał ideę „wielkich Niemiec w starych granicach”. Od dziecka brał udział w zjazdach Ziomkostwa Śląskiego. Obito mu się w szkole coś o uszy o piastowskich korzeniach tych terenów, mimo to przekonany był, że od zawsze należały do Niemiec i muszą do nich powrócić.

Często jeździł do Bytomia, gdzie znajdował się dom jego dziadka. Stał w pobliżu Parku Miejskiego, w najlepszej dzielnicy i był w dobrym stanie. Friedrich starał się o jego odzyskanie. Oczywiście nie było mowy o tym, by dziedziczący go, jego wiekowi rodzice, w nim zamieszkali, lecz można byłoby go sprzedać za niezłą sumkę. Chodziło głównie o to, by za brutalne wywłaszczenie dziadków „sprawiedliwości stało się zadość”.

## Rozdział 9

Znów była śmiertelnie zakochana. Na myśl o wymarzonego Leonardo, traciła zmysły. Prześladowały ją jego oczy, czuła pod palcami jego skórę, jego wspaniałą, wygoloną pierś. Rozpamiętywała każde jego słowo, choć nie było ich zbyt wiele. Martwiło ją, że nie dowiedziała się o nim właściwie niczego. Puszczając wodze wyobraźni, marząc o spotkaniu w kawiarni. Przygotowywała sobie pytania i prowadziła z nim w myśli rozmowę. Miała kablówką telewizję, więc włączała tylko niemieckie stacje. Wyszukiwała w Internecie przeróżne linki, zapamiętała pogłębiała znajomość języka niemieckiego.

Kupiła w drogim butikiu zwiewną żółtą sukienkę z dużym dekoltem, niebotycznie wysokie złote szpilki i złotą torebkę.

Zatka go, jak mnie zobaczy — marzyła. — Zakocha się we mnie... Tym razem musi mi się udać! Wyjadę z nim do Niemiec. Tam dopiero będę miała prawdziwy gabinet. Tu w Polsce... to nie to.

Szukała w Internecie wyposażenia niemieckich gabinetów kosmetycznych i planowała, jak urządzi swój własny.

E, marzenie ściętej głowy — nachodziły ją wątpliwości. — Tak tylko umówił się ze mną, ten jeden raz. Taki piękny mężczyzna musi kogoś mieć. Może nawet jest żonaty i dzieciaty? Jednak skoro chce spotkać się w niedzielę, to chyba jest sam — pocieszała się.

Chwilami wstępował w nią bojowy duch. A nawet, jeśli kogoś ma, to co z tego? Odbiję go, rozwiedzie się. On musi być mój! Tak długo na niego czekałam. Przeczynałam, że go poznam. Dla niego zachowałam cnotę. Dla niego uczyłam się niemieckiego. Wszystko zostało zaplanowane przez opatrność. Całe me życie prowadziło do niego.

\*

Nadeszła wreszcie upragniona przez nią niedziela. Siedzieli w kawiarni naprzeciw siebie w milczeniu i patrzyli sobie pytająco w oczy.

Boże, jaki on piękny i wytworny! — myślała zauroczona. — Czy ja w ogóle pasuję do niego?

Ona jest bardzo ładna — stwierdził Friedrich. — Te ogromne, marzące oczy, ten uroczy, nieśmiały uśmiech... I taka młoda, świeża, wypielęgowana. Pociągająca! Ma dobry gust, elegancka... To dobrze, świetnie.

— Czy jadła już pani dzisiaj? — spytał rzeczowo. — Ja późno wstaję. Myślę, że moglibyśmy zamówić wiedeńskie śniadanie z lampką szampana. Co pani na to?



Z podekscytowania nie mogłam niczego przełknąć — chciała powiedzieć, lecz ugryzła się w język. — Wypiłam tylko filiżankę kawy — powiedziała cicho, bo zaschło jej w gardle..

— Świetnie. Zaraz zamówię.

Znów zapadło milczenie. Był zaskoczony wrażeniem, jakie na nim zrobiła. Pomyślał, że chętnie spędziłby z nią cały dzień, a wieczorem zaciągnął do łóżka. Zapragnął posiąść to ponętne ciało.

A to niespodzianka! Żeby mi się jakaś Polka tak spodobała? Muszę podziękować Heldze. Kupię jej jakiś prezent — myślał, patrząc Lenie w oczy.

Pewny był, że dziewczyna nie będzie się opierała. Postanowił od razu przystąpić do rzeczy.

— Ma pani jakieś plany na dzisiaj? — spytał z czarującym uśmiechem, ujmując jej dłoń.

— Nie, nic szczególnego — rzekła drżącym głosem, czując ciarki na plecach.

— Wspaniale. To spędzimy ten dzień razem. Co pani proponuje?

— No, nie wiem — zastanowiła się przez chwilę.

Dziś albo nigdy! — przyszło jej do głowy. W mgnieniu oka podjęła decyzję.

— Mieszkam naprzeciw Parku Śląskiego. Moglibyśmy tam zrobić spacer, zjeść dobry obiad, a wieczorem zapraszam do siebie.

Te Polki w ogóle się nie szanują. Z Niemką musiałbym się nieźle wysilić, nakupić prezentów. A tu? Proszę bardzo. Bezproblemowo — myślał zadowolony, że mu tak łatwo poszło.

— Doskonale, nigdy nie byłem w tym słynnym parku — zachichotał, ściskając znacząco jej dłoń.

Poczerwieniała z przejęcia. Znów popełniłam błąd — pomyślała zdeprymowana. — Magda by mnie objechała. Ale trudno. To pewnie będzie tylko ten jeden raz. Najważniejsze, że wreszcie stracę cnotę.

— Skąd pani zna tak dobrze niemiecki? — spytał, by zagaić rozmowę.

— Uczyłam się w szkole i rozmawiałam po niemiecku ze swoją babką.

— A rzeczywiście, Helga Schmidt mówiła mi, że pani matka jest Niemką.

— Niemką? Nie, nie, Ślązaczką.

— Przed wojną i w czasie wojny wszyscy Ślązacy byli Niemcami. Wszyscy mieszkańcy zachodniej Polski mają niemieckie geny.

Spojrzała na niego zaskoczona. Niektórzy Niemcy, ci tak zwani „wypędzeni” wciąż uważają, że Śląsk powinien do nich należeć. Ciekawe... A, jakie to ma znaczenie? Co mnie to obchodzi.

— No tak, oczywiście, ja też mam po matce niemieckie korzenie. Jak najbardziej — powiedziała, żeby mu się przypodobać. — Ale... rodzice mojego ojca zostali przesiedleni ze Wschodu.

— Tego nie wiedziałem. Więc jest pani tylko pół-Niemką.

— Co też pan opowiada! — krzyknęła spontanicznie.

Widząc jego dziwną minę, zmitygowała się. — Przepraszam, skoro pan tak uważa, to pewnie tak jest. Nie zastanawiałam się nigdy nad tym... — plątała się. — To znaczy... No, bardzo lubię Niemców, więc... cieszę się, że jestem pół-Niemką.

Głupio zrobiło się jej w tym momencie, bo pomyślała, że ukochani dziadkowie, wpajający w nią patriotyczne uczucia, przewracają się chyba w grobie. Ojciec też nie byłby tym zachwycony.

— A poza panią Schmidt ma pani jeszcze inne klientki z niemieckiej mniejszości czy z Ruchu Autonomii Śląska?

— Nie mam pojęcia. Nie wiedziałam nawet, że ona jest Niemką. Myślałam, że jest Ślązaczką. To znaczy, no... no — plątała się. — Jeśli pan uważa, że Ślązacy... no też są w pewnym stopniu Niemcami... No... nie wiem, czy wśród moich klientek są Niemki, ani która należy do tego ruchu autonomii. Rozmawiam z nimi na takie babskie tematy.

— Rozumiem. A zwierzają się pani?

— O tak.

— To mogłaby też pani rozmawiać z nimi na poważniejsze tematy, bo... wie pani, jako Niemcowi, zależy mi na tym, żeby Polacy darzyli nas sympatią.

— Darzą — zapewniła skwapliwie. — Jesteście teraz naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Niemcy to wspaniały naród, potężny, bogaty. Przecież należymy do Unii, w której Niemcy są najważniejszym państwem.

W rozmowie z nim trudniejsze zdania wypowiadała po polsku, bo zauważyła, że on doskonale rozumie. Friedrich też zmuszony był do używania tego nielubianego języka, kiedy Lena czegoś nie zrozumiała. I tak już było do końca ich znajomości.

— No to wzniesmy toast za naszą przyjaźń — podniósł kieliszek szampana. — A może przy okazji wypilibyśmy bruderszaft? Chciałbym się z panią serdecznie zaprzyjaźnić.

— Chętnie. Jestem Lena — rzekła drżącym z przejęcia głosem, przechylając się do niego i całując go w usta.

Ja chciałby cię całować... namiętnie, Lena — powiedział, gdy upili nieco złocistego trunku. — Cieszę się, że zaprosiłaś mnie do siebie.

Zaczerwieniła się. Poczowała podniecenie na myśl, że... Oby się wreszcie spełniło — pomyślała podekscytowana. — Z nim byłoby cudownie. Tym razem nie wycofam się w ostatniej chwili.

Zajadali w milczeniu, uśmiechając się do siebie od czasu do czasu. Oboje myśleli o tym samym.

— Znasz trochę historię Górnego Śląska? — spytał tak niby mimochodem.

— Oczywiście. Uczyłam się w szkole.

— A wiesz, że po pierwszej wojnie światowej ziemia ta poziomem zagospodarowania górowała nad obszarami dawnego Królestwa Kongresowego czy Galicji i stała się później motorem rozwoju państwa polskiego.

— Tego nie wiedziałam — odpowiedziała lekko zmieszana.

— A domyślasz się, dlaczego?

— No... — zastanowiła się przez chwilę. — Głupi by się nie domyślił. Dlatego, że przedtem należała do Niemiec.

— Właśnie. Dzięki pruskim ministrom Steinowi i Hardenbergowi. Lud śląski czerpał z dorobku prawodawstwa pruskiego wyznaczającego ramy dynamicznej modernizacji regionu... No i widzisz, co się stało. Region, który przez dziesięciolecia był dla wielu szansą na lepsze życie, dzisiaj straszy opuszczonymi kamienicami, rzędami zrujnowanych familoków... E, co ci będę mówił — machnął ręką. — Sama wiesz, jak jest... Danie Polsce Śląska to było tak, jakby się dało małpie zegarek. No i po latach widać, że małpa zegarek zepsuła.

Spojrzała na niego zdziwiona, lecz nic nie powiedziała, tylko pomyślała, że Magda mogła mieć słuszość, ostrzegając ją przed Friedrichem. A co mnie obchodzą jego poglądy? — Zbagatelizowała tę myśl. — Najważniejsze, że mi się szalenie podoba, a ja jemu chyba też, skoro chce się ze mną... zaprzyjaźnić. Tylko... po co rozmawia ze mną na takie poważne tematy, zamiast mnie podrywać, prawić komplementy.

Do końca śniadania Friedrich rozwodził się nad tym, jakim nieszczęściem dla mieszkańców Śląska jest przynależność do Polski. Podawał przykłady dyskryminacji tego regionu. Opowiedział o swoich „wypędzonych” z Bytomia dziadkach.

Podczas spaceru w parku kontynuował taką rozmowę, a ona mu grzecznie przytakiwała. No, kiedy on wreszcie zacznie się do mnie zalecać? — niecierpliwiła się.

Gdy jechali kolejką linową, podziwiając rozciągające się pod nią rosarium, objął ją i przytulił, lecz to było wszystko. Teraz mnie pocałuje — miała nadzieję, gdy znaleźli się w wagoniku „diabelskiego młyna” w Wesołym Miasteczku.

Niestety, nic z tych rzeczy. Była wyraźnie zawiedziona.

W końcu usiedli na tarasie renomowanej myśliwskiej restauracji „Łania”. Nigdy tu jeszcze nie była. Rozglądała się z przyjemnością. Drewniany budynek, poroża jeleni i dzików na ścianach. Staw i przepiękne otoczenie parku. Słońce coraz chętniej wyglądające zza chmur. Eleganckie towarzystwo, sympatyczna obsługa używająca śląskiej gwary. Wszystko to spowodowało, że poczuła się dobrze i swojsko. Jej nastrój się poprawił.

— Ostrzegam cię, byś nie wybrała dziczyzny — powiedział Niemiec, gdy przeglądali menu. — Oni się tu niby w tym specjalizują, ale nie da się tego jeść. Na szczęście mają też smaczkowe śląskie dania.

— Dobrze, że mi powiedziałaś, bo chciałam zamówić pieczeń z Jelenia w sosie myśliwskim. — Uśmiechnęła się do niego uroczo, licząc na to, że przy winie skończą się poważne tematy i wreszcie zaczną się zaloty.

Niestety, choć siedzieli w restauracji aż do zmroku, on przez cały czas prowadził poważną rozmowę. Miał swoją taktykę. Widział, że jest nim oczarowana i podekscytowana. Chciał ją najpierw wziąć na przetrzymanie, a dopiero w jej mieszkaniu znienacka zaskoczyć. Bardzo mu zależało na tym, by jeszcze tego wieczoru ją zdobyć i od razu zawładnąć nią całkowicie. Przekonany był, że nie będzie się opierała. Dalej więc drążył interesujący go temat.

Z zadowoleniem stwierdził, że łatwo mu przyjdzie wpoić Lenie swoje poglądy. Przytakiwała mu nieustannie, zgadzała się ze wszystkim, co stopniowo zaczął wbijać jej do głowy. Ważne, że czuł do niej pociąg fizyczny. Cieszył się, że wreszcie znalazł stałą kochankę. Przekonany był, że owinie ją wokół palca.

## Rozdział 10

Siedział rozparty na kanapie. Rozglądał się ciekawie po gustownie urządzonym salonie.

— Ładnie tu u ciebie. Świetne grafiki masz na ścianach. Pasują do tych białych mebli. Różowy dywan oraz inne elementy w pastelowych kolorach wywołują bardzo relaksowy nastrój. Dobrze się tu czuję. Cieszę się, że mnie zaprosiłaś.

— Zaraz zaparzę kawę — rzekła, stawiając na stole bombonierkę z ciasteczkami z firmowego sklepu „Wawela”, paterę z owocami i ręcznie robione praliny z „Wedla”.

— O, pyszności! Bardzo lubię te pralinki.

— Przepraszam. Zostawię cię na chwilę samego — powiedziała drżącym z podekscytowania głosem i wyszła do kuchni.

Głęboko zaczerpnęła powietrza, wlewając wodę do ekspresu i wsypała do niego kawę. Boże, jak to będzie? Jestem taka szczęśliwa! Chyba się uda. Żebym tylko nie stchórzyła w ostatniej chwili.

Gdy wróciła z tacą, na której znajdowała się kawa w dzbanku i filiżanki, postawiła ją na stoliku okolicznościowym. Spontanicznie usiadła na kanapie obok niego.

— Oj, zapomniałam o mleku i cukrze! — Zerwała się na równe nogi i pobiegła do kuchni, gdzie jednym haustem wypila szklankę zimnej wody, by ochłonać, bo kiedy poczuła bliskość jego ciała, poczuła zawrót głowy. Z przejścia trzęsły się pod nią nogi.

To jest strasznie podniecające. Lepiej usiądę w fotelu naprzeciw niego — postanowiła.

Gdy weszła z powrotem do pokoju, wstał z miejsca, odebrał jej tacę, postawił ją na stoliku, po czym wziął ją w ramiona.

— Widzę, że jesteś podenerwowana. Boisz się mnie? — spytał, całując ją delikatnie. — No usiądź koło mnie. Tak ładnie pachniesz. — Poglądził ją po głowie i z powrotem posadził na kanapie. Teraz dopiero zaczął ją pieścić. Kiedy całowali się namiętnie, błyskawicznie rozpiął zamek, zsunął spodnie wraz ze slipami i wyjął przyrodzenie. Nie zdążył podnieść jej spódnicy, gdy wyrwała się z jego ramion i odskoczyła jak oparzona.

— Co się dzieje? — krzyknął zdenerwowany z członkiem na wierzchu. — No, chyba po to mnie do siebie zaprosiłaś.

Błada z przerażenia osunęła się na fotel. — Schowaj go, proszę — wyszeptwała, ciężko łapiąc powietrze.

Mężczyzna wciągnął slipy i osunięte do kolan spodnie. Ciężko dysząc

z podniecenia, patrzył na nią osłupiały.

Źle ją oceniłem — pomyślał zawiedziony. Jednak nie wyjdę stąd, dopóki mi nie ulegnie — postanowił.

— Bardzo cię przepraszam. Jesteś taka podniecająca, że zupełnie straciłem głowę. To ja już sobie pójdę — rzekł, wstając. Liczył na to, że zostanie zatrzymany.

— Nie, nie odchodź, proszę! — krzyknęła, składając dłonie. Ona też była zdecydowana. Jeżeli nie uda mi się z nim, to już nigdy z nikim — myślała w panice. — Poczekaj. To mi zaraz przejdzie. Ja się... przestraszyłam.

Usiadł z powrotem. — Czego się przestraszyłaś? — spytał zdziwiony, w mig orientując się, że z nią jest coś nie tak. — Członka? Nigdy go nie widziałaś? No, nie powiesz mi, że jesteś jeszcze dziewicą.

— Zaraz ci wyjaśnię... Widziałam... raz. W dzieciństwie... No i... boję się. Jest taki duży i... no wiesz. Taki jakiś... — bełkotała nerwowo.

— Co ty opowiadasz? — Patrzył na nią ubawiony. — W dzieciństwie? — Nagle spoważniał. — Rozumiem, ktoś cię molestował. Biedactwo! Musisz o tym zapomnieć. On naprawdę nie jest straszny. Wręcz przeciwnie... No, chodź tu do mnie. Możesz go sobie dotknąć, oswoić. Zobaczysz, że przestaniesz się go bać — namawiał ją łagodnie.

A to mi się przydarzyło. Nigdy jeszcze nie spałem z dziewicą — myślał, rozpalony do czerwoności z podniecenia. — Muszę ochłonać, bo inaczej nie stanę na wysokości tego niezwykłego zadania. Trzeba podejść do niej delikatnie, przygotować ją. To będzie ciężki orzech do zgryzienia.

— Wiesz, co? Lepiej zostań na razie w fotelu. Uspokoimy się, porozmawiamy... Jeżeli nie będziesz chciała, to odłożymy to na później. Dobrze? Może innym razem uda ci się opanować ten lęk?

— Jesteś kochany — powiedziała, wycierając chusteczką spływające po policzkach łzy. — Napijmy się koniaku, to mi będzie łatwiej.

— No, no — pogroził palcem. — Nie boisz się, że będę musiał zostać u ciebie na noc, bo nie wsiądę do samochodu po alkoholu.

— Zostań, proszę. Pościelę ci na wersalce. Rozłożymy ją. Jest bardzo wygodna.

No, teraz to już pewne, że jeszcze tej nocy będę ją miał — ucieszył się.

Wyjęła z barku koniak i kieliszki, wlała do filizanek kawę. Friedrich napełnił szkło.

— Wypijmy za twoje cudowne oczy — rzekł z uwodzicielskim uśmiechem.

Wybrałem nieodpowiednią taktykę. Ale skąd mogłem wiedzieć? Teraz trzeba ją trochę poczarować — postanowił.

Upili nieco koniaku i w milczeniu patrzyli na siebie, popijając kawę, chrupiąc kruche ciasteczka.

— Bardzo mi się podobasz — odezwał się po pewnym czasie — Masz takie zmysłowe usta, oczy jak dwie gwiazdy, filigranową, ponętą figurę... Przez cały czas tam w parku nie mogłem się doczekać chwili, gdy wezmę cię w ramiona. Nie dziw się, że nie potrafiłem się opanować, kiedy poczułem smak twoich ust. Tak mi przykro. Zachowałem się, jak... świnia. Zupełnie nie wiem, co się ze mną stało — usprawiedliwiał się.

— Będę z tobą szczerą. — Łyknęła sporo koniaku dla dodania sobie odwagi. — Ty też strasznie mi się podobasz. Do tej pory nie potrafiłam się na to zdobyć, jednak tym razem byłam zdecydowana. Tylko... inaczej to sobie wyobrażałam.

— To powiedz mi jak. Postaram się do tego zastosować.

— Nie mogę — pokręciła przecząco głową. — Wstydzę się.

— Rozumiem... Wobec tego może... opowiedziałabyś mi, kto cię w dzieciństwie molestował.

— Ach nie. To było inaczej. Nikt mnie nie molestował. Tylko przypadkowo zobaczyłam nagiego ojca.

— I tak cię to przeraziło, że boisz się stosunku? — zdziwił się. — Chyba nie jesteś ze mną szczerą. Niemożliwe, żebyś się tego przestraszyła. Większość małych dziewczynek widziała nagiego ojca...

— Ale mnie to przeraziło — przerwała mu — bo on stał nade mną, kiedy się nagle obudziłam w nocy i... zobaczyłam nad sobą tego jego ogromnego członka. Naprawdę był... straszny! — krzyknęła wzburzona.

— Chyba jednak twój ojciec cię molestował, tylko wyrzuciłaś to z pamięci.

— Niemożliwe. On nigdy by tego nie zrobił!

— No dobrze, niech ci będzie. Wobec tego, dlaczego do tej pory jesteś dziewicą? Nigdy nie byłaś zakochana?

— Jak najbardziej. Niezliczoną ilość razy. I często miałam na to ochotę, jednak w ostatnim momencie wycofywałam się. A wiesz, jacy są mężczyźni? Po takim zachowaniu, każdy spróbował jeszcze raz, a kiedy nic z tego nie wyszło, nie chciał się już ze mną spotykać. Widocznie zależało im tylko na tym. Nikt mnie nigdy tak naprawdę nie kochał. — Zwiesiła ze smutkiem głowę.

— Nie mogę tego pojąć. Jesteś taką wspaniałą kobietą! — Ujął jej dłoń i pocałował, a ona znów poczuła ciarki. — No dobrze. Gdybym nie zachował się tak brutalnie, to... zrobiłabyś to ze mną?

— Z pewnością! — wykrzyknęła.

Wstała z fotela, usiadła obok niego na kanapie, objęła go i zaczęła obcałowywać jego twarz.

— Jesteś pewna, że tym razem nie wycofasz się w ostatniej chwili? — szepnął jej do ucha, całując ją w szyję.

Poczuła niesamowite podniecenie i natychmiast przeszył ją strach. Wyrwała

się gwałtownie z jego ramion.

— I ty się dziwisz, że nikt się w tobie nie zakochał! — Rozłożył bezradnie ręce. — Usiądź z powrotem w fotelu i... upijmy się. Co nam innego w tej sytuacji pozostało? — Poczul znużenie i zniechęcenie. Zupełnie przeszła mu ochota na seks z tą dziwaczką. Wypił do dna swój koniak.

— Może jesteś lesbijką? Zastanawiałaś się nad tym? Nie próbowałaś nigdy z kobietą?

— No, co ty opowiadasz?! — krzyknęła oburzona i też opróżniła swój kieliszek. — Nie mam najmniejszego pociągu do kobiet. Natomiast do mężczyzn... — Wzniosła do nieba rozanielony wzrok.

— Nie, nie! — zaprzeczył zdecydowanie. — Gdyby tak było, to dawno byś już straciła cnotę. Musisz pójść do seksuologa albo do psychoterapeuty. Ja jestem biznesmenem. Nie mogę ci pomóc... Wybacz, pójdę już sobie. — Wstał z miejsca, tym razem z zamiarem udania się do domu.

— Nie puszcę cię! — krzyknęła, rzucając mu się na szyję. — Za dużo wypiliśmy. Nie możesz wsiąść do samochodu. — Siadaj, zaraz zrobię kolację.

— Nie jestem głodny — rzekł stanowczym tonem. — Przeszedł mi apetyt, bo... jesteś taka nieprzystępna... Już późno, muszę się wyspać, bo jutro mam ciężki dzień.

Zmarnowałem tylko niedzielę — pomyślał zawiedziony.

— U mnie też możesz się wyspać. Spróbujmy jeszcze raz. Jestem pewna, że tym razem się uda. Jak najbardziej — namawiała go żarliwie. — A jeżeli nie chcesz spać ze mną, to pościelę ci na wersalce. Jest rozkładana i wygodna.

— Nie, muszę już iść — powiedział zdecydowanie. — Zadzwoń do ciebie.



## Rozdział 11

Friedrich był z siebie niezadowolony. Zwątpił w możliwość uwiedzenia Leny. Muszę z niej zrezygnować — zdecydował. Obrócił się na bok i wkrótce usnął.

Tymczasem ona nie mogła zmrużyć oka.

Znowu się nie udało — myślała zgnębiona. — Trudno się dziwić, popełniłam ten sam błąd, co zawsze. No jak ja mogłam, zaprosić go do siebie? Magda tyle razy mi tłumaczyła, że tak nie można. Trzeba odczekać, poznać się bliżej... Ale bałam się, że on już nigdy więcej się ze mną nie spotka.

Przewracała się z boku na bok i rozmyślała, w jaki sposób zatrzymać go przy sobie. Łudziła się nadzieją. Przecież powiedział, że mu się podobam i obiecał zatelefonować... Jeszcze nie wszystko stracone. Może zadzwoni? Może znów przyjdzie do gabinetu na zabieg?.

Usnęła wreszcie i dopiero we śnie znalazła pocieszenie. Przyśnił się jej... Leonardo DiCaprio. Stał w drzwiach z bukietem róż. Był taki piękny!

— Jesteś! — wykrzyknęła. — Nie pogniewałeś się na mnie za tego Niemca! Przepraszam, nigdy więcej już cię nie zdradzę. Wiem, że tylko ty mnie naprawdę kochasz. Tobie nie zależy na tym, by się ze mną przespać.

— Nie zdradziłaś mnie i nigdy nie zdradzisz, bo nigdy z nikim nie pójdziesz do łóżka. Będiesz moja i tylko moja do końca życia. A po śmierci połączymy się i tam w niebie będziemy się już wiecznie kochali.

Obudziła się uszczęśliwiona. — Jednak istnieje życie wieczne — wyszeptwała. — Na ziemi to jest tylko taka próba. Moje marzenia spełnią się dopiero po śmierci. Wtedy spotka mnie nagroda za zachowanie dziewictwa.

Dobry nastrój nie opuszczał jej przez cały dzień. Dopiero po pracy, gdy znalazła się w pustym mieszkaniu, stanął jej przed oczyma zdenerwowany Friedrich. „No, chyba po to mnie do siebie zaprosiłaś!” — usłyszała jego podniesiony głos. Zrozumiała, że jest z nią coś nie w porządku.

Cnota uderzyła mi na rozum. Chyba zwariowałam — pomyślała. — Takie bzdury! Miałabym stracić cnotę dopiero po śmierci! — Postukała się w czoło.

Poczuła się nieszczęśliwa i samotna.

„I nie wie zwierz ni człek, jak mi ciężko” — powtarzała w myśli ze smutkiem.

Najgorsze, że nie miała, przed kim się wyzalić. Nawet Magdzie nie mogła

opowiedzieć o tej niefortunnej randce. Tym bardziej Anecie, która nie wiedziała, że ona jest jeszcze dziewicą. Nie zrobiła sobie kolacji, wyjęła z barku niedopitą butelkę, wlała sporo do kieliszka, usiadła w fotelu i pogrążyła się w zadumie, popijając koniak.

Może faktycznie powinnam pójść do jakiegoś psychoterapeuty — zastanawiała się. — A co mi to da? Muszę opanować ten głupi lęk, tylko... Czy on jeszcze zechce się ze mną spotkać? Gdyby tak było, to zadzwoniłby dzisiaj. Może jest zajęty?

Po opróżnieniu butelki, poprawił się jej nastrój. No, czym ja się w ogóle przejmuję? Przecież nie zrobiłam nic złego. Dlaczego miałby się do mnie zniechęcić? Przeprosił mnie za swoje zachowanie. Na pewno zadzwoni — zakończyła optymistycznie swoje rozważania.

Wzięła prysznic, włożyła nocną koszulę, pokremowała twarz i poszła spać. Musiała odespać poprzednią noc.

\*

Nazajutrz przez cały dzień żyła wyczekiwaniem na telefon od swojego Leonardo. Marzyła o nim, wyobrażała sobie następne spotkanie. Niestety, minął tydzień, a on milczał. Obracała w ręku jego wizytówkę, lecz nie mogła zdobyć się na odwagę, by do niego zadzwonić. Czuła się upokorzona i straszliwie nieszczęśliwa. Nie mogła szukać pocieszenia u Magdy, jak to zwykle bywało. Postanowiła pojechać w niedzielę do Krakowa.

To mi dobrze robi — rozmyślała. — Zastanowię się, czy nie wypłakać się na piersi Anety. Z tego, co wiem, ona ma dobre wyobrażenie o Niemcach.

Po odbyciu rutynowej trasy poczuła się lepiej. W Krakowie zawsze ogarniał ją optymizm. Nie miała ochoty iść do muzeum. Postanowiła od razu spotkać się z Anetą. Usiadła w ogródku „Ratuszowej”, zapaliła papierosa i czekając aż pojawi się kelnerka, wyjęła komórkę. Nacisnęła dwójkę, pod którą miała zakodowany numer przyjaciółki.

— Jak się masz — powiedziała, słysząc jej głos w słuchawce. — Nie jesteś zajęta? — spytała z niepokojem.

— Witaj — ucieszyła się Aneta. — Właśnie zaczęłam pisać nowe opowiadanie.

— Szkoda, bo chciałam zaprosić cię na obiad do Hotelu Francuskiego — powiedziała zawiedziona.

— Wiesz, idzie mi dziś jak po grudzie. Taka piękna pogoda. Chętnie usiądę z tobą na powietrzu w naszej kawiarni. Pogadamy, a dopiero potem pójdziemy na

obiad, bo teraz to dla mnie za wcześnie. Nie jestem głodna.

Lena zdążyła wypić dwie kawy, nim pojawiła się kuśtykająca pisarka. Miała na sobie białe spodnie i błękitną wydekoltowaną bluzkę. Pół twarzy zasłaniały jej ciemne okulary, spod których rzucały się w oczy umalowane jaskrawą szminką usta.

Ucałowała Lenę i od razu ją obrugła:

— Śmierdzisz jak popielniczka. Tak mi obiecywałaś, że skończysz z tym świństwem. Spróbuj przy mnie zapalić, a tyle będziesz mnie widziała. Absolutnie! — Zagroziła swym ulubionym słowem.

— No właśnie, dlatego tak śmierdę — tłumaczyła się — bo musiałam wypalić przed twoim przyjściem parę papierosów, by nie robić tego przy tobie.

— Dziewczyno — zmieniła temat podekscytowana Aneta — nie wyobrażasz sobie, jaki wspaniały pomysł przyszedł mi wczoraj do głowy. Absolutnie! Więc tak: w Londynie jest Polka, która zeszła tam na psy. Zostaje bez grosza, bez mieszkania, bez żadnego zajęcia, nocuje pod mostem. No i chce wrócić do Polski. Ale nie ma pieniędzy na samolot. Ma za to wiernego psa, który... wyobraź sobie... przynosi w pysku portfel z ogromną sumą funtów. No i jak myślisz, co ona teraz zrobi? Wróci do Polski, czy wynajmie tam mieszkanie i spróbuje się jakoś urządzić? Jak myślisz, no powiedz!

— Pojęcia nie mam — wzruszyła ramionami Lena — to ty mi powiedz.

— Właśnie w tym sęk, że nie wiem, co dalej — pisarka pokiwała ze smutkiem głową. — Wczoraj fajnie mi się pisało, a dzisiaj utknęłam.

— E tam, jeszcze przyjdzie ci coś do głowy — uspokoiła ją koleżanka. — Poczekaj! — krzyknęła nagle. — Mam pomysł. — Posłuchaj. Pamiętasz Lucynę?

— Lucyna, Lucyna... — Usiłowała sobie przypomnieć Aneta.

— No, taka ładna blondynka, która zawsze siedziała w ostatniej ławce.

— Już sobie przypomniałam.

— Więc ona też wyjechała do Londynu — mówiła podekscytowana pomysłem Lena. — Pracowała jako kelnerka w wytwornej kawiarni. Napiwki, a były wysokie, odkładała. Kiedy uzbierała pewną sumkę, wynajęła lokal, zarejestrowała firmę krawiecką, w Polsce kupowała za bezcen, w porównaniu z angielskimi cenami, całe bele materiałów w hurtowni, zatrudniła polskie dziewczyny, które za grosze szyły i do dziś prowadzi salon damskich sukien. Dorobiła się na tym. Spotkałam ją niedawno w Katowicach. Nie poznałabyś jej. Taka wytworna z niej dama. Przyjechała po nowe tkaniny... Tak samo może zrobić twoja bohaterka. Tam założenie prywatnej firmy nie nastrecza żadnych trudności.

— Nie. Nie podoba mi się takie zakończenie. Absolutnie — skrzywiła się Aneta. — Zbyt optymistyczne.

— To może, naślij na nią jakiegoś wrednego typu, który ją okradnie?

— A propos wrednego typu — podjęła pisarka. — Wyobraź sobie, że

dzwonił do mnie mój były.

— A cóż on od ciebie chciał? — spytała zdumiona.

— Nie wiem, odłożyłam słuchawkę — wzruszyła ramionami Aneta. — Niech mu ziemia lekką będzie. On dla mnie nie istnieje. Absolutnie! A swoją drogą powiem ci, że zupełnie cię nie rozumiem, dlaczego się tak strasznie przejmujesz tym, że nikogo nie masz.

— Zaraz, zaraz, przecież ostatnio ty też się żaliłaś, że chyba już nigdy nie wyjdiesz za mąż.

— To prawda. Czasami jeszcze nachodzą mnie takie... melancholijne myśli. Ale to bzdura. Najważniejsze, że spełniasz się w swoim zawodzie. Po co ci kochanek albo i mąż? Żeby tobą pomiałał, a potem cię zostawił? Mało się nacierpiałaś z powodu różnych mężczyzn, którzy cię po kilku spotkaniach rzucali? Bądź szczęśliwa, że jesteś samodzielna i niezależna od seksu... Kiedy zdałam sobie sprawę, że takiej kaleki jak ja, nie zechce żaden mężczyzna, dość długo byłam zrozpaczona. Sceny seksu w filmach i powieściach podniecały mnie. Było mi żal, że muszę się go wyrzec. Ale... z biegiem czasu zaczęły mnie... śmieszyć. Przecież to idiotyczne, te wszystkie figury i tak dalej. A teraz czuję do tego obrzydzenie. To jest gra nie warta świeczki. Kiedy uświadomiłam sobie, jakie nieszczęścia i rozczarowania sprowadza na człowieka seks... Nie! Daj sobie spokój z seksem. Absolutnie! Mówię ci, seks jest obrzydliwy! Wierz mi. Szlag mnie trafia, że różnych... homoseksualistów i innych uzależnionych od seksu uważa się za normalnych, a ludzi nieuprawiających go za nienormalnych. Najgorsza dziwka cieszy się większym uznaniem niż cnotliwa kobieta. Człowiek musi udawać, że puszcza się na prawo i lewo, żeby nie zostać wyśmianym — denerwowała się Aneta.

— No widzisz. I dziwisz się, że ja chciałabym znowu kogoś poznać — rzekła Lena, rozkładając bezradnie ręce. — Powiem ci coś. Właśnie... pojawił się ktoś na horyzoncie.

— Obyś tego nie pożałowała! — Pisarka uniosła się lekko z miejsca i załamała dłonie. — Dziewczyno, radzę ci, wybij to sobie z głowy! Każdy ma swoje przeznaczenie — rezonowała. — Nam widocznie nie jest sądzone małżeństwo. Powinniśmy się cieszyć, że możemy się spełniać w inny sposób. Wiesz, jak bardzo marzą o tym te biedne kury domowe obarczone mężem i dziećmi? Jakie koszmarne mają życie? Poczytaj sobie trochę w „Wysokich obcasach”.

— Teraz tak mówisz, a nie pamiętasz, jaka byłaś szczęśliwa ze swoim byłym. Przecież to był wspaniały seks. To była miłość.

— I co z tego? Byliśmy bardzo młodzi. Młody człowiek inaczej to odbiera. Jednak my jesteśmy już po trzydziestce. Przeżyliśmy swoje wielkie miłości i wystarczy. Absolutnie. Teraz czas na spokojne, rozsądne życie.

— Nie zgodzę się z tobą. Jesteśmy jeszcze młode i obie mamy prawo do miłości. Mówisz tak, bo nie uwolniłaś się jeszcze od goryczy z powodu odejścia męża. Ja też myślałam, że już się nie zakocham. A okazuje się... Ty też się kiedyś zakochasz i inaczej spojrzysz na seks.

— No, dobrze. Powiedz mi wreszcie, kto cię znowu omamił?

— Oczarował. Poznałam istnego Leonardo DiCaprio. Niemiecki biznesmen. Przyszedł do salonu na zabieg.

— No i oczywiście poszłaś z nim do łóżka — Aneta westchnęła ciężko. — I po co? Miałaś już takie spokojne, unormowane życie. A teraz znowu będziesz szalała. A jak facet wróci do Niemiec, cierpiała. Absolutnie.

— Masz rację. Jak najbardziej — Lena zwiesiła ze smutkiem głowę. — Przeżyliśmy takie... oczarowanie. I co? Od dwóch tygodni nie daje znaku życia.

— Wybij go sobie z głowy. Trudno. Stało się. Znow popełniłaś błąd. Ale życie toczy się dalej. Zapomnisz o nim.

— Postaram się — podniosła głowę i uśmiechnęła się blado. — A teraz idziemy do restauracji Hotelu Francuskiego.

Cha, cha, cha — roześmiała się nagle Aneta, która coraz częściej dawała upust tkwiącemu w niej śmiechowi. — Pamiętasz, jak ci dwaj Niemcy, którzy nas poderwali w czasie Juwenaliów, zaprosili nas na kolację do tego hotelu. Aleśmy ich wtedy wykołowały — śmiała się do rozpuku, trzymając się za brzuch. — To były czasy. Zamówiliśmy najdroższe dania z karty. Do dziś mam w ustach smak tych wytwornych przystawek. Pasztet z gęsi z jabłkami i sosem porzeczkowym... Kozi ser przekładany burakami ze wstążkami z ogórka... Faceci już nas w myślach rozbierali. A my... zjadłyśmy wytworną kolację, po czym wyszłyśmy do toalety i zwiały. Cha, cha, cha — znów wybuchła śmiechem. — To były czasy...

Lena zaraziła się śmiechem. Śmiały się przez parę minut.

— Zamówimy sobie dzisiaj to samo, co wtedy — rzekła, uspokoiwszy się.

## Rozdział 12

Friedrich też myślał o Lenie. Nie mógł zapomnieć, jak bardzo go podniecała. Trudno mu było z niej zrezygnować. Świetna dupa. Byłaby rewelacyjną kochanką. Wygłupiłem się. Trzeba było zostać. Tylko... Jak to teraz naprawić? Muszę poczekać, aż ona sama do mnie zatelefonuje. Jestem pewien, że tak będzie.

Nie mylił się. Po dwu tygodniach odezwała się:

— Obiecałeś, że zadzwonisz. Czy stało się coś złego? — spytała drżącym głosem.

— Miałem podstawy, by myśleć, że nie chcesz się ze mną spotykać. Nie chciałem się narzucać — odpowiedział, siłąc się na obojętny ton.

— Naprawdę? — ucieszyła się. — Może przyjechałbyś do mnie na kolację w sobotę?

— Chętnie, tylko musisz mi obiecać, że nie będziesz się bronić, bo tym razem to cię po prostu zgwałcę — zagroził żartobliwie, zadowolony z zaproszenia.

— Cha, cha, cha — zaśmiała się radośnie. — Może to i dobry pomysł — rzekła uszczęśliwiona. — Bądź o siódmej.

\*

Stoi w drzwiach z bukietem róż. Leonardo DiCaprio. W szarym garniturze i błękitnej koszuli, lekko rozpiętej. Wręcza kwiaty i obejmuje ją na przywitanie.

Ach, to ten sen! — przelatuje jej przez głowę. — Skądże, przecież to Friedrich! — przytomnieje po chwili.

— Tak się cieszę, że cię widzę! — wykrzykuje rozpromieniona. — Wejdz, usiądź w fotelu i posłuchaj muzyki, a ja na chwilę pójde do kuchni. Puszczam CD z Koncertem Brandenburskim Bacha.

— O, jak wspaniale nakryłaś do stołu. — Mężczyzna rzuca okiem na serwis z ómielowskiej porcelany.

— Wiem, że lubisz śląską kuchnię, więc ugotowałam kapuśniak na żeberkach, rolady z białymi kluskami i niebieską kapustą, a na deser szpajzę.

— Pyszności. A wyglądasz... — Spogląda na nią z zachwytem. — Cudownie! — Lubię zielony kolor. To piękna suknia.

Zajadają z apetytem, popijając czerwonym winem. Rozmawiają o obojętnych sprawach, lecz ona myślami jest w łóżku. Wie już, że tym razem ukochany zostanie na noc. Czuje, jak miękną jej kolana z podekscytowania.

— Czy wiesz, że jesteś bardzo podobny do Leonarda DiCaprio? — pyta nieoczekiwanie.

— Niemożliwe — dziwi się Niemiec.

— Naprawdę. To mój idol... Mogę mówić do ciebie Leonardo?

— Oczywiście. Ładne imię. A ty podobna jesteś do Angeliny Jolie. Masz takie same zmysłowe usta i ogromne oczy. A w nich fosforyzujący blask. Tak jak ona. Gdybyś zapuściła włosy...

— Co ty opowiadasz? — przerywa mu, spuszczać skromnie oczy. — Ona jest wysoka i ma świetną figurę.

— Mnie bardziej podoba się twoja sylwetka — przylizuje się uwodziciel.

Tym razem stosuje zupełnie inną taktykę. Obsypuje ją komplementami, raz po raz ściska jej dłoń. A ona jest w siódmym niebie. Wciąż ma wrażenie, że śni.

To jest mój jedyny Leonardo — majaczy raz po raz.

— Pomogę ci posprzątać ze stołu — mówi mężczyzna po kolacji, zdejmując marynarkę i wieszając ją na krześle.

W kuchni najpierw obejmuje ją i całuje, po czym zabiera się do zmywania naczyń, pozostawiając jej tylko wycieranie. Zdumiewa ją swoim zachowaniem.

— Pochlapiesz sobie koszulę — oponuje.

— Nic podobnego. Mam wprawę.

Plusk wody, szcęk talerzy, zapach płynu do zmywania, zmieszany z jego perfumami, bliskość jego ciała... Lena czuje zawrót głowy, upuszcza wycierany talerz.

— O Boże! — wydaje okrzyk. — Przepraszam, zaraz pozbieram odłamki — mówi schylając się i pada jak długa na podłogę.

Jej idol podnosi ją. — Sam to zrobię. Chyba wypiałś za dużo wina. Idź do pokoju i połóż się na kanapie — mówi. — Zaparzę kawę, to ci dobrze zrobi...

Wszystko toczy się jak we śnie:

Popijając kawę, słuchają muzyki, później oglądają telewizję. W pewnym momencie Leonardo proponuje, by mu pokazała sypialnię.

Ona znów czuje zawrót głowy. Wstaje i chwiejnym krokiem prowadzi go do niej.

— Widzę, że jesteś zmęczona — mówi mężczyzna, obejmując ją, bo się zachwiała.

Jak zahipnotyzowana daje się rozebrać do bielizny. Wtedy on bierze ją na rękę, kładzie na łóżku i już leży obok niej w koszuli i spodniach, zsuwając tylko ze stóp buty. Przytula się do niej, gładząc ją delikatnie po głowie. Wiruje świat, gdy on zaczyna ją całować, niepostrzeżenie rozpinając biustonosz. Zdejmuje go i zrzuca na dywan obok łóżka. Teraz całuje jej piersi, brzuch. Lena drży z podniecenia. On powoli zsuwa stringi. Ona nie oponuje, w napięciu czeka, co nastąpi dalej. Tak bardzo chce stracić wreszcie cnotę, lecz nie jest pewna, czy znów nie wycofa się w ostatniej chwili. Gdy Leonardo wpija się ustami w jej wargi sromowe, jęczy z rozkoszy. Całując ją namiętnie, teraz dopiero mężczyzna zdejmuje koszulę i spodnie wraz ze slipami. Błyskawicznie kładzie się na niej i...

— Aua, au! — krzyczy Lena rozdzierająco, lecz już po chwili obejmuje go mocno i razem z nim zaczyna się miarowo kołysać, jęcząc cichutko. Jest tak cudownie, że chciałaby, żeby to trwało wiecznie. Ogarnia ją nieznana dotąd przyjemność, zaczynająca się tam na dole i rozchodząca się po całym ciele, od drętwiejących stóp aż po czubek głowy, zalewając falą upojenia.

— Nie kończ — szepcze mu do ucha. — Chcę, żeby to trwało jak najdłużej.

Friedrich nieruchomieje przez jakiś czas, lecz rozkosz nie ucieka. Pochłania ją bez reszty. Naprężona jak struna wygina się w szpagatowy łuk, podnosząc wysoko pośladki. Czuje jak drętwieją. Spazm ekstazy ogarnia ją całą aż po czubek głowy... Kończą w tym samym momencie, wyjąc jakby obdzierano ich ze skóry.

Leżą obok siebie z zamkniętymi oczyma, straszliwie wyczerpani. Lena wciąż odnosi wrażenie, że to sen. Odczuwa błogi spokój, jak niemowlę przy piersi matki...

W pewnym momencie mężczyzna podnosi dłoń, by otrzeć z piersi pot i widzi na niej krew. Spojrzawszy na Lenę, stwierdza z przerażeniem, że ona broczy krwią.

— Strasznie krwawisz. Chyba ci coś tam uszkodziłem. Nic cię nie boli? — pyta zaniepokojony.

— Skądże — zapewnia go. — Tylko przez moment zabolalo. — Obejmuje go z całych sił — Kocham cię, Leonardo — wyznaje spontanicznie. — Jestem taka szczęśliwa... Już się go nie boję. Uwielbiam go. Pokaż mi ten swój... czarodziejski flet.

— Proszę, zobacz, ale się nie przestrasz, bo wyglądam jak rzeźnik. Lena, to nie jest normalne, taki krwotok!

— Ach, jaki tam krwotok! Nic się nie stało. Zaraz zmienię pościel. Choć, idziemy pod prysznic — mówi rozpromieniona. Wstaje i ciągnie go za rękę do łazienki.

Gdy wycierają się ręcznikami po wyjściu z wanny, on zwraca się do niej chłodnym tonem:

— Nie zostanę na noc, bo nie uleżałbym spokojnie. Mogłabyś znów dostać krwotoku.

Ubiera się szybko i wchodzi do przedpokoju z zamiarem wyjścia.

Lena biegnie za nim w szlafroku.

— Zostań, proszę. — Obejmuje go i całuje. — Widzisz, że już nie krwawię.

— Nie, musisz się wyspać, jutro przez cały dzień leżeć i w poniedziałek pójść do ginekologa — stwierdza stanowczo Friedrich.

Uwalnia się gwałtownie z uścisku.

— Dobranoc — mówi oschłym tonem i wychodzi.

Lena stoi nieruchomo przy drzwiach ze spuszczoną głową.

Jak on może być tak obojętny po tym, co się z nami działo? — myśli



rozczarowana. — Skończył się piękny sen... I nie wie zwierz ni człek...

## Rozdział 13

Po jego wyjściu zawiedziona pozostała jeszcze jakiś czas przy drzwiach, po czym wolnym krokiem udała się do kuchni, gdzie wypila szklankę soku pomarańczowego. Następnie weszła do sypialni, zmieniła pościel, włożyła nocną koszulę i położyła się. Przez jakiś czas leżała z rękoma pod głową. Rozpamiętując przebieg tego wieczoru i doznana rozkosz, poczuła senność. Odwróciła się na bok.

— Ale byłam głupia! Jak mogłam się tego bać? Warto było, nawet gdyby on już więcej się ze mną nie spotkał — wyszeptała, ziewając. Uszczęśliwiona, że wreszcie straciła cnotę, usnęła.

Nazajutrz nie mogła powstrzymać się przed podzieleniem się tym sukcesem z Magdą.

— Stało się — wyznała przez telefon. — Nie jestem już dziewicą! A ty mi kazałaś iść do psychoterapeuty.

— Tylko nie mów, że straciłaś cnotę z tym frycem — zaniepokoiła się jej powierniczka.

— Dlaczego nie z nim? — spytała zaczepnie. — On jest cudowny. Kocham go. Zrobię wszystko, żeby się ze mną ożenił.

— A na pewno nie jest żonaty?

— No, właściwie... nie wiem. Może i ma żonę gdzieś tam w Niemczech, jednak w Katowicach mieszka sam. Nawet jeśli ją ma, to go rozwiodę! — wykrzyknęła bojowo.

— Lenko, dobrze, że wreszcie straciłaś cnotę. Był już najwyższy czas. Jednak... musisz sobie znaleźć jakiegoś Polaka.

— Nie chcę nikogo innego. Z nikim nie będzie mi tak cudownie.

— I co? Chciałabyś z nim mieszkać w Niemczech?

— Jak najbardziej. Za nim pójdę na koniec świata.

— Tak ci się teraz wydaje. Niemiec to Niemiec. Fałszywy jak lis!

— Ty znowu swoje. Zresztą, on jest Ślązakiem, tak jak moja mama. Nazywa się Polotzek, to znaczy Poloczek. Jego dziadkowie żyli w Bytomiu. Dopiero po wojnie zostali wypędzeni.

— Ci „wypędzeni” to naziści. Najgorszy typ Niemca. Zobaczyłabyś, jakby się oburzył, gdybyś mu powiedziała, że nie jest Niemcem tylko Ślązakiem.

— A co mi to przeszkadza?

— Dziewczyno, oni są naszymi wrogami. Nienawidzą nas. On się nigdy z tobą nie ożeni. Nigdy się z nim nie dogadasz. Oni uważają, że to ich tereny, z których zostali obrabowani. Nie poczuwają się do odpowiedzialności za wojnę.

Wszystkie zbrodnie przypisują zachodnim aliantom, Związkowi Radzieckiemu i Polsce. Powtarzam ci — nienawidzą nas. On cię nigdy nie zaakceptuje.

— Dlaczego? Leonardo uważa, że mam po mamie niemieckie korzenie. Lubi...

— Leonardo? — przerwała jej Magda. — Jaki Leonardo, przecież mówiłaś, że ma na imię Friedrich.

— Nazywam go Leonardo, bo jest podobny do Leonarda DiCaprio...

— Skąd ci to przyszło do głowy? Ty naprawdę jesteś w nim zakochana.

— Nawet bardzo. On jest cudowny! Lubi Śląsk i Ślązaków. Twierdzi, że wszyscy mieszkańcy zachodniej Polski mają niemieckie geny.

— Typowy nazista! Musisz porozmawiać z Arkiem. Koniecznie. On ich w Niemczech dobrze poznał. Wpadnij do nas na kawę. Najlepiej jeszcze dzisiaj, jesteśmy w domu. Chyba, że się z nim umówiłaś?

— No... nie. Kazał mi dziś leżeć w łóżku, bo strasznie krwawiłam. Chętnie przyjadę do was po południu, dawno już się nie widziałyśmy.

Magda i Arek mieszkali na Koszutce w trzypokojowym, ze smakiem urządzonym mieszkaniu. Arek był bezrobotnym dziennikarzem. Od czasu do czasu publikował artykuły w warszawskich pismach. Byli w zasadzie na utrzymaniu Magdy, która pracowała w biurze prawnym dużej firmy. Ucieszyli się na widok Leny. Objęli ją serdecznie na powitanie.

Usiedli przy kawie i szarlotce na dużym balkonie, gęsto otoczonym donicami, w których rosły tuje czyniące wrażenie cyprysów. Z trudem przeciskały się przez nie promienie słońca. Panowała orzeźwiająca atmosfera zacienionego ogrodu chroniącego przez upałem. Wyglądali nadzwyczaj malowniczo. Urodziwi, kolorowo ubrani. Obie kobiety w zwiewnych sukienkach przypominały barwne motyle. Długonoga Magda, blondynka o zmysłowej twarzy, miała na sobie mini-sukienkę z falbankami od góry do dołu, a Lena luźną, długą kreację ze skrzydlatymi rękawkami. Smagły brunet o ponurej fizjonomii ubrany był w dżinsy i koszulkę Polo w soczysto-krwistym kolorze. Przyglądał się gościowi w milczeniu z kpiącym uśmieszkiem na ustach.

Magda wlała do filiżanek kawę i nałożyła na talerzyki ciasto.

— No gratuluję. Nareszcie! Był już najwyższy czas, bo wyglądało na to, że do końca życia pozostaniesz dziewicą — wyraziła swoje uznanie. — Dobrze ci to zrobiło. Jesteś całkiem odmieniona. Promieniejesz szczęściem. Tylko... — Westchnęła ciężko. Zamierzała dalej mówić, lecz Lena ją uprzedziła:

— Daj już z tym spokój, Madziu — rzekła stanowczo.

— Nie mogę. Dla twojego dobra. Musimy o tym porozmawiać. Koniecznie. Martwię się o ciebie. Zaprosiłam cię po to, żeby wybić ci z głowy tego Niemca.

Posłuchaj, co ma do powiedzenia Arek. — Spojrzała pytająco na męża.

Jednak mężczyzna nie kwapił się z otwarciem ust. Łapczywie połykał duże kęsy szarlotki i popijał kawą.

— No, mów — niecierpliwiła się jego żona. — Opowiadaj, co spotkało twoją rodzinę w Niemczech.

— Mnie to nie interesuje — skrzywiła się Lena. — Chciałabym usłyszeć, co u was nowego, czy poważnie myślicie o przeniesieniu się do Warszawy, czy spodziewacie się wreszcie dziecka. A wy mi chcecie opowiadać jakieś stare historie. Co to ma do rzeczy? — denerwowała się.

— Wiele, bo oni znaleźli się tam właśnie wśród takich „wypędzonych” jak twój Fritz vel Leonardo.

— Słuchaj, dziewczyno — odezwał się wreszcie Arek. — Magda ma rację. Nie wiąż nadziei z tym Niemcem, bo możesz przeżyć tragiczne rozczarowanie. Moja siostra wyszła za Szwaba. Najpierw wykończył ją psychicznie, potem wyrzucił do Polski i zatrzymał przy sobie syna. W niemieckim sądzie nie miała żadnej szansy. Wróciła do Polski kompletnie załamana, bez dziecka. Mój ojciec wylądował w szpitalu psychiatrycznym, matka umarła ze zgryzoty, a mnie cudem udało się stamtąd uciec na studia do Katowic, gdzie mieszkali nasi krewni.

Niemcy chcieli zrobić ze mnie agenta działającego na szkodę Polski. Ten twój Leonardo to prawdopodobnie taki właśnie typ grasujący na Śląsku. Pewnie zechce, żebyś donosiła na swoje klientki.

— Bzdura! — zaoponowała gwałtownie. — On jest biznesmenem. — A zresztą — wzruszyła ramionami. — Nie sądzę, żeby jakiegoś agenta interesowały nasze babskie rozmowy.

— Mylisz się, ich interesuje wszystko.

— Opowiedz jej Arku, jak to z wami było, od początku — wtrąciła Magda. — Ona musi się dowiedzieć, co to za ludzie, ci „wypędzeni”.

— Okay, posłuchaj Leno, a potem dobrze się zastanów, zanim zwiążesz się z tym człowiekiem. Weź sobie do serca to, co ci mam do przekazania.

Patrząc jej prosto w oczy, zaczął opowiadać. — Miałem zaledwie dwa lata, jak znaleźliśmy się w północnych Niemczech, ale znam tę historię z relacji rodziców, a dalszy ciąg przeżywałem w miarę dorastania. Jak wiesz, mój ojciec był działaczem „Solidarności”. Po wyjściu z internowania zaangażował się w podziemną działalność. Groziło mu aresztowanie i wieloletnie więzienie. Zrozpaczona matka błagała go, żeby ze względu na dzieci skończył z tym. Było to jednak niemożliwe, gdyby został w Polsce, więc zdecydował się na emigrację. Mielśmy się udać do Francji, jednak załatwianie formalności przedłużało się, a ojcu grunt palił się pod nogami, więc zdecydował się szybko na wyjazd z rodziną do Niemiec, gdzie przyjmowano wszystkich Ślązaków jako tak zwanych późnych

przesiedleńców... — Arek przerwał i wlał sobie do filiżanki kawę. — Początki były wspaniałe. Piękne mieszkanie, wysoki zasiłek dla bezrobotnych, bezpłatna nauka niemieckiego, dobrobyt. Północni Niemcy są ewangelikami, więc w kościele katolickim, do którego chodziliśmy, byli niemal sami śląscy „wypędzeni”. Przyjęli nas z otwartymi ramionami. Emablowali nas za walkę ojca z komuną, wybrzydździłi wraz z nim na komuchów i Ruskich, zapraszali do siebie. Wiecznie balowali... Zostaliśmy wciągnięci do grona kilku co znamienitszych parafian, którzy po niedzielnej mszy spotykali się przy winie w domu parafialnym. Początkowo ojciec niezbyt dobrze znał język, więc nie domyślał się, z kim ma do czynienia. Jednak w miarę, jak zaczynał lepiej rozumieć, co mówią, coraz mniej mu się podobali. Byli od ojca znacznie starsi. Pewnie wszyscy w młodości należeli do *Hitler Jugend*. Poza tym ojciec z przykrością zorientował się, że nie znoszą cudzoziemców, nas zaś traktują jak swoich, to znaczy przesiedlonych Niemców. Zaczął się powoli domyślać, że całe to jego przyjacielskie grono to siatka wywiadowcza, czyli miejscowi „dwuetatowcy”, jak nazywano w Polsce konfidentów. Postanowił wycofać się z tego towarzystwa. Niestety, okazało się to niemożliwe...

Arek przerwał, sięgnął po kolejny kawałek szarlotki, ponownie napełnił filiżankę i zabrał się do pałaszowania ciasta.

— Mów dalej — zachęciła go Lena, coraz bardziej zainteresowana jego opowieścią. — Przerwałeś w najciekawszym momencie.

— Słuchaj, słuchaj — zwróciła się do niej Magda.

Zdążyła już zjeść kawałek ciasta i wypić swoją kawę. Wyszła do kuchni, by zająć się przygotowaniem kolacji, pozostawiając ich samych. Znała już tę opowieść z najdrobniejszymi szczegółami.

— Ci ludzie nie dawali nam spokoju — ciągnął mężczyzna. — Nachodzili nas nieustannie, wiecznie ich spotykaliśmy. Okazało się, że znają każdy nasz krok, wręcz każde słowo. Oburzali się, że rodzice wciąż rozmawiają z dziećmi po polsku. Prawdopodobnie zamontowali w naszym mieszkaniu podsłuch. Kiedy pojechaliśmy do innego kościoła, dopadł nas tam jeden z „przyjaciół” ojca i zagroził, że jeśli chcemy pozostać w Niemczech, to musimy przychodzić do swojej parafii na wino...

Ojciec znał już dość dobrze język, więc postanowił zająć się szukaniem pracy. Był inżynierem, co zapewniało mu intratną posadę. Tymczasem ci ludzie zapewniali go, że znajdą mu lepsze zajęcie. Sugerowali, że powinien zostać antykomunistycznym agentem. Mieli ogromne wpływy w miasteczku, więc postarali się o to, że wciąż odrzucano jego aplikacje.

Prawdziwa tragedia zaczęła się, jak zerwaliśmy z nimi wszelkie stosunki i postanowiliśmy się przenieść do innego miasta, gdzie ojciec znalazł wreszcie zatrudnienie. Przygotowywaliśmy się do przeprowadzki, kiedy tata zaczął się

dziwnie zachowywać. Po całych dniach siedział w milczeniu w fotelu, nie odzywając się do nikogo i na nic nie reagując. Zaniepokojona matka na siłę zawiozła go do psychiatry, który skierował go do kliniki psychiatrycznej. Po kilku miesiącach zwolniono go z rozpoznaniem schizofrenii. Nic nie wyszło z jego zatrudnienia i naszej przeprowadzki. Jednak czuł się dobrze, więc znów zaczął wysyłać podania o pracę do innych miast. W krótkim czasie ponownie wyłądownął w szpitalu. Zatruto go...

— Zatruto? — przerwała mu zdumiona Lena.

— Tak. Już, kiedy uczestniczył w spotkaniach „siatki wywiadowczej” w domu parafialnym, traktowano go jak jej członka. Niewiele wówczas rozumiał z tego, co mówili. Być może chodziło o to, że poznał jakieś ich tajemnice i że w ogóle zna tych konfidentów. Obawiali się, że ich zdradzi, więc zatruli go jakimś świństwem, by zrobić z niego chorego psychicznie, któremu nikt nie uwierzy, jeśli zacznie coś opowiadać...

— Niemożliwe — przerwała mu Lena. — Twój ojciec był schizofrenikiem. Im zawsze się wydaje, że ktoś ich chce otruć. To była mania prześladowcza.

— To co, mam opowiadać dalej, czy nie? — obruszył się mężczyzna. — Nie wierzysz mi, że tak było?

— Nie. Nie musisz już dalej opowiadać, bo wszystko już wiem. Twój chory psychicznie ojciec wykończył się, a twoja siostra po prostu trafiła na niewłaściwego człowieka. Takiego samego mogła spotkać w Polsce.

— Okay. Powiem ci jeszcze tylko tyle, że po ukończeniu dziennikarstwa w Katowicach dostałem pracę w „Dzienniku Zachodnim”, jednak kiedy przeszedł on w niemieckie ręce, jak zresztą wszystkie gazety w zachodniej Polsce, zwolniono mnie.

— Daj spokój. Współczuję tobie i twojej rodzinie. To rzeczywiście tragiczne mieć chorego psychicznie ojca, ale... — Wzruszyła ramionami. — Nie rozumiem, co to ma wspólnego z moim kochankiem... Wy wszyscy jesteście pod wpływem jakiejś antyniemieckiej psychozy! — krzyknęła nagle. — Owszem istnieją ci jacyś neofaszyści, ci „wypędzeni” z tą Eriką Steinbach, przewodniczącą Związku Wypędzonych, ale to garstki fanatyków, w Polsce też są tacy. W każdym zresztą kraju. Ale dzisiejsi Niemcy są najbardziej pokojowym narodem w świecie. Nie w głowie im jakieś odbieranie Polsce Śląska. To są kompletne bzdury... Pójdę już — powiedziała, wstając z miejsca.

— Jak chcesz — rozłożył bezradnie ręce mężczyzna. — Magda! Chodź tutaj — zawołał w głąb mieszkania. — Ona chce już iść do domu.

— Nie zjesz z nami kolacji? — spytała z niepokojem jego żona, natychmiast zjawiając się na balkonie. — I co, przemówił ci Arek do rozumu?

— Skądże! — obruszył się jej mąż. — Ona nie chce tego słuchać.

— Zostań — prosiła Magda Lenę. — Musimy jeszcze porozmawiać. No, co

tak nagle uciekasz?

— Źle się czuję. Muszę się położyć. Dziękuję za pyszną szarlotkę i kawę. Zdzwoniemy się jeszcze.

## Rozdział 14

W poniedziałek zadzwonił do niej Friedrich.

— Na czwartek zamówiłem ci wizytę u bardzo dobrego ginekologa, profesora Jelonka, którego poleciła mi znajoma. Musisz się gruntownie przebadać — oznajmił zdumionej Lenie.

— Po co? Ja już nie krwawię. Wszystko w porządku. Dobrze się czuję.

— Musisz się przebadać. Każda kobieta powinna regularnie raz w roku robić badania ginekologiczne, więc zacznij teraz.

— Dobrze. Wzruszona jestem twoją troskliwością — ucieszyła się. — A kiedy się spotkamy?

— Przyjadę do ciebie w niedzielę rano i zrobimy mały wypad w Beskidy, jeśli masz ochotę.

— Cudownie! Strasznie się cieszę.

Gdy odłożyła słuchawkę ogarnęło ją błogie uniesienie. Mam kochanka, mam kochanka — powtarzała w myśli. — Głupia byłam. Obawiałam się, że to był tylko ten jeden raz. Nie wierzyłam, że on zadzwoni. A jednak. Ten piękny, wytworny mężczyzna chyba się we mnie zakochał, skoro tak się o mnie troszczy. Zależy mu na mnie.

Spotykali się odtąd coraz częściej. Friedrich był wielce zadowolony z tej znajomości. Miał na zawołanie atrakcyjną, niezobowiązującą kochankę, która godziła się z dłuższymi okresami jego nieobecności i pokornie znosiła jego humory. Jego tajemniczość i powściągliwość ekscytowały ją. Jak dziecko cieszyła się prezencikami, którymi ją obsypywał, nie zdając sobie sprawy, że dla niego były to grosze. Opętana doznawaną w łóżku rozkoszą, zachowywała się jak marionetka, której sznurki pociągał wspinały kochanek.

Gotowała dla niego pyszne kolacyjki, po spożyciu których siadała u jego stóp, obejmując jego nogi, przytulając się do jego kolan, czujna na każde jego słowo i skinienie. Z drżeniem serca czekała na moment, gdy znajdą się w sypialni. Kiedy ktoś ją pytał o niego, odpowiadała zdawkowo, że jest jej z nim dobrze. Obawiała się, iż nic nie wyjdzie z matrymonialnych planów, lecz żyła chwilą obecną, nie zawracając sobie głowy przyszłością. Czasami tylko ogarniał ją lęk przed rozstaniem, gdyby jej ukochany zmuszony został wrócić do Niemiec, lecz nie śmiała go o to pytać. Może zabierze mnie ze sobą? — łudziła się. — Może jednak w końcu ożeni się ze mną?

Na wszelki wypadek trzymała tę znajomość w tajemnicy, by nie zapeszyć. Nawet Anecie nie opowiedziała o jej pomyślnym rozwoju. Z Magdą spotykała się



rzadko, i nigdy nie rozmawiała z nią o cudownym kochanku. Zbywała pytania, przechodząc na inny temat. Podczas jego nieobecności oglądała niemiecką telewizję i czytała niemieckie książki. Pogłębiała znajomość języka i niemieckiej kultury. Wciąż tliła w niej iskierka nadziei na małżeństwo.

Magda niepokoiła się o nią, lecz nie miała głowy, by o niej zbyt wiele myśleć, bo zajęta była przeprowadzką do Warszawy, gdzie jej mąż zdobył wreszcie etat w jednej z tamtejszych gazet.

\*

— Wiesz, mam problem — zwróciła się Lena tego wieczoru do Friedricha podczas kolacji. — Dzisiaj pewna klientka objechała mnie za to, że pytam ją o nastawienie do Niemców. Chyba ją straciłam.

— Nie panikuj — uspokoił ją Friedrich. — Na pewno dalej będzie do ciebie przychodziła. Niepotrzebnie ją o to spytałaś.

— Przecież powiedziałaś, że mogłabym z klientkami rozmawiać na poważniejsze tematy. Chodzi o to, żeby Polacy nie byli wrogo nastawieni do Niemców.

— Najważniejsze, że Ślązacy są po naszej stronie. Świadczy o tym Ruch Autonomii Śląska.

Poczuła się nagle, jakby uderzył w nią grom. Przypomniała sobie rozmowę ojca z matką, która postanowiła podczas spisu ludności zadeklarować przynależność do narodowości śląskiej.

— Ty chyba zwariowałaś! — krzyczał ojciec. — Ślązacy to Polacy. Tak samo jak Górale, Kaszubi, Mazurzy. O co walczyli powstańcy śląscy? O polskość. A wy się jej teraz chcecie wyprzeć? Przecież ty nigdy nie rozmawiasz po śląsku! Pewnie nawet nie umiesz.

— Umiem, umiem — odpowiedziała spokojnie — Rozmawiałam po śląsku z rodzicami, chociaż oni między sobą zawsze po niemiecku. Za mało o mnie wiesz... Kiedy Bytom był niemiecki, dziadkowi doskonale się powodziło, o wiele lepiej niż później w Polsce. Opowiadał o tym mamie, wychowywał ją w niemieckim duchu. Rodzice próbowali mnie uczyć niemieckiego, ale nie chciałam o tym słyszeć, bo mówienie po niemiecku było wtedy na Śląsku zabronione, a teraz tego żałuję.

— To ta koleżanka z technikum, która należy do Ruchu Autonomii Śląska, pewnie cię namówiła do zadeklarowania narodowości śląskiej. A wiesz, co ci powiem? Autonomiści ukrywają pod szyldem śląskości to, że chcieliby, żeby Śląsk był częścią Niemiec. Ci działacze zrobili wam wodę z mózgu, a ich przekupili niemieccy agenci... Wiesz, do czego to ma doprowadzić? Najpierw autonomia, a potem przyłączenie do Niemiec.

— Co ty opowiadasz? Jacy agenci? Widzę, że ci już całkiem odbiło. Jesteś jakiś niedzisiejszy — zezłościła się matka. — Z biegiem czasu będzie tylko Europa, a nie Niemcy, Polska, Francja...

— Przyznaj się, należysz już do tego waszego Ruchu Autonomii Śląska, co? Zawsze ci brakowało jakiejś działalności. No i znalazłaś sobie!

— A ty byś chciał, żebym siedziała w domu i tylko tobie usługiwała. Jestem tak samo jak ty absolwentką technikum i też chciałabym pracować, ale w tej waszej Polsce jest takie bezrobocie...

— Waszej Polsce?! — wściekł się ojciec. — To już nie jest twoja ojczyzna!

— Taką ojczyznę to ja mam w dupie. W Niemczech nie byłabym bezrobotna.

— Zaraz, zaraz. Jednak chcecie być Niemcami, a nie Ślązakami. Ta cała autonomia to tylko taka przykrywka dla tych Ślązaków, którzy nie mogą się wykazać niemieckim sztambuchem. No, no, niemiecka agentura działa jak należy.

— Głupi, ciemny oszołom! — krzyknęła matka i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Przypominając sobie tę awanturę, a także to, co opowiedział jej Arek, złękła się, że jej kochanek jest agentem. Jej szare komórki ukłuła żądłem piekąca myśl: „Chce ze mnie zrobić donosicielkę działającą na szkodę Polski. Tylko z tego powodu spotyka się ze mną, wcale się we mnie nie zakochał”.

— Nie nadaję się na agentkę — wyszeptwała, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

— Jaką agentkę? — Uśmiechnął się z politowaniem. — Prawdziwy agent musi mieć niemieckie obywatelstwo, ukończone wyższe studia i... Masz jakieś dziwne pojęcie o agentach i jak wszyscy Polacy nienawidzisz Niemców. Daj sobie spokój z takimi myślami. Po prostu... nie rozmawiaj już więcej z klientkami na takie tematy. Jak mi jeszcze kiedyś zarzucisz jakąś agenturalną działalność, to z tobą skończę.

— Masz mnie chyba za idiotkę. Ten biznes to tylko przykrywka. Nigdy nie opowiadasz o interesach, które tu prowadzisz.

— Jesteś na to za głupia. Nic byś z tego nie zrozumiała.

— Nie chcę tracić klientek. Jedna skarżyła się, że ma przykrości w pracy. Szef zaczął jej nagle wymyślać od „gorolek” i wrogów Ślązaków, groził zwolnieniem... Wiesz, klientki przyjaźnią się ze mną, opowiadają mi w zaufaniu różne rzeczy, a ja to wszystko tobie powtarzam. Jak Judasz. Nie wiedziałam, że robisz z tego użytek.

— Ty chyba oszalałaś! — przerwał jej. — Jak będziesz plotła takie bzdury, to naprawdę będę musiał przestać się z tobą spotykać.

On mnie nie kocha, pomyślała załamana. Ale ja za nim szaleję. Umarłabym z rozpaczy, gdyby mnie porzucił!

— Błagam, nie odchodź ode mnie! — Wybuchła płaczem. — Jesteś dla mnie wszystkim — łkała. — Umarłabym, gdybyś mnie zostawił!

Zrobiło mu się jej żal.

— Uspokój się. Moje poglądy to moja sprawa. Przecież nie musisz ich podzielać. Po co rozmawiasz z klientkami na takie tematy? I po co powtarzasz mi, co one mówią?

— Bo mnie do tego zachęcałeś.

— Nie wiedziałem, że jesteś taka głupia, że nie potrafisz dyskretnie zmieniać nastawienia Polaków do Niemców.

\*

Czuła się, jakby chodziła po linie, z której w każdej chwili może spaść. Drżała ze strachu, że pewnego dnia zapukają do drzwi funkcjonariusze służb specjalnych. Jednak jeszcze bardziej obawiała się, że straci swojego Leonardo.

Po nocach dręczyły ją koszmary. Kiedyś przyśniło się jej, że jest zamknięta w więziennej celi. Leżała na prycy z rękoma pod głową i skamieniała z rozpaczy patrzyła w sufit. Nagle ujrzała, że łażą po nim ogromne, brunatne karaluchy. Zerwała się i zaczęła walić w drzwi.

— Wypuście mnie. Nie jestem agentką. Jestem tylko marną donosicielką! — krzyczała wniebogłosy.

To znów pojawiał się przed nią Friedrich i mierzył do niej z pistoletu.

— Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko daruj mi życie — błagała, padając przed nim na kolana.

Budziła się zlaną zimnym potem i nie mogła już więcej usnąć. Wstawała wówczas z łóżka, wyjmowała z barku koniak i popijała do rana. Potem dzwoniła do Ilony, by odwołać zabiegi przewidziane na ten dzień.

Zdarzało się jej to coraz częściej, więc zatrudniła jeszcze jedną kosmetyczkę, która ją zastępowała. Dzień po dniu wpadała w alkoholizm. Jedynie wówczas, gdy jej matka miała wizytę, brała się w garść i zjawiała się w gabinecie. Zależało jej na tym, by nie wzbudzić zaniepokojenia rodziców.

Podczas spotkań z Friedrichem kochała się z nim zapamiętale, by zapomnieć o dręczącym ją lęku. Często była pijana, lecz jemu początkowo to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, zadowolony był z tego, bo wówczas mógł posuwać się do perwersji. Jednak w końcu zaczął się martwić, że straci taką wygodną kochankę.

— Co się z tobą dzieje, Lena? — przywołał ją pewnego wieczoru do porządku. — Za dużo pijesz. Jeśli z tym nie skończysz, przestanę się z tobą spotykać — zagroził.

— Dobrze. Nie wypiję już więcej ani kropli — zapewniła go gorliwie.

Gdy jednak Friedrich na jakiś czas znikł, znów zaczęła się upijać. Jego nieobecność przedłużała się, a ona w tym czasie doprowadziła się do stanu kompletnej degrengolady.

Pewnej nocy obudziła się, trzęsąc się ze strachu. Straszliwie huczało jej w uszach. Nagle zaczęła słyszeć jakiś chrapawy, przeraźliwy głos:

— Jestem z ciebie dumny. Tylko tak dalej, a będziesz prawdziwą Niemką.

Przerażona zerwała się z pościeli. Przed nią stał szkaradny osobnik w mundurze gestapowca. Na jego czapce ujrzała duże rogi.

— Idź precz, szatanie! — krzyknęła. — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Koniec ze mną, znalazłam się w piekle — pomyślała spanikowana.

— Zgiń, przepadnij, maro przekłeta! — wrzasnęła po raz drugi.

Lecz gestapowiec nie zniknął, tylko uśmiechał się ironicznie.

— Agentka z miłości — wycedził przez zęby, kiwając głową z politowaniem. — Widzisz, do czego doprowadziła cię miłość. Znalazłaś się w naszych siłach. Już się nam nie wywiniesz. Będziesz agentką... Będziesz agentką... — powtarzał diabeł, rozpluwając się w świetle poranka.

Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju, zatykając uszy obiema dłońmi, gdyż głowę jej rozsadał chrapliwy głos: „Będziesz agentką, będziesz agentką, będziesz agentką” — powtarzał w kółko.

— Jezus, Maria, zwariowałam! — krzyknęła przeraźliwie w pewnym momencie, tracąc przytomność.

Kiedy się ocknęła, leżała w łóżku, a nad nią pochylał się diabeł, który perfidnie przybrał postać jej ukochanego Leonardo.

— Nie oszukasz mnie, jesteś szatanem! — krzyknęła i splunęła mu w twarz.

— *Verdammt!* — zaklął Friedrich. — Ona oszalała.

— Lena, to ja, twój Leonardo — zwrócił się do niej łagodnym tonem, wycierając twarz. — Opamiętaj się. Leżałaś nieprzytomna na dywanie. Ledwo cię ocucilem. Opowiedz, co się stało.

— To ty? Naprawdę? A skąd się tu wziąłeś?

— Mam twoje klucze, odkąd zaczęłaś upijać się do nieprzytomności. Sama mi je dałaś.

— Akurat. Taki zły duch to może wejść nawet przez dziurkę od klucza — rzekła napastliwie, mrużąc oczy.

Mężczyzna usiadł zrezygnowany na łóżku. Co mam z nią teraz zrobić? —

myślał zaniepokojony. — Ona chyba naprawdę zwariowała!

— Idź precz, przekłety szatanie! — krzyknęła. — Mało ci, że mnie nachodzisz w nocy, to jeszcze i w dzień mnie niepokoisz. Zrozum, nigdy nie będę ani Niemką, ani agentką... Idź już sobie, idź — zepchnęła go z łóżka.

Zrezygowany wyszedł do pokoju dziennego. Usiadł przy stoliku okolicznościowym. Wlał do kieliszka koniaku z niedopitej przez Lenę butelki.

Co robić? — zastanawiał się zmartwiony. — Nie mogę jej tak zostawić. Rodzice zawiozą ją do psychiatry, a ona mu zacznie pleść jakieś bzdury. Jeszcze faktycznie zaczną mnie posądzać, że jestem agentem wpływu. Zaczną mnie śledzić, inwigilować...

Siedział zadumany przez jakiś czas, w końcu podjął decyzję. Nie ma wyjścia. Muszę jechać do tego znajomego lekarza po zastrzyk i zaaplikować go jej na siłę. Szybko wywozę ją do kliniki psychiatrycznej w Monachium. Tu jej nie pomogą tak dobrze, jak w Niemczech. Zanim się obudzi, będzie już tam leżała.

## Rozdział 15

Otworzyła oczy, uniosła się na łóżku i rozejrzała się. Była w jasnym pokoju pomalowanym na niebiesko. Za dużym oknem z żółtymi zasłonami przez gałęzie rozłożystego świerka przeciskały się promienie słońca. Przy przeciwległej ścianie stało drugie łóżko. Było puste. Lecz przy stoliku okolicznościowym siedziała w fotelu przyjaźnie uśmiechnięta młoda, ładna kobieta z długimi, jasnymi włosami. Ubrana była w dżinsy i czarny T-shirt. Przed nią stał otwarty laptop.

— Gdzie jestem? — zwróciła się do niej zszokowana Lena.

— Musisz mówić po niemiecku, bo cię nie rozumiem — odpowiedziała kobieta.

— Jak to? Jesteś Niemką? A skąd się tu wzięłaś? — spytała po niemiecku.

— Normalnie. Jestem chora. Mam na imię Alma — odpowiedziała sympatyczna kobieta. — A ty, jak się nazywasz?

— Lena — odpowiedziała szybko i złapała się za głowę. — To znaczy, że... jestem w niemieckim szpitalu?! — krzyknęła zdumiona.

— Tak. W klinice psychiatrycznej w pobliżu Monachium. A co, dziwi cię to?

— Psychiatrycznej?! Jezus Maria! Jak ja się tu znalazłam?! — Wybuchła płaczem.

— Uspokój się. Przywieziono cię wczoraj w nocy, ale byłaś pogrążona we śnie. Spałaś spokojnie do rana... No, nie płacz. — Alma podeszła do jej łóżka i pogładziła ją po głowie. — To nie jest taki normalny szpital psychiatryczny, tylko luksusowa klinika. Tu nie ma żadnych furiatów... Zjedz coś. Przespałaś wizytę lekarską i śniadanie, które jest na tacy, na twojej szafce. Jedz, to ci dobrze zrobi.

— O Boże! — wykrzyknęła Lena, przypominając sobie nagle szatana w postaci Friedricha. — To ten diabeł mnie tu przywiózł. — Patrzyła na swoją towarzyszkę rozszerzonymi z przerażenia oczyma. — Wiesz, on mnie nazwał agentką z miłości... Boże, jestem w piekle za to, że zdradziłam ojczyznę! — Złapała się za głowę. — Ty też jesteś diabolicą?

— Co ty wygadujesz? Zaraz przyjdzie pielęgniarka i da ci zastrzyk. Później porozmawiamy. — Nacisnęła guzik nad łóżkiem.

Natychmiast zjawiała się młoda, ładna dziewczyna w krótkim, błękitnym kitlu i białych legginsach.

— Siostró, ona się obudziła — powiedziała Alma.

— Widzę — rzekła pielęgniarka. — Dam pani teraz zastrzyk przepisany przez panią doktor — zwróciła się uprzejmie do Leny. — Proszę się nie bać, to nie będzie bolało. Tylko ten jeden raz. Wieczorem dostanie pani tabletkę — uspokoiła ją, widząc jej przerażoną minę. — Proszę się położyć na brzuchu i odsłonić

pośladek — poprosiła grzecznie.

Niezbyt przytomna Lena wykonała bez sprzeciwu jej polecenie. Nie bolało. Poczowała tylko delikatne ukłucie.

Po wyjściu pielęgniarki położyła się na bok i leżała bezmyślnie, zupełnie załamana. Po pewnym czasie uzyskała jasność umysłu. Powoli zaczęła przypominać sobie wszystko po kolei. Jak na filmowej taśmie pojawiały się przed jej oczyma ostatnie wydarzenia. Pamiętała, że Friedrich wbił jej na siłę jakiś zastrzyk.

Uśpił mnie i przywiózł tutaj. W końcu dobrze zrobił, bo przecież nie mogłam dalej brnąć w tę alkoholową psychozę — pomyślała z wdzięcznością. Tylko... Oni tam w Polsce będą się niepokoić. Mogą zgłosić na policję, że zniknęłam — zmartwiła się.

Zaraz, zaraz, gdzie jest komórka? — zaniepokoiła się. — Czy Friedrich pomyślał o tym, by zabrać moją torebkę z przedpokoju? Powinna tu być... Jest! — Poczowała ulgę, spostrzegłszy ją na szafce przy łóżku. Muszę sprawdzić, kto dzwonił i uspokoić ich.

Nie potrafiła jednak zmusić się do sięgnięcia po komórkę. Obezwładniona była głęboką depresją. Co z tego, że nie miała już halucynacji i nie słyszała głosów, skoro była tak załamana, że nie miała ochoty dalej żyć. Nie wyobrażała sobie rozmowy z kimkolwiek.

Później zadzwonię. Najpierw zjem tę bułkę z szynką — zdecydowała, odczuwając głód.

Zajadła z apetytem, popijając kawą. Gdy skończyła, poprawił się jej nastrój.

Wspaniały zastrzyk — pomyślała z zadowoleniem. — Jak tu ładnie, czysto... A ta Alma... Ta pielęgniarka... Obie takie sympatyczne i miłe.

— Wstawaj, ubieraj się — zwróciła się do niej towarzyszka niedoli. — Niedługo będzie obiad. Chyba nie chcesz zjawić się w jadalni w nocnej koszuli?

Lena przeciągnęła się, odczuwając wyraźną ulgę. Dzięki zastrzykowi była spokojna i pogodzona z sytuacją. Wstając, zauważyła, że ma na sobie pachnącą świeżością błękitną koszulę. — A skąd mam wziąć coś do ubrania? — spytała.

— Twoje ciuchy są w neseserze, który schowałam na półce w szafie. Rozpakuj się, powieś swoje rzeczy. Do obiadu mamy jeszcze trochę czasu.

Pamiętał o wszystkim — pomyślała z czułością o Friedrichu. — Zatrószył się o mnie... Jest trochę oschły. To prawda. Taki ma charakter, ale mnie kocha. Z kim byłoby mu tak dobrze, jak ze mną?

W neseserze panował galimatias. Rzeczy powciskane były bez ładu i składu.

Strasznie się spieszył, jednak zabrał, co trzeba — stwierdziła, wyciągając wszystko na podłogę. Były tam kosmetyki, przybory toaletowe, szlafrok, pantofle domowe, bielizna, sukienki, bluzki i spodnie, a także sandały na płaskim obcasie. Nigdy tego nie nosiła, ale przecież nie mogła chodzić po szpitalu w szpilkach

i eleganckiej sukni. Włożyła szlafrok, po czym wyszła z przyborami toaletowymi do łazienki. Nucąc pod nosem, wzięła prysznic, umyła zęby i zrobiła makijaż. Następnie zabrała się do wieszania i układania rzeczy w szafie. Gdy skończyła, włożyła czerwone spodnie i czarną bluzkę z koronkową wstawką.

Alma przyglądała się jej uważnie, lecz milczała. Dopiero, gdy spojrzała na zegarek, rzekła: — No, teraz to już musimy iść na obiad.

Przeszły do końca korytarza z lśniąca czystością posadzką. Przez oszklone drzwi, które rozsunęły się automatycznie, weszły do schludnej, wymalowanej na biało jadalni, ozdobionej palmami i rododendronami. Usiadły przy wolnym stoliku. Przez zasłonięte muślinowymi firankami okno zaglądały do środka ciekawie szczerotczkowe igiełki górskich sosen. Przy jednej ze ścian znajdował się bufet z sałatkami warzywnymi. Stoliki nakryte były czerwonymi obrusami. Sztućce leżały na kolorowych serwetkach. Przy pozostałych kilku stolikach siedzieli już inni przyzwyczajeni wyglądający pacjenci. Nie czynili wrażenia chorych psychicznie.

Natychmiast podeszła do nich uśmiechnięta kelnerka w białej bluzce i czarnych spodniach, przepasanych długim, czerwonym fartuchem. Miała staranną fryzurę i makijaż, wyglądała jak modelka. Zaproponowała dwie zupy i dwa główne dania do wyboru: mięsne lub wegetariańskie. Alma wybrała rosół, a Lena pomidorową. Gdy skończyły jeść zupę, na stole pojawiły się drugie dania oraz budyń czekoladowy na deser. Podeszły do baru z sałatkami i nałożyły sobie pełne miseczki sałaty, pomidorów, ogórków, kukurydzy oraz innych warzyw. Połały je winnym octem i oliwą z oliwek.

Lena nie mogła wyjść z podziwu. Czuła się jak w eleganckiej restauracji.

— Tak tu... elegancko — zachwyciła się, jedząc łączywie, chociaż potrawy nie były zbyt smaczne. — Czy w Niemczech we wszystkich szpitalach panuje taki luksus? — spytała zdziwiona.

— Mówiłam ci już, że ten jest szczególny, ale we wszystkich dobrze karmią.

— Co to znaczy szczególny? — Lena złękła się, że Friedrich umieścił ją w jakiejś utajnionej placówce dla agentów.

— No przecież ci powiedziałam. To jest prywatna klinika. Nie rozumiem — zniecierpliwiła się. — Po zastrzyku zaczęłaś się normalnie zachowywać, więc chyba wreszcie wiesz, gdzie jesteś i jak się tu znalazłaś... Czy tobie w dalszym ciągu wydaje się, że mieszkając w Niemczech, zdradziłaś ojczyznę i pójdziesz za to do piekła?

— Nie. Już mi przeszło. Ale... nie mieszkam w Niemczech, tylko w Polsce.

— To jakim cudem znalazłaś się tutaj?

— Mój przyjaciel jest Niemcem przebywającym na Śląsku. Doszedł widocznie do wniosku, że tu mnie lepiej wyleczą. Gdy wpadłam w furję, zaaplikował mi środek usypiający... No i przywiózł tutaj. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Dopiero po zastrzyku, który mi dała pielęgniarka, uzmysłowiłam



sobie to wszystko.

— No, cieszę się, że ci już przeszło — Odetchnęła z ulgą Alma. — Bo bardzo ci współczułam, kiedy się tak trzęsłaś ze strachu, że jesteś w piekle... Szybko doszłaś do siebie... Powiedz mi, z jakiego powodu wpadłaś w szal? Nie wyglądasz na chorą psychicznie.

— Ty też nie sprawiasz wrażenia chorej — stwierdziła Lena, nie odpowiadając na jej pytanie. Nie mogła powiedzieć, jak naprawdę było, a żadne kłamstwo nie przyszło jej do głowy.

— Jestem już wyleczona. Za dwa dni wracam do domu — odpowiedziała Alma, dyskretnie nie dopytując się już dalej o przyczynę jej psychozy.

Ciekawa była, na czym polegała choroba Niemki, lecz nie spytała jej o to. Pomyślała, że jeśli ona zechce, to sama opowie. Jadły w milczeniu. Gdy skończyły, Alma zaproponowała poobiednią drzemkę. Położyły się w ubraniu na przykrytych kocami łóżkach. Lena leżała posłusznie w milczeniu, lecz nie była senna. Najgorsze, że zastrzyk przestał działać. Jak bańka mydlana prysnął jej dobry nastrój. Odczuwała niepokój i przygnębienie. Nie wiedziała, co ją w tym szpitalu czeka i jak długo w nim pozostanie. Zastanawiała się, jak wyjaśnić swoje zniknięcie bliskim.

W jej mózgu znów odezwał się ten przeklęty głos: „Agentka z miłości, agentka z miłości” — powtarzał.

Przecież nie jestem żadną agentką, uspokajała się. To jakaś przeklęta psychoza... Ale co zrobić, żeby Leonardo mnie nie opuścił — ponure myśli kłębiły się w jej głowie. — On mnie i tak prędzej czy później zostawi, znajdzie sobie inną kochankę. I co ja wtedy zrobię? Zapiję się na śmierć albo wyląduję w polskim szpitalu psychiatrycznym, a tam nie będzie tak różowo, jak tutaj.

Nagle odezwała się jej komórka. — Leonardo! — krzyknęła uszczęśliwiona. — Odwiedzisz mnie?

— Nie mogę, muszę wracać do Polski. Powiedz, jak się czujesz.

— No... Nieźle. Tylko... Strasznie mi smutno. No i wstydzę się.

— Ale wiesz już, że nie jestem diabłem?

— Oczywiście — zapewniła go skwapliwie. — Dostałam wspaniały zastrzyk, po którym przez pewien czas czułam się normalnie. Jednak... Teraz znów odzywa się w moim mózgu diabelski głos. Ale to przejdzie. Wyleczą mnie... Nie gniewasz się, że sprawiłam ci tyle kłopotu? Jestem ci bardzo wdzięczna, że przywozłeś mnie do tej świetnej kliniki... Tylko... jak ja zapłacę za pobyt tutaj?

— Tym się nie przejmuj. To moja sprawa. Mam nadzieję, że przestaniesz wreszcie upijać się do nieprzytomności — rzekł ostrym tonem. — Zadzwoń, jak cię wypiszą. Przyjadę po ciebie. Trzymaj się — zakończył rozmowę.

On w ogóle nie chce ze mną rozmawiać — myślała zrozpaczona. Załamana ręce. Jak mogłam się łudzić, że on mnie kocha? Ma mnie w nosie.

Nie, to niemożliwe! — zbuntowała się. — Moja miłość... Moja wielka, szalona miłość wystarczy za dwoje. On nigdy nie znajdzie drugiej takiej kochanki.

Akurat! Znów zwątpiła. Dla niego to niewiele znaczy. Tylko, głupio mi. Przecież jestem Polką! Dziadek chyba przewraca się w grobie, jak widzi, jakiego mam kochanka. A tatuś... No, nie wiem, co by było, gdyby się dowiedział.

— Nie jestem agentką! Odczep się ode mnie przekłety diable! — krzyknęła na głos po polsku, bo znów usłyszała: „Agentka z miłości”. Widzisz, do czego doprowadziła cię miłość?”.

— Co się dzieje? — Zerwała się z łóżka Alma. — Dlaczego krzyczysz?

Podeszła do niej i objęła ją. — Chodź, pójdziemy do ogrodu. Usiądziemy na ławce i porozmawiamy. Opowiesz mi, co cię dręczy, to ci trochę ulży.

Wkrótce znalazły się we wspianiałym parku z ogromnymi, starymi drzewami i klombami różnorodnych kwiatów. Jednak Lena tego nie widziała, bowiem była już w innym świecie, pogrążona w piekielnej otchłani swojego wnętrza. Skamieniała z rozpaczy, siedziała skulona obok jakiejś diablidy, która wciąż powtarzała z ironicznym uśmiechem: „Agentka z miłości”. Na innych ławkach siedzieli, tacy jak ona, zdesperowani potępieńcy, a pilnujące ich piekielne biesy spacerowały wzdłuż alei z czarnymi kikutami drzew.

Siedziała ze spuszczoną głową w milczeniu. Widząc to, jej towarzyszka zaczęła opowiadać o sobie.

— Pewnie ciekawa jesteś, na czym polegała moja choroba i dlaczego się tu znalazłam. Otóż: wyobraź sobie, że wychowałam się w rodzinie wyznającej nazizm. Od dziecka indoktrynowano mnie w tym duchu. Wiedziałam nawet, że mój ukochany dziadek był esesmanem. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że służył zbrodniczemu systemowi. Nikt w rodzinie nie ukrywał tego przede mną. I było to dla mnie całkiem normalne. Mieszkaliśmy na wsi, więc gdy przeszłam do gimnazjum w pobliskim mieście, zamieszkałam w internacie, gdzie zetknęłam się z dziećmi emigrantów, które wprowadziły mnie w nieznaną mi rzeczywistość. Na lekcjach historii poznałam całą prawdę o nazistowskiej ideologii. Przeżyłam szok. Trudno mi było uwierzyć, że tak ciepli, kochający ludzie, jak mój dziadek, babcia i w ogóle cała moja rodzina, mogli mieć w sobie tyle nienawiści do innych. Najgorsze przeżycie stanowiła dla mnie wycieczka do Auschwitz-Birkenau... — Kobieta przerwała i zamyśliła się, nie zwracając uwagi na towarzyszkę. — Zerwałam z rodziną, znienawidziłam bliskich — podjęła swoją opowieść po pewnym czasie, patrząc przed siebie. — Nie pojechałam nawet na pogrzeb babki, z którą byłam bardzo zżyta. Poczułam się straszliwie samotna. — Spojrzała na swoją towarzyszkę. — Ale ty mnie nie słuchasz. Co się z tobą dzieje?

Do Leny nie docierało, co ona mówi. Zdawało się jej, że Alma powtarza

w kółko te przeklęte słowa: „Agentka z miłości.”

## Rozdział 16

Do wieczora cierpiała straszliwie. Leżała w ubraniu na łóżku, pogrążona w otchłani rozpacz.

— Jak uwolnić się od złych spojrzeń i przekleństw? — mamrotała pod nosem. — Od napaści i sztyletów wbijanych w serce? Jak nie myśleć o zasadzkach? Jak rozpoznać znak dobrych oczu? Jak odzyskać zgubioną wiarę i straconą nadzieję? Jak znaleźć szlak miłości? Jak ożywić martwą duszę, spaloną na popiół?

Nie reagowała na podejmowane przez Alnę próby wyciągnięcia jej z otępienia. Nie poszła z nią do jadalni na kolację. Dopiero podana jej przez pielęgniarkę tabletki przywróciła ją po pewnym czasie do rzeczywistości. Znow znalazła się w szpitalnej sali w towarzystwie sympatycznej Almy, która czytała tym razem książkę, nie usiłując już więcej nawiązać z nią rozmowy. Wstała i jak automat wzięła prysznic, umyła zęby, włożyła nocną koszulę i udała się na spoczynek. Zupełnie wyczerpana od razu usnęła.

Kiedy się obudziła, stała nad nią kobieta w niebieskim kitlu, w trudnym do określenia wieku, gdyż twarz miała tak nafaszerowaną Botoxem i Hyaluronem, że z oczu zrobiły się jej szparki, ale za to nie można było na niej dostrzec zmarszczek. Usta miała umalowane czerwoną szminką i na ten sam kolor pomalowane paznokcie.

— Jak się czujemy, pani Gustek? — spytała lekarka.

— Trochę lepiej.

— Proszę w dalszym ciągu zażywać tabletki, a kiedy już będzie całkiem dobrze, porozmawiamy.

Po wyjściu lekarki obojętnie patrzyła, jak Alma pakuje rzeczy do neseseru. Wychodziła w tym dniu ze szpitala. Pożegnała się z nią serdecznie, życząc wyzdrowienia.

Została sama w pustym pokoju. Była spokojna.

Można uwolnić się od depresji — pocieszała się. — Można... Poprzez olśnienie pięknem otaczającego świata. Poprzez zadziwienie serca.

Postanowiła zadzwonić wreszcie do matki

— Dzień dobry, mamusiu. Dzwonię, żeby odwołać zabieg. Byłam bardzo przemęczona. Musiałam wyjechać na odpoczynek do Zakopanego. Nie będzie mnie przez dwa tygodnie.

— Mówisz takim omdłym głosem. Stało się coś złego? — zaniepokoiła się matka.

— Nie. Wszystko w porządku, tylko jestem bardzo... wyczerpana.

— Nic nie mówiłaś, że wybierasz się na urlop — stwierdziła kobieta

podejrzliwie.

— Tak spontanicznie podjęłam tę decyzję. Muszę trochę odpocząć... A co w domu? Jak tam tata?

— U nas wszystko po staremu. Nie ma, o czym mówić... No, to wypoczywaj. Może poznasz tam kogoś. Czas najwyższy, żebyś sobie kogoś znalazła. Daj znać, jak wrócisz.

Następnie zmobilizowała się, by zadzwonić do gabinetu. Lakonicznie poinformowała Ilonę, że wyjechała na urlop i wróci za dwa tygodnie. Zastanawiała się też, czy nie zatelefonować do Magdy, lecz doszła do wniosku, że ta jest zajęta urządzaniem się w Warszawie i pewnie w ogóle o niej nie myśli. Zresztą, nie miała ochoty na rozmowy. Uszły z niej siły vitalne jak powietrze z pękniętego balonu. Czowała, jak ogarnia ją czarna depresja.

Przez następne dni zamieniła się w jeden wielki kłębek bólu, cierpienia i rozpacz, tracąc zdolność jakiegokolwiek wysiłku umysłowego. Nie mogło być mowy o czytaniu, czy o oglądaniu telewizji. Co z tego, że nie przeżywała już psychozy, że nie prześladowały jej głosy, skoro przy ogromnym wysiłku mogła wysiedzieć lub uleżeć nie dłużej niż pięć, dziesięć minut, nie tylko w dzień, ale i w nocy? Nieustannie chodziła po korytarzu lub po ogrodzie tam i z powrotem, całe dni i noce. Były to skutki uboczne leków. Wyłącznie na tym polegało teraz jej życie. Nie sposób wyobrazić sobie wynikającego stąd wycieńczenia i bólu w nogach, lecz utrzymanie się w pozycji siedzącej lub leżącej wymagało od niej jeszcze większego wysiłku. Było wręcz niemożliwe. Zjedzenie posiłku czy rozmowa na siedząco stanowiły istną katorgę, pełna zaś świadomość rozpaczliwej sytuacji dodatkową udrękę.

Na szczęście poznała w szpitalu wielu dobrych, wrażliwych Niemców, rozmowy z którymi łagodziły jej cierpienia. Niektórzy byli muzykalni, wiele osób pięknie malowało, pewna starsza pani wyśpiewywała bezbłędnie arie operowe i nieustannie opowiadała, jak wspaniałym ustrojem jest monarchia konstytucyjna, inna zaś kobieta recytowała z pamięci całe strofy poematów. A wszyscy bez wyjątku mieli współczujące, otwarte serca.

Gdy kuracja przyniosła pożądane rezultaty i minęło gnębiące ją pobudzenie, lekarka zdecydowała, że Lena nie będzie już przyjmowała żadnych leków. Po pewnym czasie jej organizm oczyścił się z psychotropowej trucizny. Ustało chodzenie. Mogła siedzieć i leżeć dowolnie długo, rozkoszując się tym niebywałym stanem. Wrócił normalny sen w nocy.

Przez parę dni zachowywała się jak kukła, automatycznie wykonując

wszystkie czynności. Chodziła do jadalni na posiłki, na spacery do parku, wieczorami oglądała telewizję. Zadowolona była, że nie słyszy już tego przekłętego głosu. Odczuwała zobojętnienie. Starła się nie myśleć o Friedrichu i o tym, co będzie po powrocie do Katowic.

Stopniowo czuła się coraz lepiej, zadowolona z komfortowych warunków w szpitalu. Zaczęła rokoszować się piękną pogodą podczas spacerów po parku. Przyglądała się drzewom i kwiatom na klombach, podziwiając różnorodność gatunków. Najbardziej lubiła drzewa iglaste — jodły, sosny, świerki. Był tam nawet jeden ogromny modrzew, który przypominał jej Zakopane, gdzie ulice wysadzone były przepięknymi „smrekami”.

Wciąż odkrywała w parku coś, czego dotąd nie dostrzegła. Pewnego dnia zakochała się w... cedrze. Był taki piękny! Potężny, rozłożysty, sięgający nieba. Zachwyciła ją jego wspaniała, ażurowa korona i kształtne malutkie szyszki. Co dzień dotykała delikatnie jego sztywnych igiełek, czerpiąc z niego energię i radość życia, dziwiąc się, jak to możliwe, że do tej pory nie zwróciła na niego uwagi. To jedyne w swoim rodzaju drzewo, jedyne w całym parku, najbardziej chyba wpłynęło na odzyskanie przez z nią zdrowia psychicznego. Nie było dla niej rośliną, lecz bliskim przyjacielem. Co dzień siadała na ławce w kojącym cieniu jego gęstych gałęzi i otwierała przed nim serce. Opowiadała mu o Friedrichu, o swoich tęsknotach i lękach. Powierzała mu swoje tajemnice. Wiedziała, że on ich nigdy nie zdradzi.

— Ty jeden mnie rozumiesz — szeptała. — Nikt inny nie akceptuje mnie tak, jak ty. Nigdy mnie nie krytykujesz, nie pouczasz. Wiem, że kochasz mnie tak mocno, jak tego pragnę. I tak, jak ja ciebie.

Podczas codziennych wizyt pani doktor przyglądała się jej uważnie, lecz nie umawiała się na zapowiadzaną rozmowę. Lena doszła do wniosku, że Friedrich wszystko jej opowiedział, więc dlatego o nic już jej nie pyta.

Jednak po paru dniach lekarka wezwała ją do swojego gabinetu.

— Zastanawiam się, czy nie powinnam pani skierować do psychologa, ale najpierw porozmawiamy sobie. Widzę, że dobrze się pani czuje.

— O tak. Czuję się doskonale.

— Pani przyjaciel powiedział mi, że halucynowała pani diabła. Nawet jego zwymyślała pani od szatana.

— Tak było. To prawda. Jednak minęło. Nie mam już żadnych halucynacji, ani nie słyszę żadnych głosów. Czuję się całkiem normalnie, jestem w dobrym nastroju.

— I nie podejrzewa pani przyjaciela, że jest agentem?

— Oczywiście, że nie! — Roześmiała się. — On jest biznesmenem.

— Dobrze. Musiała mieć pani jakieś wyimaginowane podstawy do takiego podejrzenia. Co to było?

— On wyniósł z domu takie... dziwne poglądy, bo jego dziadek został po wojnie z rodziną wypędzony z Bytomia. Wpojono mu, że dawne niemieckie tereny powinny powrócić do Niemiec. On... jest związany z Ruchem Autonomii Śląska, a mój ojciec twierdzi, że to pierwszy krok do przyłączenia go do Niemiec... Wyobrażałam sobie najgorsze. Jestem kosmetyczką. Zdawało mi się, że szkodzę swoim klientkom, powtarzając mu, o czym z nimi rozmawiam, no i... że on jest jakimś agentem. Zaczęłam sobie wyobrażać, że polska bezpieka ma mnie na oku. Ze strachu upijałam się, wpadłam w alkoholizm, co doprowadziło mnie do psychozy. Teraz wiem, że nie miałam najmniejszych podstaw do obaw i do takich osądzeń.

— Rozumiem. Czyli wszystko jasne. — Lekarka uśmiechnęła się do niej. — Widzę, że doszła pani do siebie. Poobserwujemy panią jeszcze przez parę dni i wróci pani do domu.

— Bardzo dziękuję, pani doktor. — Ucieszyła się.

Po tej rozmowie zrozumiała, że istotnie było tak, jak to przedstawiła lekarce.

Jak mogłam osądzać Leonardo, że jest agentem? Zupełnie zwariowałam — myślała zawstydzona. — Przecież on jest biznesmenem. Dlaczego mu nie wierzyłam? I jak mogłam mieć wyrzuty sumienia z tego powodu, że opowiadałam mu, o czym rozmawiam z klientkami. To nie było nic złego. Jestem bardzo przewrażliwiona... Na wszelki wypadek nie będę już więcej tego robić. Przecież powiedział, żebym więcej już nie rozmawiała na takie tematy. Niepotrzebnie martwiłam się, że on mnie porzuci? Jest nam ze sobą tak cudownie! — utwierdzała się w przekonaniu, że on ją kocha. — Niemcy nie są tak uczuciowi jak my. Są zamknięci w sobie i tacy... zimni, jednak jemu na mnie zależy. Z pewnością ożeni się ze mną — myślała uspokojona.

## Rozdział 17

Nazajutrz w jej pokoju zjawiała się nowa pacjentka. Była w oplakanyim stanie. Zanedbana kobieta miała twarz wykrzywioną z bólu. Cuchnęła potem, widocznie nie myła się od dłuższego czasu. Nie zwracała uwagi na Lenę, tylko bez przerwy mamrotała coś pod nosem.

— Biją, znęcają się... Oj, jak boli...! Taki młody! I musi umierać...! Mój kochany dziadku, taki piękny jesteś na tym ślubnym zdjęciu z babcią... Komuniści — jedyni uczciwi Niemcy! — Tyle tylko można było od czasu do czasu zrozumieć z jej bełkotu.

To znów wykrzykiwała: Nie chcę być przeklętą Niemką!

Po zastrzyku uspokoiła się. W wyplamionej długiej czarnej sukni, w której ją przywieziono, położyła się w czystej pościeli i usnęła.

O świcie Lena poczuła, że ktoś nią potrząsa.

— Obudź się — mówiła kobieta. — Chcę z tobą porozmawiać.

— Dobrze, zaraz wstanę, ale może wzięłabyś prysznic i ogarnęła się trochę, co? — rzekła Lena, przecierając oczy.

— Nie, nie, później — w głosie Niemki wyczuwało się zdenerwowanie. — Najpierw muszę się dowiedzieć, czy ty też to czujesz?

— O co chodzi? — spytała Lena, siadając na łóżku i ziewając szeroko.

— No, o to przekleństwo! — krzyknęła nieszczęsna.

— Jakie przekleństwo? — spytała zdziwiona.

— To, które ciąży nad niemieckim narodem.

— Co ty opowiadasz? — Skrzywiła się, wzruszając ramionami.

— Naprawdę, nie rozumiesz? Niewiarygodne zbrodnie. Morze krwi, w której toniemy. — Kobieta wymachiwała rękami.

— Uspokój się. Zaraz dostaniesz tabletkę i uświadomisz sobie, że nie ma żadnego przekleństwa.

— Jesteś taka, jak wszyscy Niemcy — rzekła chora z wyrzutem. — Bez sumienia.

— Nie jestem Niemką. Jestem Polką.

— Szczęściara! Kocham cię! — krzyknęła chora i rzuciła się na nią, ściskając ją i całując. — Komunistka. Mój dziadek też był komunistą. Naziści go zamordowali... Często z nim rozmawiam...

— Puść mnie! — Lena wyrwała się z jej cuchnących ramion i wstała z łóżka. — Nie jestem żadną komunistką. W jakim ty świecie żyjesz? W Polsce już dawno nie ma komunizmu. Chodź, usiądźmy, wyjaśnij mi spokojnie, dlaczego niby miałabym być szczęśliwa, że jestem Polką. Ale najpierw powiedz, jak masz na imię. Ja jestem Lena.



Kobieta usiadła naprzeciw niej w fotelu. — Jak mam na imię? Jak mam na imię? — bełkotała. — No... Christina... To jest, niestety, niemieckie imię — pokiwała ze smutkiem głową.

— Jakie niemieckie? Międzynarodowe. Po polsku na przykład: Krystyna.

Christina wierciła się w fotelu. Po chwili wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. W pewnym momencie stanęła blisko Leny, pochyliła się nad nią i spytała:

— Wiesz, co podczas procesu w Norymberdze powiedział Hans Frank?

— Pojęcia nie mam.

— Oświadczył, że nawet tysiąc lat nie oczyści Niemiec z tej winy... Nawet ten hitlerowski zbrodniarz to zrozumiał... Ba, tysiąc lat... Nigdy! Nigdy nie oczyścimy się z winy.

— Nie mogę tego słuchać — zniecierpliwiła się Lena. — Opamiętaj się. Niedługo będzie śniadanie. A potem przyjdzie lekarka z wizytą. Weź prysznic i włóż coś czystego. Bo inaczej znowu dostaniesz zastrzyk.

Christina oprzytomniała. — Zastrzyk, mówisz? Nie, nie chcę... Muszę pójść na śniadanie, bo jestem strasznie głodna. Żołądek ściska mi się z bólu. W moim mieszkaniu wszystko było zatrute. Nie pamiętam już, jak długo nic nie jadłam. Piłam tylko wodę z kranu.

— To rób, co ci kazałam, jeśli chcesz pójść na śniadanie.

— Dobrze. Gdzie jest moja torba? — Niemka rozejrzała się po pokoju. — Mam swoje rzeczy. Wiedziałam, że znowu tu wyląduję, więc spakowałam je wcześniej. Byłam już taka głodna, że sama zadzwoniłam na pogotowie, żeby mnie zawieźli do szpitala.

— Nie masz nikogo, kto by się tobą zajął? Męża, dzieci?

— A jak miałam znaleźć uczciwego Niemca? To sami naziści... Rodzice nie żyją, rodzeństwa nie mam.

— To skąd masz pieniądze na taką drogą klinikę? — zainteresowała się Lena.

— Mam dobre ubezpieczenie. Pracowałam parę lat i dobrze zarabiałam, ale w końcu odezwała się moja dziedziczna choroba. Jestem schizofreniczką. Takie geny. Po matce, która większość życia spędziła w szpitalu psychiatrycznym.

Lena spojrzała na nią ze współczuciem i podała jej torbę podróżną, która leżała obok łóżka.

Kobieta wyjęła z niej przybory toaletowe, bieliznę i brązową sukienkę, po czym wyszła do łazienki. Gdy z niej wróciła, wyglądała całkiem przyzwoicie. Włosy miała związane w koński ogon, z jej twarzy znikł wyraz bólu.

— Widzę, że dobrze się już czujesz — stwierdziła Lena.

— Gdzie tam — Christina machnęła ręką z rezygnacją — ale muszę udawać przed lekarką, bo inaczej zakłują mnie na śmierć tymi zastrzykami. Ostatnio

dostawałam je przez cały tydzień, nim doszłam do siebie.

W jadalni wygłodniała kobieta rzuciła się na jedzenie. Szybko zjadła swoje dwie bułki. — Nie oddałabyś mi bułki z serem albo tej z szynką? — spytała. — I jogurt. Widzę, że nie jesteś głodna.

— Oczywiście. Mnie wystarczy jedna.

Jadły w milczeniu. Lena o nic nie pytała. Zadowolona była, że Niemka nie bredzi już o przekleństwie. Po śniadaniu poszły do dyżurki pielęgniarek po tabletki.

Podczas wizyty lekarka przyjrzała się im i zdawkowo spytała, jak się czują.

— Dziękuję ci, Leno — powiedziała Christina po jej wyjściu. — Tylko dzięki temu, że mnie zmobilizowałaś, nie będę dostawać zastrzyków. Gdybym została taka brudna, nie uniknęłabym tego. Ta lekarka to wredna baba, jak wszyscy Niemcy.

— Przestań wreszcie — zdenerwowała się jej towarzyszka. — Jeszcze ci nie przeszło? Po pastylce powinno być lepiej? Wiesz co? Wyjdźmy do ogrodu — zaproponowała. — To ci dobrze zrobi.

— Mowy nie ma. Tam są sami Niemcy. Wołałabym zostać w pokoju i porozmawiać z tobą, bo jesteś Polką.

Lena pokręciła głową z rezygnacją.

Nie powinnam się na nią złościć — pomyślała ze skruchą. — Przecież, to nie jej wina, ta obsesja. Muszę być wobec niej cierpliwa.

Objęła ją serdecznie i zaczęła łagodnie przekonywać:

— Nie będziemy z nikim rozmawiać. Pospacerujemy sobie, pooglądamy kwiaty, drzewa...

— No, dobrze, zrobię to dla ciebie — zgodziła się Christina z ociąganiem. — Jesteś taka miła. Prawdziwa Polka.

Gdy usiadły na stojącej pod ogromnym dębem ławce, chora przytuliła się do niej.

— Boję się — wyszeptowała. — Strasznie się boję, że schizofreników zamkną w obozach koncentracyjnych, wymordują. Znowu popłynie morze krwi...

— Nie masz, czego się bać — uspokajała ją Lena, gładząc po głowie. — Nigdy już do tego nie dojdzie. Zbrodniarze wojenni zostali osądzeni i wyeliminowani ze społeczeństwa. Niemcy to wspaniały, potężny naród. Najważniejszy i najbogatszy w Europie. Wydał wybitnych myślicieli, pisarzy, kompozytorów. Powinnaś być dumna, że jesteś Niemką.

— Tak, tak. Masz rację. To się już nigdy nie powtórzy. Ale... ja się boję.

— Za dzień, dwa przestasz się bać. Zobaczysz. Dostajesz świetne leki. Ja też byłam chora i wyszłam z tego... Chciałam cię o coś zapytać — przypomniała sobie. — Dlaczego powiedziałaś, że powinnam być dumna, że jestem Polką?

— Jeszcze pytasz?! — krzyknęła Christina. — Polacy to bohaterski naród. Przez całe wieki stawiali opór Niemcom oszalałym ideą „Drang nach Osten” i do

tej pory stanowią dla nich zaporę. Ty chyba nie znasz historii — mówiła wzburzona. — Pierwsze wtargnięcie Germanów na ziemię słowiańskie nastąpiło już w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą i rozpoczęło ich pochód na wschód, co do dziś kontynuuje niemieckie państwo. Tyle polskiej krwi popłynęło we wszystkich powstaniach...

— Do dziś? — przerwała jej Lena. — To są wierutne bzdury. Wybij to sobie z głowy. Po zakończeniu drugiej wojny światowej Niemcy stali się najbardziej pokojowym narodem w świecie.

— Co ty wiesz? Oni nie potrzebują już wojny, teraz stosują inne metody, by zniewolić i wykorzystywać Polaków, którzy wciąż się bohatersko opierają.

Lenie zrobiło się jej żal. Objęła ją serdecznie. — Uspokój się i nie myśl o tym, bo nigdy nie wyzdrowiejesz. Pospacerujmy trochę przed obiadem — zaproponowała łagodnym tonem. — Porozmawiamy o czymś przyjemnym. Nauczysz mnie niemieckich nazw tych wszystkich wspaniałych drzew, bo ja nie wiem nawet, jak po polsku nazywają się niektóre z nich, dobrze?

— Dobrze, dobrze, masz rację — powiedziała nieszczęsna, wstając z ławki. — Pospacerujmy.

Niestety, jeszcze przez następne dni Christinę wciąż dręczyła psychoza. Lenie coraz trudniej przychodziło znoszenie jej ataków paniki i wybuchów agresji. Z radością zatem przyjęła wiadomość o zwolnieniu ze szpitala. Nie tylko zresztą z tego powodu. Głównie dlatego, że bardzo się stęskniła za Friedrichem. Nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w jego ramionach.

Gdy go o tym zawiadomiła, oznajmił jej, że sama musi przyjechać do Katowic, pociągiem z Monachium. Tłumaczył się, że jest bardzo zajęty. W pierwszej chwili poczuła rozczarowanie, lecz szybko pogodziła się z tym, ciesząc się, że przy okazji zwiedzi to piękne miasto. Postanowiła wyjechać z kliniki z samego rana, cały dzień spędzić na zwiedzaniu i dopiero wieczorem wrócić nocnym pociągiem do Polski.

\*\*\*

Gdy wysiadła z taksówki na starym mieście metropolii, doznała szoku. Znalazła się w innym świecie. Zapragnęła tu zamieszkać z ukochanym Leonardo. To był jej świat, ten z marzeń. Tu byłaby szczęśliwa.

Zanurzyła się w potoku ludzi różnych narodowości i ras płynącym ulicą. Nie wiedziała, na co patrzeć, oszołomiona pięknem, wykwintem, elegancją. Z zachwytem oglądała wspaniałe secesyjne kamienice, ozdobione artystyczną sztukaterią fasad.

Zaczęła przemierzać ciągnącą się wokół *Marienplatzu* strefę ruchu pieszego. Znajdował się tam pałac królewski i inne najważniejsze zabytkowe budowle, które po drodze zwiedzała. Podziwiała przepiękne gotyckie i późniejsze barokowe kościoły, zwłaszcza późnogotycką słynną katedrę *Frauenkirche*. Ta najważniejsza i najpiękniejsza z licznych monachijskich świątyń wprawiła ją w religijny nastrój. Ukłękła przed ołtarzem i podziękowała Bogu za wyleczenie z choroby.

Całe godziny spędziła w dzielnicy muzeów. Największe wrażenie zrobiła na niej Stara Pinakoteka mieszcząca się w budynku stylizowanym na renesansowy pałac florencki. Była to jedna z największych galerii sztuki w Europie, ze znakomitą kolekcją malarstwa niemieckiego, niderlandzkiego, włoskiego, flamandzkiego, francuskiego i hiszpańskiego, od czternastego po osiemnasty wiek. Kontemplowała tam liczne obrazy o tematyce religijnej. Oglądając te wczesnośredniowieczne i barokowe, ogromne malowidła odczuwała kontakt z transcendencją. Zachwyciły ją monumentalnością, teatralnością, ruchem, a zwłaszcza iluzjonistycznym oddaniem wrażenia nieskończoności. Pokazywały wydarzenia z życia świętych, władców, herosów, postacie mityczne i mitologiczne. Towarzyszyły im strzeliste budowle unoszące się pod wpływem wiatru jak dym. Z biegiem czasu stawały się jaśniejsze, bardziej radosne i wyreżyserowane. Niesamowite wrażenie robiły na niej motywy śmierci i przemijania, marności świata, kruchości ludzkiego życia, nietrwałości dóbr materialnych.

Zastanawiała się nad doniosłą rolą Kościoła katolickiego w mecenacie artystycznym. Jak to możliwe, że w czasach, gdy ludzkość znajdowała się na tak niskim poziomie cywilizacyjnym, powstawały tak wspaniałe dzieła — zastanawiała się.

Nie obejrzała zbyt wielu obrazów, potrzebowałyby na to dobrych parę godzin, a chciała do wieczora jak najwięcej zwiedzić w tym wspaniałym mieście. Po wyjściu z muzeum ruszyła przed siebie, rozglądając się dokoła, aż doszła do wspaniałego miejsca. Znalazła się w słynnym monachijskim parku *Englischer Garten*. Chodziła po alejach, wsłuchując się w śpiew ptaków i przyglądając się ulubionym drzewom, zachłystując się ich bujną zielenią. Wszystko poza nimi przestało dla niej istnieć. Zawsze fascynowała ją ich różnorodność. Zadzierając do góry głowę, przyglądała się im z uwagą. Nieraz marzyła, żeby być wróbelkiem, usiąść wysoko na gałęzi ogromnego drzewa i zaszyć się w gąszczu jego liści.

Nagle ujrzała pustą ławkę pod dwoma wysokimi, starymi wierzbami. Ktoś zostawił na niej jakieś kobiece pismo. Usiadła i zaczęła je przeglądać. Znalazła w nim ciekawy artykuł, z którego dowiedziała się, że między ludźmi i drzewami istnieje ścisła więź. Każdy człowiek, w zależności od daty urodzenia, posiada swoje osobiste drzewo, które towarzyszy mu przez całe życie. Przed dwoma tysiącami lat Celtowie opracowali horoskop bazujący na różnych gatunkach drzew, odmiennie niż powszechnie znany horoskop astrologiczny oparty na Zodiaku.

Uważali, że każdy człowiek ma swojego przedstawiciela w jednym z drzew. Są drzewa ozdobne i skromne, delikatne i mocne, rosnące w większych skupiskach i samotne — podobnie jak ludzie.

Dowiedziała się, że drzewem charakteryzującym urodzonych, tak jak ona, między pierwszym a dziesiątym marca, jest właśnie wierzba. Ludzie ci są delikatni, wrażliwi, obdarzeni wdziękiem i urodą. Uczciwi, inteligentni i wymagający. Kobiety marzą o pięknym domu, ładnych strojach i biżuterii. Ciągnie je w świat. Lubią podróżować, lecz równocześnie przywiązują się do domu i rodziny. Są w nich dwie natury: jedna senna, czuła; druga pełna niepokoju, zmienna. Dają sobą powodować osobom bliskim, ale życie z nimi jest niełatwe, gdyż podlegają częstej zmianie nastroju. Doznają wiele cierpień w miłości, ale bywa też, że znajdują przystań w małżeństwie. Odznaczają się delikatną osobowością, obdarzone są wdziękiem i nieco tajemniczą urodą. Są piękne, smutne, uczuciowe i łagodne. Ciepła melancholia przysparza im uroku, gdyż nigdy nie zmienia się w pesymizm. Mają prawy charakter, zdolności artystyczne i wyszukany gust, potrafią interesująco się ubierać i ciekawie urządzić wnętrze. Kochają piękno w każdej postaci.

Pomyślała, że wszystko to idealnie charakteryzuje jej osobowość. Posiedziała trochę pod swoimi wierzbami i wkrótce znów ruszyła przed siebie. Świat wokół niej emanował upojeniem, ekstazą rozkwitłej natury i radością życia. Przyglądała się licznym turystom i innym spacerowiczom, rowerzystom. Przeżyła szok, gdy ujrzała na trawniku grupki palących marihuanę i opalających się nudystów.

Gdy doszła do japońskiej herbaciarni, zmęczona długim chodzeniem, usiadła w ogródku i powoli delektowała się aromatyczną herbatą. Padała ze zmęczenia i głodu, spytała więc jedną z przechodzących koło niej kobiet, czy można tu gdzieś coś solidnego zjeść.

— Oczywiście. Przejdzie pani parę kroków dalej i natrafi Pani na ogródek piwny *Hofbräuhaus*, gdzie jedzenie jest dobre i tanie.

Istotnie, wkrótce znalazła się w tym miejscu. W cieniu wspaniałych iglastych drzew stały stoły i ławy, oblężone przez ludzi żłopiących piwo z ogromnych kufli i zajadających różne potrawy. Przeważnie białą kielbasę i golonkę. Każdy miał ze sobą psa. Siedziały tu potulnie psy przeróżnej maści i ras. Poczula się jak w jakiejś psiarni. Nie przeszkadzało jej to, ponieważ lubiła zwierzęta, jednak trochę zdziwiło. Usiadła i zamówiła pieczeń wołową z karty podanej jej przez kelnerkę oraz wodę mineralną. Dość długo czekała, nim podano jej wspaniale wyglądającą pieczeń i sałatkę, niestety niezbyt smaczną.

Jednak polska kuchnia nigdzie nie ma równej sobie — pomyślała z satysfakcją. — Ale tutaj są polskie sklepy, a poza tym, sama będę gotowała, kiedy zamieszkałam w Monachium z Leonardo — pocieszyła się.

Po obiedzie zamówiła kawę i pogrążyła się w rozmyślaniach. Ogarnęła ją gorycz. I gdzie tu dziejowa sprawiedliwość? Polski naród tyle wycierpiał podczas wojny, po niej żył w komunistycznej nędzy i wciąż boryka się z biedą, a Niemcy, którzy ją wywołali, nie ponieśli za to żadnej kary. Wręcz przeciwnie. Są najbogatszym i najważniejszym państwem w Europie. Żyją sobie jak w raju... My wciąż ponosiliśmy klęski, na polu walki, w powstaniach. A oni wiecznie są zwycięzcami, nawet po przegranej wojnie.

## Rozdział 18

Po powrocie do domu prowadziła spokojne, unormowane życie. Stosunki z Friedrichem układały się pomyślnie. Zbyt dobrze mu z nią było, by zrywać tę znajomość. Jednak Lena powoli traciła nadzieję, że on się z nią ożeni. Wybiła sobie z głowy marzenia o przeniesieniu się do Niemiec. Zastanawiała się nieraz nad tym, co mówiły jej współtowarzyszki w klinice i przyznawała im rację, że na Niemcach ciąży ich zbrodnicza przeszłość i nigdy nie uwolnią się od tego piętna. Mimo osiągnięć gospodarczych i kulturalnych, w sferze duchowej są przegrani, nie lubiani przez inne narody. Ciężą na nich przekleństwa rodzin wymordowanych przez nich ludzi. Gdy tymczasem Polacy mogą być dumni nie tylko ze swojej przeszłości, ale i z terażniejszości. Z tego, że wywalczyli sobie wydostanie się z komunistycznego bagna i własnym wysiłkiem budują nową rzeczywistość.

O nie! Nie chciałyby być Niemką. A chociaż z jednej strony zazdrościła im bogactwa materialnego, to z drugiej współczuła z powodu pokiereszowanych dusz. Zaskoczyła ją ta myśl.

— Pokiereszowane dusze — wyszeptała. — Skąd mi to przyszło do głowy?

Naczytała się o Niemcach w książkach, naoglądała się różnych typów w telewizji, w programach publicystycznych i filmach, zarówno dokumentalnych jak i fabularnych. Na tej podstawie wyrobiła sobie pogląd, że są wspaniali. Pewni siebie, inteligentni, kulturalni, opanowani. Dumni ze swej historii, nawet z czasów nazistowskich. Górują nad innymi narodami... Nigdy dotąd nie przyszłoby jej do głowy, że mają pokiereszowane dusze, ale pobyt w szpitalu zmienił jej pojęcie o tym narodzie.

\*

Pewnego popołudnia, gdy wróciła z pracy, zjawił się Friedrich z bukietem róż i butelką francuskiego szampana. Patrzyła na niego zaskoczona, bo nie byli w tym dniu umówieni. Kiedy rzuciła się mu na szyję, uwolnił się delikatnie z jej objęć. Przeraziła ją jego dziwna mina. Przeczynała coś złego.

Gdy usiadł na sofie, na drżących nogach wyszła do kuchni, by wstawić kwiaty do wazonu. Kryształ wypadł jej z rąk i rozbił się na drobne odłamki.

O Boże! To zły znak — pomyślała zaniepokojona. — Nigdy nie przychodził o tej porze. Musiało stać się coś złego.

Sprzątnęła szkło i wróciła do salonu. Spojrzała na niego strwożonym wzrokiem. Siedział zamyślony z zamkniętymi oczyma. Usiadła obok i objęła go delikatnie. Nie zareagował.

— Co się dzieje, Leonardo? Dlaczego jesteś taki milczący? — spytała

szeptem.

Ocknął się z zamyślenia.

— Napijmy się szampana — zaproponował, unikając jej spojrzenia.

Wyjęła z witryny kieliszki i wróciła na kanapę. On wstał i przeniósł się na fotel, by mieć ją naprzeciw siebie. Napęłnił szkło i rzekł uroczystym tonem: — Wypijmy za te piękne dni, które razem spędziliśmy.

Ciało jej przeszył dreszcz. Straszliwa myśl zraniła szare komórki: To pożeganie. Łyknęła nieco złocistego trunku.

— Wracasz do Niemiec?! — krzyknęła zrozpaczona.

Nie odpowiedział, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby skłamać. Jednak wtedy musiałby ją oszukiwać, telefonować do niej.

Nie, muszę powiedzieć prawdę. Ona na to zasługuje — zdecydował.

— Nie wyjeżdżam. Tylko zmieniła się moja sytuacja. — Spojrzał jej poważnie w oczy. — Jak myślisz, dlaczego byłem wobec ciebie taki... No, powściągliwy?

Opuściła głowę i milczała, więc sam odpowiedział na swoje pytanie:

— Domyśliłaś się zapewne, że jestem żonaty. Bez sprzeciwu godziłaś się na rolę kochanki, nie roszcząc sobie prawa do czegoś więcej...

— Nic podobnego! — zaoponowała gwałtownie. — Marzyłam, że ożenisz się ze mną i zabierzesz mnie do Monachium.

— Nie miałaś do tego podstaw. Nigdy nie robiłem ci nadziei... Zupełnie nie rozumiem, jak mogło ci przyjść coś takiego do głowy!

— To dlaczego ukrywałeś przede mną, że masz żonę? To było nieuczciwe! — krzyknęła, powstrzymując napływające do oczu łzy.

— Niczego przed tobą nie ukrywałem. Nie miałem potrzeby mówić ci o tym, bo ona ode mnie odeszła.

— Więc dlaczego teraz mi o tym mówisz?

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię, tylko obiecaj, że przyjmiesz to ze spokojem.

— Jestem spokojna — powiedziała, wycierając spływające po policzkach łzy.

— Przed dwoma laty moja żona rzuciła mnie dla pewnego zwariowanego rzeźbiarza, z którym zamieszkała. Byłem zrozpaczony, bo kochałem ją nad życie. W twoich ramionach znalazłem pocieszenie.

— O nie! — zaoponowała. — Byłeś niepokieszony. Teraz wszystko rozumiem. Łudziłam się, że mnie kochasz. Tymczasem... byłam ci potrzebna do zaspokojenia popędu seksualnego, ale nic do mnie nie czułeś, tylko...

— Nie przesadzaj — przerwał jej. — Było mi z tobą bardzo dobrze. Doceniałem twoje oddanie. Byłem... Jestem ci wdzięczny. Jednak teraz wszystko się zmieniło. Ona do mnie wróciła...

— I ty ją przyjąłeś?! — przerwała mu Lena, czując, że grunt usuwa się jej



spod nóg.

— Z otwartymi ramionami. Kocham ją.

— Trudno — powiedziała zrezygnowana. — Muszę się z tym pogodzić. Rozumiem, że teraz nie będziesz miał dla mnie zbyt wiele czasu. Jednak... nie przestaniesz się ze mną spotykać, co? — Spojrzała mu w oczy błagalnie.

— Niestety — westchnął ciężko — między nami wszystko skończone.

Wstała gwałtownie z sofy i padła mu do stóp.

— Błagam cię, nie opuszczaj mnie, najdroższy! — krzyczała. — Przecież mnie pożadasz. Nie wierzę, że z żoną jest ci tak wspaniale w łóżku jak ze mną. Musimy od czasu do czasu się spotykać. Nie możesz mnie tak nagle wyrzucić ze swojego życia jak zużytą szmatę! Ja... umrę z rozpaczy, jak mnie zostawisz!

— Tak ci się tylko wydaje, bo nigdy nie spałeś z nikim innym — rzekł chłodnym tonem.

Wstał z fotela, podniósł ją z klęczek i objął ją. — Taki stosunek byłby dla ciebie krzywdzący. Jesteś wspaniałą kobietą. Musisz sobie znaleźć kogoś, kto się z tobą ożeni i będzie miał z tobą dzieci. Zresztą... ja nie potrafiłbym zdradzać żony. Za bardzo ją kocham... Wypij do dna, to ci się poprawi nastrój. Rozstańmy się w przyjaźni, proszę.

Wyrwała się gwałtownie z jego objęć i z powrotem usiadła na sofie. Czuła, jak krew uderza jej do głowy z wściekłości.

— Ty kanalio! — krzyknęła. — Jesteś bez serca, jak wszyscy Niemcy! Kłamiesz! Nie jesteś żonaty. Zrywasz ze mną, bo ci się znudziłam i wykręcasz się rzekomym powrotem żony. — Wyrzucała z siebie słowa, jak karabin maszynowy. — Nie dam się tak splawić! Ja też już ciebie nie kocham. Oprzytomniałam, kiedy zrozumiałam, że jesteś... bez serca. Ale nie wyrzeknę się rozkoszy, którą mi dajesz w łóżku. Od dziś będę cię tak samo traktować, jak ty mnie. Musisz ze mną sypiać! Nie zrezygnuję z tego wspaniałego seksu! Jeśli ze mną zerwiesz, zgłoszę, gdzie trzeba, że jesteś niemieckim agentem pod przykrywką biznesmena, rozumiesz? A teraz pójdziesz ze mną do łóżka!

Patrzył na nią rozszerzonymi z zaskoczenia oczyma. Nie zamierzał spełnić jej warunków. Nie wyobrażał sobie, że miałby zdradzać Ulrike z tą marną, prymitywną dziwką, dla której seks był ważniejszy od dumy, od poczucia godności osobistej. Kompletnie oszołomiony poczuciem szczęścia z powodu odzyskania Ulrike, ani przez moment nie pomyślał, że może mieć problemy z Leną.

Wstał z miejsca i skierował się do wyjścia. — Opróżnij tę butelkę, to ci przejdą te idiotyczne pomysły. Nie jestem żadnym agentem. Możesz to sobie zgłosić, gdzie ci się podoba. Adieu!

— I nie wie zwierz ni człek, jaka z ciebie świnia! — wrzasnęła z furją.

— Wariatka — wycedził przez zęby i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

— Jeszcze mnie popamiętasz, ty przekłety szpiegu! — krzyknęła za nim

i zaniósł się szlochem.

## Rozdział 19

Tej nocy nie mogła zasnąć. Obmyślała plan zatrzymania Friedricha za pomocą szantażu, że doniesie na niego do ABW. Przychodziły jej do głowy szalone pomysły.

Nagle poczuła na szyi jakieś ciężkie łapy. Rozwartymi z przerażenia oczyma zobaczyła w ciemności zarys czarnej sylwetki. Poznała go od razu. Nad nią pochylał się ten sam diabeł, który nazwał ją agentką mimo woli. Z tą tylko różnicą, że nie był w maskującym go mundurze gestapowca.

— Uduszę cię i zabiorę do piekła, żebyś nie mogła zdradzić Friedricha — wycharczał chrapliwym głosem.

Śmiertelny strach ścisnął jej serce. Poczowała, że się dusi, po czym straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, zlana była zimnym potem. Przez zasłony wciskały się do pokoju pierwsze promienie słońca.

— To nie był sen — wyszeptała, przypominając sobie koszmarną scenę, która rozegrała się w jej znękaney świadomości. — Widziałam go wyraźnie. Czulałam jego łapy na swojej szyi.

Trzęsła się ze strachu. Wstała, wyszła do salonu i drżącą ręką wlała do kieliszka szampana z pozostawionej przez Friedricha butelki. Wypiła jednym haustem.

Nie pomogło. Atak paniki nie mijał. Usiadła w fotelu i wychyliła jeszcze jeden kieliszek. Nic z tego. Wręcz przeciwnie czuła się coraz gorzej. Przekonana była, że diabeł znów się pojawi, by zabrać ją do piekła.

Powoli opróżniła butelkę, po czym wszystko zwymiotowała na dywan. Czarne płaty latały jej przed oczami, musiała położyć się z powrotem do łóżka, by nie zemdleć. Śmiertelnie wyczerpana pogrzyżyła się w półśnie, w którym znajdowała się w piekle.

Obudził ją alarmujący sygnał komórki leżącej obok łóżka.

— Lena, co się z tobą dzieje? — pytała Ilona. — Pani Schmidt miała dzisiaj termin. Czeka na ciebie już od dłuższego czasu.

— Powiedz jej, że się nagle rozchorowałam. Muszę pójść do lekarza.

— To na kiedy mam ją umówić?

— Daj mi spokój. Nie wiem, kiedy wyzdrowieję — wyłączyła się, bo jej czaszkę rozsadały przeróżne głosy z piekła rodem. Raz polskie, raz niemieckie. Groziły, że pójdzie do więzienia za donoszenie na klientki. Przeklinały ją.

„Jesteś niemiecką agentką, zdradziłaś ojczyznę” — powtarzały w kółko. Jej mieszkanie zamieniło się w piekło, po którym biegały w różne strony czarne diabełki.

Zamknęła oczy, zatkała uszy, lecz to nic nie dało. Wręcz przeciwnie głosy

stawały się coraz intensywniejsze, coraz bardziej przeraźliwe. A przed jej oczami migały czerwone języki piekielnego ognia.

— Nie zniosę tego! — zaczęła rozdzierająco krzyżeć. — Zwariuję! Oszaleję!

Wstała z łóżka i boso pobiegła do drzwi. Zaczęła w nie walić pięściami.

— Ludzie! Ludzie! Zabierzcie mnie z tego piekła! — wrzeszczała.

Pod jej drzwiami zbiegły się niepracujące kobiety i zaczęły się naradzać, co zrobić.

— Nie ma się nad czym zastanawiać — zdecydowała jej najbliższa sąsiadka. — Dzwonię po karetkę pogotowia, żeby ją zawieźli na psychiatrię. Ona zwariowała.

— Taka sympatyczna, spokojna osoba — pokręciła głową z niedowierzaniem inna kobieta.

Za drzwiami wciąż słyhać było krzyki, a pogotowie nie przyjeżdżało. Wreszcie zjawiała się lekarka z pielęgniarem i zaczęli alarmująco naciskać dzwonek. Lena otworzyła i rzuciła się na pielęgniara.

— Leonardo! — krzyknęła. — Jednak przyjechałeś. Zabierzesz mnie z tego piekła i nigdy już nie opuścisz, prawda?

Pielęgniarz uwolnił się z jej uścisku. — Nie jestem Leonardo. Proszę się ubrać i zabrać ze sobą rzeczy potrzebne do szpitala.

— Do jakiego szpitala? — spytała, zawstydzona swoją pomyłką.

— Do Centrum Psychiatrii, tu w Katowicach — rzekła lekarka. — To bardzo dobry szpital. No szybciotko. Proszę się spakować.

— Dobrze — zgodziła się, przytomniejąc nagle. — Wiem, jestem chora psychicznie. Muszę się leczyć.

Zrezygnowana, ze spuszczoną głową, weszła do sypialni, włożyła wiszącą na krześle suknię, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru, wyjęła z pawlacza torbę podróżną i wrzuciła do niej bezładnie koszulę nocną, bieliznę, parę bluzek i spodni, sandały... Jak popadło. Pamiętała też o przyborach toaletowych i kosmetykach. Poczwała ulgę. Zadowolona była, że uwolni się z piekła, w które zamieniło się jej mieszkanie.

Wszystko odbyło się jak we śnie. Rozmowa w izbie przyjęć, gdzie zaaplikowano jej zastrzyk i skierowano na oddział zamknięty; następnie duża, ponura sala z wieloma łózkami. Widziwała to jak przez mgłę. Po pewnym czasie z ulgą stwierdziła, że nie słyszy już żadnych głosów. Położyła się na łóżku, tak jak stała, w swojej eleganckiej sukni. Nie była w stanie przebrać się w rzeczy, które spakowała do torby. Leżała osowiała.

Nie mam po co dalej żyć — myślała zrozpaczona, zastanawiając się nad tym,

w jaki sposób popełni samobójstwo po powrocie do domu. Leżała jak w letargu, gdy usłyszała jakieś zamieszanie. Okazało się, że przyprawiono nową pacjentkę.

— Mam na imię Karolina — przedstawiła się.

Kobiety otoczyły ją i zaczęły wypytywać, z jakiego powodu się tu znalazła. Iza nie przysłuchiwała się rozmowom. Jednak w pewnej chwili dotarło do jej uszu:

— Jestem taka szczęśliwa, że mnie odratowano — mówiła Karolina. — Czuję się jak nowo narodzona. Tylko... myślałam, że po płukaniu żołądka i kilkudniowym pobycie w szpitalu wrócę do domu. Niestety, okazuje się, że niedoszli samobójcy muszą być leczeni psychiatrycznie i dlatego mnie tu przywieziono. Wcale się nie dziwię. Przecież targnięcie się na życie świadczy o chorobie psychicznej, którą trzeba wyleczyć, żeby się to więcej nie powtórzyło.

— Nie rozumiem, po co oni cię do nas przywieźli — wtrąciła otyła brunetka. — My tu nie mamy chęci do życia, a ty cieszysz się, że będziesz dalej żyć. To jasne, że już więcej nie popełnisz samobójstwa. Z czego oni chcą cię wyleczyć? Jesteś całkiem normalna.

— Nieważne — machnęła ręką niedoszła samobójczyni. — Pobędę tu trochę... Nie wyobrażacie sobie, jak się cieszę, że żyję! — krzyknęła w euforii.

Po chwili umilkła.

— Tylko... wciąż nie mogę się z tym pogodzić, że... — zaczęła po jakimś czasie smutnym tonem i znów zamilkła.

— Z czym nie możesz się pogodzić? — spytała ze współczuciem starsza, szczupła kobieta, pomarszczona jak zeschnięty wiór. Objęła ją serdecznie. — No, wyrzuć to z siebie, to ci ulży.

— Nie mogę, bo potraktujecie mnie jak trędowatą.

— To powiedz, z jakiego powodu chciałaś sobie odebrać życie?

— No... Właśnie z tego powodu, którego... nie mogę wam wyjawić — wybąkała cicho Karolina.

— Kobieto, nasłuchasz się tu jeszcze takich rzeczy, o jakich ci się nie śniło — pogładziła ją po głowie starsza pani. Wśród nas nie masz się czego wstydzić.

— Dobrze, powiem. Tylko musicie mi obiecać, że nie będziecie się ze mnie wyśmiewały. Jestem... no... lesbijką.

I z tego powodu chciałaś się otruć? — zdumiała się młoda dziewczyna z fioletowymi włosami i mocnym makijażem w tym samym kolorze, z piercingiem na górnej wardze, w czerwonych legginsach i zielonym T-shircie, spod którego widać było dziwne tatuaże. — Przecież w dzisiejszych czasach nikt już nikogo nie potępia z powodu homoseksualizmu. Wiadomo, że to są geny. Wielu wybitnych ludzi do tego się przyznaje. Kobieto — załamała ręce — minister spraw zagranicznych, wicekanclerz Niemiec Westerwelle wszędzie oficjalnie pokazuje się ze swoim partnerem. Tak samo burmistrz Berlina. Taki wielki kompozytor jak

Czajkowski był gejem...

— Ale ile wycierpiał z tego powodu? — przerwała jej Karolina. — Też chciał popełnić samobójstwo. Właściwie nie wiadomo, nigdy nie została wyjaśniona przyczyna jego śmierci. Podobno zmarł na cholere, ale... — Głos się jej załamał i po policzkach spłynęły łzy.

— Kobieto, czym ty się zamartwiasz? Nie denerwuj mnie! — krzyknęła dziewczyna. — Jak można z takiego powodu usiłować popełnić samobójstwo? W całym świecie, nawet u nas odbywają się parady gejów i lesbijek. Chlubią się innością. Mają swoje kluby. Co? Nie możesz sobie znaleźć jakiejś przyjaciółki?

— Oszalałaś? Tego by tylko brakowało! Rodzice by się mnie wyrzekli. Wychowałam się w bardzo religijnej rodzinie... Powiedzcie, czy ja wyglądam jak kobieta?

Iza podniosła się z pościeli i przyjrzała się nowo przybyłej. Miała kościstą, potężną posturę, końską twarz i czarne, krótko obcięte włosy z posiwiałymi pasmami.

— Czuję się właściwie mężczyzną i mam pociąg do kobiet. Już w liceum zakochałam się w jednej z koleżanek. Była taka śliczna — mówiła Karolina z egzaltacją, wznosząc ku niebu oczy. — Miała blond włosy, duże czarne oczy, a usta... tak świeże, tak wspaniale skrojone, że wiecznie marzyłam o tym, żeby ją pocałować. Pożerałam ją wzrokiem, chodziłam za nią, śledziłam ją. Wieczorami wymykałam się z domu, stałam pod oknem jej sypialni, obserwując przez firankę, jak ona wkłada nocną koszulę i kładzie się do łóżka, a potem przez całą noc nie spałam i onanizowałam się, marząc o niej... Kiedyś nie mogłam się powstrzymać. Było to w sali gimnastycznej. Objęłam ją w jej wiotkiej talii, przytuliłam się do jej biustu, a ona wyrwała się z moich objęć z obrzydzeniem i splunęła mi w twarz. Nie wyobrażacie sobie, co przeżyłam po tym incydencie. Musiałam się przenieść do innej szkoły — kobieta zdobyła się na zwierzenia, widząc, że współtowarzyszki jej nie potępiają. — Urodziłam się chyba chłopcem — obrzuciła badawczym wzrokiem zgromadzone wokół siebie pacjentki, by zobaczyć ich reakcję na te słowa. Na ich twarzach malowało się zakłopotanie.

— Zdarzają się takie przypadki — rzekła młoda dziewczyna. — Przecież jest nawet taka posłanka, która zmieniła płeć z mężczyzny na kobietę. — Może ty też powinnaś zmienić płeć? — spytała niepewnie. — Chociaż... właściwie tylko mężczyźni to robią. Nigdy nie słyszałam, by udało się to jakiejś kobiecie, ale... w dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe.

— Jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy?! — oburzyła się Karolina. — Bóg stworzył mnie kobietą. Nie mam prawa tego zmienić. Jestem osobą wierzącą. Chodzę do kościoła. Codziennie się modłę. Należałam wraz z całą swoją rodziną do kółka różańcowego. Nie wyobrażacie sobie, jak gorliwie proszę Boga o to, by pozbyć się tych zdrożnych myśli. Regularnie się spowiadam i odbywam

przeróżne pokuty. Cóż, nie ma na to rady — rozłożyła bezradnie ręce. — Ksiądz każe mi do końca życia zrezygnować z seksu. Kiedyś nawet zastanawiał się, czy nie powinnam wstąpić do klasztoru, ale wybiłam mu to z głowy, bo tam w otoczeniu kobiet jeszcze trudniej byłoby mi się opanować... Najgorsze, że zmarnowałam życie najlepszemu przyjacielowi. Też pochodził z religijnej rodziny związanej z Radiem Maryja. Poznaliśmy się w kółku różańcowym, rozumieliśmy się doskonale, mieliśmy wspólne zainteresowania, spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Oczywiście nie było mowy o jakimś zbliżeniu, nie wspominając o pocałunkach. Oboje chcieliśmy zachować cnotę aż do ślubu. Podczas studiów przestaliśmy uczestniczyć w kółku różańcowym i zerwaliśmy z Radiem Maryja, ale wiara w nieomylność Kościoła wciąż w nas tkwiła. W sercu i w umyśle. No i w końcu postanowiliśmy się pobrać. Po ślubie zaczął się prawdziwy koszmar. Nie dałam mu się zbliżyć do siebie. Mieliśmy oddzielne sypialnie i oboje niesamowicie cierpieliśmy. Z początku on próbował mnie przekonać do seksu, ponieważ był normalnym mężczyzną. Kiedy okazało się to niemożliwe, wpadł w depresję. Nie mogło być mowy o rozwodzie. Oboje wierzyliśmy, że co Bóg połączył, człowiek nie może rozłączyć...

— Co ty opowiadasz? — wtrąciła starsza pani. — Przecież Kościół unieważnia takie nieskonsumowane małżeństwa.

— Nie. Zdecydowałam się na leczenie u seksuologa. Myśmy się kochali. Ja go do dziś Kocham i opłakuję... No tak, po dwóch latach nieudanego leczenia uzyskaliśmy unieważnienie małżeństwa i... on wstąpił do klauzurowego klasztoru. Nie wolno mu mieć kontaktu z otoczeniem zewnętrznym, nikomu nie wolno go odwiedzać, a był architektem, mógł projektować domy...

— Kurwa mać! — krzyknęła młoda dziewczyna — Przecież to obłąd. Słuchaj, skończ z tymi spowiedziami i w ogóle z Kościołem. Znajdź sobie przyjaciółkę, a jak cię rodzina wyklnie, to się tym nie przejmuj. Z czasem wszystko się zmieni. Na Zachodzie takie pary pobierają się i mogą nawet adoptować dzieci. Do nas też to dojdzie. Stwórz sobie nową rodzinę i skończ z jakimiś pokutami i wyrzutami sumienia. Przecież cieszysz się, że żyjesz. To żyj zgodnie ze swoimi pragnieniami.

— Dobrze ci mówić — pokiwała ze smutkiem głową Karolina — ale ja jestem po bożemu wychowana. Od dziecka. Od urodzenia. Nie wyobrażam sobie życia bez chodzenia do kościoła i w jakimś grzesznym związku. Muszę wyrzec się seksu do końca życia — westchnęła ciężko. — Z drugiej jednak strony wciąż go pożądam. Seksu z jakąś kobietą. Najgorsze, że im więcej się modłę, tym bardziej atakuje mnie diabeł. Do tego stopnia, że ostatnio przestałam się modlić i chodzić do kościoła. Co z tego? Wiecznie się zakochuję. Przeżywam męki, kiedy nie mogę zaspokoić pożądania — mówiła podniesionym tonem. — Przeszłam raka i pięć chemioterapii. Zapewniam was, że to pestka w porównaniu z tym, co czuję,

zwalczając ten... popęd. To są po prostu tortury. Jestem ginekologiem. Wybrałam ten zawód ze względu na pociąg do kobiet. Ale to był poroniony pomysł... Wyobrażacie sobie, co się ze mną dzieje, kiedy badam ładną pacjentkę? Nic dziwnego, że osoby homoseksualne często popełniają samobójstwa... Nie, muszę się wypowiedzieć i znowu zacząć chodzić do kościoła. To pewne.

— Ludzie, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam! — krzyknęła wytatuowana dziewczyna. — Lekarka, architekt, a oboje szurnięci!

Żadna z kobiet nie odezwała się, tylko opuściły Joannę. Została sama. Ale przyzwyczajona była do tego.

— Jak myślicie, czy pielęgniarka zaprowadziłaby mnie do kaplicy? — spytała po chwili milczenia. — Muszę przeprosić Boga za zwątpienie i próbę samobójczą.

— Oczywiście — odpowiedziała starsza kobieta. — To jest jedyne miejsce, do którego mamy dostęp.

Po wejściu do kaplicy, ogarnął ją błogi spokój. Było tu tak pięknie i cicho w porównaniu z salą. Na tylnej ścianie ołtarza znajdowała się mozaika z ukrzyżowanym Chrystusem. Ozdobiony był mnóstwem kwiatów, ciętych i dużych doniczkowych. Posadzka wyścielona była wspaniałym tureckim dywanem.

Uklękła w ławce. Zaczęła gorąco dziękować Bogu za uratowanie od śmierci i przeproszać za targnięcie się na życie. Nie miała już do niego o nic żalu, ani o lesbijskie skłonności, ani o nowotworową chorobę. Doszła do wniosku, że on nie ma z tym nic wspólnego, gdyż jest tylko dobrem, a wszelkie zło i nieszczęścia istnieją poza Jego Bożą rzeczywistością, która jest samym szczęściem i pięknem. Czuła, jak spada jej z serca ciężki kamień buntu i prawowania się z losem. Usiadła, by nacieszyć się przemianą, jaka w niej nastąpiła. Było to tak cudowne uczucie, jak gdyby znajdowała się w raju, a skromna kaplica zdała się jej najwspanialszą świątynią. Patrząc na ukrzyżowanego Chrystusa, szepnęła: dobry Jezu, ty jeden wiesz, co ja wycierpiałam... Nagle odwróciła się, gdyż odczuła czyjaś obecność. Do kaplicy wszedł młody, przystojny brunet w białym kitlu i ukląkł w ostatniej ławce. Domyśliła się, że to szpitalny kapłan, ponieważ zauważyła, że ma koloratkę.

Podeszła do niego.

— Przepraszam, proszę księdza, że przeszkadzam.

Mężczyzna podniósł się z klęczek i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Jak mogę pani pomóc?

— Muszę się natychmiast wypowiedzieć.

— Dobrze. Proszę usiąść obok mnie. Zamieniam się w słuch.



Kobieta gorliwie, ze łzami w oczach, wyspowiadała się z całego życia.

— Więcej grzechów nie pamiętam. Za wszystkie serdecznie żałuję i pragnę się z nich poprawić — zakończyła rutynową formułką.

Ksiądz wyszeptał cicho modlitwę i udzielił jej rozgrzeszenia.

— Porozmawiajmy — rzekł, gdy wstała z klęczek. — Udzieliłem pani rozgrzeszenia, chociaż poza targnięciem się na życie nie popełniła pani żadnego grzesznego czynu. Jednak gorąco pani tego żałuje, gorliwie przyrzeka, że to się nie powtórzy i tak bardzo cierpi. Pobyt w tym szpitalu stanowi już dostateczną pokutę...

Wszyscy jesteśmy grzeszni. Zachowujemy się, jak maluch stawiający pierwsze kroki. Są dzieci, które po upadku, podnoszą się i znów próbują, lecz są i takie, które płaczą i nie chcą iść dalej. Tak właśnie postąpiła pani i dlatego usiłowała popełnić samobójstwo. Cóż, jesteśmy słabi, często upadamy, czasami podnosimy się o własnych siłach, lecz częściej nie jesteśmy w stanie. I wtedy musimy zwrócić się o pomoc do Boga. Pani to uczyniła i on to widzi. Pomoże pani się podnieść.

Dałem pani rozgrzeszenie przede wszystkim w celu uspokojenia pani sumienia, które wyrzuca pani skłonności homoseksualne. Niepotrzebnie. Nawet papież Franciszek opowiedział się za integracją gejów i lesbijek w społeczeństwie. „Jeśli ktoś jest homoseksualistą i z dobrą wolą poszukuje Boga, kimże jestem, by go oceniać” — stwierdził. Więc powinna pani wreszcie przestać czuć się grzesznicą. Tak długo, jak żyjemy na tym świecie, mamy szansę stanąć na własnych nogach i dzielnie kroczyć prostą drogą, by zasłużyć po śmierci na wieczne szczęście w niebie. Ja... nic więcej nie mogę pani powiedzieć. Będzie pani jeszcze miała rozmowy z psychologiem i on lepiej pani pomoże. Może zrozumie pani wreszcie, że niepotrzebnie obwinia się pani za niepopełnione grzechy. Nie odpowiada pani za skłonności, którymi obciążyła panią natura.

Podniósł się z ławki i uśmiechnął się do niej serdecznie. — Na mnie czas. Zostawiam panią samą. Może sobie pani odmówić jakieś modlitwy, jeśli jest pani rozczarowana, że nie zadałem pani żadnej pokuty. Z Bogiem.

Karolinie spadł kamień z serca. Poczowała się lekka jak piórko. Wpatrzona w Chrystusa na ogromnym krzyżu nad ołtarzem, zaczęła się gorliwie modlić.

— Jezu Chryste, ty jeden wiesz, jak bardzo cierpię z powodu złych skłonności. Teraz wierzę, że pomożesz mi uwolnić się od nich. Przyjmij w tej intencji cały różaniec.

Gdy kończyła go odmawiać, odniosła wrażenie, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się, lecz nikogo nie ujrzała.

— Dzięki, jedyny Boże, że dałeś mi odczuć swoją obecność. To znaczy, że

wysłuchałeś mnie i uwolnisz od lesbijskich skłonności — zakończyła modlitwę i uszczęśliwiona wyszła z kaplicy.

Jak burza wpadła do swojej sali. — Słuchajcie dziewczyny, wyspowałam się i Bóg mi wszystko wybaczył — mówiła szybko. — Jestem taka szczęśliwa. Mam teraz siłę, by walczyć o wyzbycie się tych grzesznych myśli. Zmienię specjalizację. Będę leczyła dzieci... Czuję się jak nowo narodzona. Jak nowo narodzona — powtarzała.

„Czuję się jak nowo narodzona, czuję się jak nowo narodzona” — brzmiało w uszach Leny.

To był idiotyczny pomysł z tym samobójstwem — pomyślała ze skruchą. — Ta kobieta też nie chciała już dłużej żyć, a jednak cieszy się, że ją odratowano.

## Rozdział 20

Lena miała szczęście. W tym samym dniu ordynatorka zdecydowała o przeniesieniu jej na oddział otwarty. Znalazła się w czteroosobowej sali z pustymi łózkami. Domyśliła się, że jej towarzyszki są w parku, gdyż ujrzała za oknem soczyście zielone, dębowe liście. Ona też mogłaby wreszcie przebrać się i wyjść, jednak nie potrafiła się do tego zmusić.

Chociaż było tu o wiele przyjemniej niż na oddziale zamkniętym, czuła się straszliwie nieszczęśliwa. Zdała sobie sprawę, że jest schizofreniczką. Już po raz drugi halucynowała diabła, słyszała głosy. Po wyjściu z kliniki w Niemczech była przekonana, że to się już nigdy nie powtórzy. Teraz zwątpiła, że jeszcze kiedykolwiek odzyska zdrowie psychiczne. Obawiała się, że tak już przez całe życie, co jakiś czas, będzie lądować w szpitalu psychiatrycznym. Czarne myśli kłębiły się w jej głowie.

Co mi z tego, że mam dobrze prosperujący gabinet, że klientki mnie cenią, skoro moje pragnienie wyjścia za mąż i posiadania rodziny nigdy nie zostanie zaspokojone — myślała załamana. — Wiem to już na pewno. A jeśli pozostanę tu przez dłuższy czas, to i klientki stracę. Splajtuje... Sama sobie jestem winna. Przestałam chodzić do kościoła, przestałam się modlić. Oddałam się w ręce szatana. Więc co się dziwić, że Bóg mnie opuścił...? Egoizm, seks, alkohol. I jeszcze to donoszenie na klientki. Trzeba więcej?

Rozplakała się i zaczęła nerwowo chodzić po pustej sali. Przez łyzy powtarzała swoją mantrę: „I nie wie zwierz ni człek, i nie wie zwierz ni człek”.

Może by tak pójść do spowiedzi? — przyszło jej nagle do głowy. — Przeprosić Boga, chodzić do kościoła, oddać się pod jego opiekę?

A, ja się już do tego nie nadaję — machnęła ręką. — Tak czasami to wierzę w Boga, jednak... rzadko. Tylko podczas słuchania muzyki. No tak, w muzyce jest Bóg, ale w życiu? Wątpię.

Muszę wyzalić się przed Magdą — przyszło jej nagle do głowy. To mi trochę ulży.

Nie mogę! — Załamała nagle ręce. Jak ja jej mam to wszystko opowiedzieć? Przecież ona mnie ostrzegała. Prosiła, abym się z nim nie zadawała.

W tym momencie weszła do sali starsza siwa kobieta w granatowej, sukience z białym kołnierzykiem. Z niewiadomej przyczyny zrobiła na Lenie wrażenie zakonnicy.

— Nie płacz. — Objęła ją serdecznie. — Uspokój się. Będzie dobrze. Tu są świetni lekarze. Ja też już nie miałam nadziei, a niedługo wychodzę. Jestem Iza, a ty, jak masz na imię?

— Lena — odpowiedziała, wycierając palcami łyzy.

— Kobieta wypuściła ją z objęć. — Siadaj. Porozmawiamy.

— Dla mnie nie ma nadziei — zawodziła Lena, siadając na łóżku. — Jestem schizofreniczką. To nieuleczalne.

Iza usiadła obok niej.

— Uspokój się. Zwróć się do Boga. Dla niego nie ma nieuleczalnych chorób. Jeśli mu zaufasz i całym sercem przyłgniesz do niego, to on cię uleczy. Tylko musisz w to uwierzyć.

— Ale ja nie wierzę! — krzyknęła z furją.

— Nie szkodzi. Mogłaś dotąd nie wierzyć, jednak... „Jak twoga, to do Boga”. Musisz teraz uwierzyć, bo nie masz innego wyjścia. Bez niego nie pomogą ani lekarze ani leki. Zacznij modlić się przed snem razem ze mną i Iwoną. Nam to bardzo pomaga.

— Daj mi spokój z modlitwą — wzruszyła ramionami Lena.

— Iwona, która leży tu, obok ciebie, też nie chciała się modlić. Śmiała się ze mnie na początku. A teraz modli się po całych dniach. I czuje się coraz lepiej. Tylko Malwina nie dała się namówić. I dlatego wciąż przeżywa straszną depresję. Zawód miłosny.

— To tak, jak ja. — Łagodny głos starszej kobiety, dobrotliwe spojrzenie zielonych oczu, rozjaśniających jej pomarszczoną twarz, podziały na Lenę uspokajająco.

Iza pogładziła ją po głowie. — Drogie dziecko, jesteś taka młoda. Poznasz jeszcze odpowiedniego mężczyznę, jeśli tylko zaufasz Bogu. On cię kocha jak ojciec i chce twójgo dobra.

Do sali weszła kobieta w średnim wieku. Czyniła sympatyczne wrażenie. Na jej wąskich wargach gościł uprzejmy uśmiech. Oczy orzechowego koloru patrzyły na Lenę z ciekawością. Miała krótko ostrzyżone jasne włosy i regularne rysy twarzy bez makijażu. Ubrana była w niebieską bluzkę i czarne spodnie. Wyglądała schludnie.

— O, mamy nową towarzyszkę niedoli! — ucieszyła się. — Jestem Iwona.

— A ja Lena — spojrzała na nią obojętnie.

W ślad za nią weszła Malwina — młoda, niebrzydka blondynka, lecz bardzo zaniedbana. Nawet nie spojrzała na Lenę, tylko usiadła na łóżku, mrużąc coś pod nosem.

— Masz piękną suknię — zachwyciła się Iwona. — Musiała być droga. A te szpilki! Wyglądasz, jakbyś wybierała się na bal.

— Zaraz się przebiorę. Mam w torbie buty na płaskim obcasie i spodnie.

— Bogata jesteś, co? Czym się zajmujesz?

— Jestem kosmetyczką, właścicielką gabinetu.

— Zazdroszczę ci. Ja... przez całe życie starałam się wyrwać z nędzy, w jakiej się urodziłam. I nic z tego nie wyszło. Nie wyobrażasz sobie, ile wysiłku

kosztowało mnie ukończenie studiów. I co? Przez dziesięć lat, które upłynęły od otrzymania dyplomu magistra, pracowałam jako ekspedientka. A teraz jestem bezrobotna i staram się o rentę psychiatryczną. Męża też nie zdołałam znaleźć...

— Nie narzekaj — przerwała jej Iza. — Przecież zadowolona jesteś, że na rencie będziesz mogła rozwijać swoje zainteresowania, czytać, uczyć się języków. Nie będziesz już musiała wiecznie wysyłać tych podań o pracę i w nerwach czekać na odpowiedź.

— To prawda. Nie powinnam narzekać. W porównaniu z twoim ciężkim życiem...

— Nie rozmawiajmy o tym — Iza znów jej przerwała. — Nie ma sensu prawować się z losem. Jeszcze i do nas zawita szczęście. Bóg nas nie opuści. Jestem tego pewna. Najważniejsze, że uwolnił nas od choroby. To prawdziwy cud! Za parę dni będziemy w domu.

— Jak długo już tu przebywacie? — spytała Lena.

— Obie już drugi miesiąc — odpowiedziała Iwona. — Miałam szczęście, że trafiłam na Izę. Ona mi bardziej pomogła niż leki. Dzięki niej odzyskałam wiarę i nadzieję. A to jest w życiu najważniejsze.

— Ja już ich nigdy nie odzyskam — westchnęła Lena.

— Cóż, pieniądze ci w tym nie pomogą — ze zrozumieniem pokiwała głową Iwona.

— Czas na kolację, dziewczyny — zauważyła Iza. — Potem, po zażyciu leków i wieczornej toalecie odmówimy różaniec. Pomodlisz się z nami? — zwróciła się do Leny. — To ci dobrze zrobi.

— Nie mam pojęcia, jak się odmawia różaniec — odpowiedziała. — I nie mam na to ochoty. Posłucham sobie muzyki z komórki. Przez słuchawki, żeby nie przeszkadzać wam w modlitwie.

Nazajutrz podczas wizyty młoda, ładna lekarka z dyskretnym makijażem, zwróciła się do Leny z uśmiechem:

— No i jak? Dobry zastrzyk zaaplikowaliśmy pani? Jak się pani czuje?

— Nieźle. Najważniejsze, że ustały głosy i halucynacje — odpowiedziała, patrząc lekarce w oczy. — Ale... obawiam się, że powrócą. Jestem schizofreniczką. To nieuleczalne.

— Co też pani mówi? Od razu schizofrenia! Taka spowodowana traumatycznym przeżyciem psychoza często mija bezpowrotnie. Najlepszy dowód, że po jednym zastrzyku ustały te przykre objawy. Teraz będzie już pani brała tylko krople.

— Ustały, jednak boję się psychotropowych leków. Byłam już raz, przed rokiem na leczeniu i wiem, że po tych lekarstwach jestem potwornie pobudzona.

Muszę nieustannie chodzić, nie mogę usiedzieć w miejscu, nie śpiam po nocach.

— Zdarza się taka reakcja, lecz po pewnym czasie mija. Proszę być dobrej myśli i uzbroić się w cierpliwość. A w jakim szpitalu wówczas pani była? Ma pani wypis z diagnozą?

— Nie mam. Byłam w prywatnej klinice za granicą.

— I co? Zdiagnozowano u pani schizofrenię? — zaniepokoiła się lekarka.

— Broń Boże! Nie.

— To skąd przyszło to pani do głowy? Na razie będzie pani przyjmować leków i zobaczymy, co dalej. Głowa do góry... Czy zawiadomiła pani kogoś bliskiego, że jest pani w szpitalu?

— Nie.

— Proszę od razu zadzwonić do matki. Rozmowy z bliskimi to najlepsza terapia.

— Dobrze, pani doktor, zrobię to. Chociaż... — spuściła głowę i nie dokończyła zdania.

— Proszę zadzwonić. Głowa do góry — powtórzyła lekarka. — Będzie dobrze.

Po jej wizycie Lena zjadła śniadanie i natychmiast udała się do ogrodu, by — swoim zwyczajem — porozmawiać z drzewami, które zawsze potrafiły ją pocieszyć. Usiadła pod starym, rozłożystym dębem o grubym pniu i gęstej koronie.

— Nikt mnie nie kocha — szeptwała. — Nawet rodzice. — Chętnie porozmawiałabym z tatusiem, bo on kochał mnie kiedyś, ale teraz to już chyba nie. Najgorsze, że nie wiem, co rodzicom powiedzieć. Jak im wyjaśnić, dlaczego znalazłam się w szpitalu. Nie chcę, żeby się dowiedzieli o aferze z Friedrichem... Tak go kochałam, a on... Nie mogę o tym myśleć.

Pogładziła pień drzewa. Miała ochotę przytulić się do niego, lecz wstydziła się, że ktoś mógłby to zauważyć.

— Kochany dębie, doradź mi, co powiedzieć rodzicom — zwróciła się do niego.

A on poruszył listkami: — Zadzwon do matki. Wymyślisz coś w trakcie rozmowy. Przecież nie możesz ukryć przed nimi pobytu w szpitalu.

— No tak. Muszę do niej zatelefonować — odpowiedziała szeptem. — Jednak nie potrafię się na to zdobyć. Nie wyobrażam sobie tej rozmowy. Zadzwonię później, jeszcze nie teraz. Nie mogę.

\*

Stało się tak, jak przewidywała. Po zaaplikowanych lekach nie była w stanie

zająć się niczym innym poza chodzeniem tam i z powrotem. Inni chorzy przeżywali to podobnie, choć nosiło ich nieco mniej. Niektórzy jednak mieli jakieś tiki oraz inne powszechnie znane objawy obłądu, powtarzali w kółko bezsensowne słowa, nieustannie kiwali się podczas siedzenia. Ci nieszczęśliwi ludzie urozmaicali sobie życie w przeróżny sposób, na ogół rozmowami, grą w karty, spacerami. Pewien przystojny mężczyzna w średnim wieku miał osobliwy sposób spędzania czasu. Co rano kupował w kiosku pięć paczek papierosów i kartonik zawierający dwadzieścia pięć torebeczek herbaty. Nie jadał posiłków. Cały dzień spędzał w palarni, paląc i popijając herbatę, z przerwami na jej zaparzenie. Twierdził, że już tak przez kilka lat wypala sto papierosów dziennie. Wszyscy nim gardzili — lekarze, pielęgniarki, a nawet nadzwyczaj wyrozumiali towarzysze niedoli. Ona jedna mu współczuła, ponieważ — tak samo jak on — mogła usiedzieć tylko wówczas, gdy paliła papierosa. Wróciła do tego nałogu, choć udało się jej wreszcie z nim skończyć. Wciągnęła ją do niego na powrót Aldona — młoda, ładna blondynka w czarnej mini-sukience, która przysiadła się do niej na ławce w parku.

— Wiesz co? — zaczęła szeptem bez żadnego wstępu. — Tak sobie myślę, że jest we mnie porcja szaleństwa, wyssanego z piersi matki. Kiczowatego uczucia nikomu niepotrzebnego, jak wiersze skradzione przez diabła i spalone w piecu, tłące w popiołach rozpacz, utajone w czeluściach mego mrocznego wnętrza i w zeschniętych liściach, złowrogo szeleszczących pod stopami.

— Jesteś poetką? — spytała Lena. — Jak masz na imię. Ja jestem Lena. Lubię wiersze. Mam romantyczne usposobienie.

— E, tam — machnęła ręką dziewczyna. — Jaka ze mnie poetka? Żadne wydawnictwo jeszcze mi nawet nie odpowiedziało, chociaż wysłałam już ich mnóstwo... Zapalisz? — Wyciągnęła z torebki paczkę Marlboro.

— A wiesz, że chętnie. Dawno już rzuciłam palenie, bo to szkodzi na cerę, ale teraz przyszła mi ochota. Jak masz na imię? — Lena powtórzyła pytanie, wyjmując z paczki papierosa.

Dziewczyna zapaliła jej go. — Bzdura. Od piętnastego roku życia palę i mam dobrą cerę. Nazywam się Aldona.

— Bo natura obdarzyła cię świetną jakością skóry — rzekła Lena, przyglądając się jej twarzy ze znawstwem.

— Wiesz co, podobasz mi się, więc przeczytam ci parę swoich wierszy. Noszę zawsze przy sobie notatnik. Chcesz?

— Dobrze. Chętnie posłucham, żeby zapomnieć o swoim smutnym położeniu. Tylko przeczytaj jakiś optymistyczny.

— Okay. Mam takich sporo, bo piszę tylko, jak jestem zdrowa. Podczas depresji nie ma o mowy o pisaniu.

Aldona wyjęła z torebki notatnik, otworzyła go w odpowiednim miejscu

i zaczęła czytać:

### *Dreszczyk nadziei*

*Wszystko stracone  
szanse spalone  
karty z rąk wytrącone  
lecz  
koronkowe wzory świerków  
tło nieba dreszczykiem  
nadziei przenikają  
owce skubiące trawę  
muzyką dzwoneczków  
przed zwątpieniem ostrzegają.*

*Dęby szumiącymi gałęzmi  
już nową talię kart rozdają.*

— Piękny wiersz. Masz jeszcze jakiś o lesie, o ptakach, o kwiatach?

— Owszem. Wyszukam je dla ciebie i wszystkie ci jutro przeczytam. Tutaj mam pod ręką jeszcze jeden. Posłuchaj:

### *Na wsi*

*Spójrz w niebo i policz gwiazdy  
a rankiem polne kwiaty na łące  
tej liczby nikt nie odgadnie  
nie przeczytasz w żadnej książce.*

*Posłuchaj śpiewu ptaków  
a wiele się od nich dowiesz  
i nigdy tego nie zapomnisz  
nikomu o tym nie powiesz.*



*W wiejskiej zagrodzie płuca  
napelnisz zapachem siana  
a uszy kurzym gdakaniem  
zerwiesz się na nogi z rana  
obudzona kogutów pianiem.*

*Zapomnisz o wszelkich troskach  
świat wyda ci się wspaniały  
zdziwisz się tym że w mieście  
tak ważne ci się wydały.*

— Pięknie czytasz — zachwyciła się Lena. — Mogłabyś być aktorką.

— Chciałam, jednak podczas egzaminu wstępnego do szkoły teatralnej odpadłam w pierwszych eliminacjach. Mówię ci, nic mi w życiu nie wychodzi. Najgorsze, że już przed trzema laty ukończyłam socjologię i do tej pory nie mogę znaleźć pracy. Rozchorowałam się z tego powodu. Wciąż wysyłam podania ze swoim CV, gdzie tylko się da. Po raz pierwszy wpadłam w depresję po setnej chyba, negatywnej odpowiedzi. Opadły mi ręce. Kiedy jednak wyszłam ze szpitala z nową energią, znów zaczęłam wysyłać podania. I tak w kółko od trzech lat. Z tą różnicą, że teraz wpadam w depresję już po dwu, trzech odmowach... Mam cholernego pecha. Męża też nie mogę znaleźć, z powodu wiecznych depresji.

Lena objęła ją serdecznie. — Strasznie ci współczuję, ale myślę, że w końcu uda ci się znaleźć pracę i wtedy wyjdiesz z depresji. A wiersze możesz wysyłać do czasopism literackich.

— Oczywiście. Wysyłałam do nich swoje wypociny, ale jak dotąd żaden nie został opublikowany. Widocznie nic nie są warte.

— Nie wierzę. Dużo czytam, więc chyba znam się trochę na tym. Te dwa są świetne. Nie wydaje mi się, żebyś była w depresji.

— Przesiedziałam tu już trzy tygodnie. Pojutrze wychodzę. Musiałabyś mnie widzieć, jak mnie tu przywieźli.

— Jaka szkoda, że wychodzisz. Chciałabym spotykać się z tobą co dzień i słuchać twoich wierszy.

— Jutro przeczytam ci wszystkie takie z naturą w tle. Dam ci swój numer telefonu. Jak zechcesz się jeszcze kiedyś ze mną spotkać, to zadzwoń. A teraz pora na obiad.

## Rozdział 21

Tymczasem współtowarzyszki Leny wzięły sobie za punkt honoru jej nawrócenie. Opowiadały o objawieniach Matki Boskiej, o cudach. Rozwodziły się nad postacią świętego Jana Pawła II, o którym wiele się od nich dowiedziała. Był idolem jej ojca, sama zresztą też go ceniła. Niemniej ciekawa była informacji o nich samych, o ich życiu i chorobie. Jednak niewiele o sobie zdradziły. Jej też nie wypytywały, za co była im wdzięczna. Jednym uchem słuchała ich religijnych wywodów, lecz myślami była gdzie indziej. Chodząc tam i z powrotem po sali, wspominała swojego ukochanego Leonardo i zdawało się jej, że bez niego życie straciło wszelki urok. Nie odczuwała już złości. Uwierzyła, że musiał z nią zerwać ze względu na powrót żony. Pogodziła się z tym.

Niech mu ziemia lekką będzie. Dla mnie on już nie istnieje — myślała z rezygnacją słowami Anety.

Żeby tylko jak najszybciej stąd wyszła, by nie stracić klientek — martwiła się. — Moja praca jest teraz dla mnie najważniejsza. Musi mi wystarczyć. Po co mi mąż? Przecież mam wszystko. Dobrych rodziców, krewnych, przyjaciół, satysfakcjonujące zajęcie, piękne mieszkanie, fajny samochodek, luksusowe ciuchy i kosmetyki. Na nic mi nie brakuje pieniędzy. Stać mnie na teatr, na koncerty, na wszystko, co mi do szczęścia potrzebne. To grzech narzekać, kiedy inni żyją w nędzy, tak jak Iza i Iwona. Obie ledwo wiążą koniec z końcem i też nie mają mężów. Iwona może jeszcze kogoś sobie znaleźć, jest młoda. Ale Izie zagląda już śmierć w oczy. Całe życie spędziła w biedzie i samotności. Nie ma rodziny ani krewnych. Tylko modlitwa trzyma je przy życiu. To odmawianie różańca jest dla nich tym, czym dla innych narkotyki albo alkohol.

Zrobiło się jej żal obu kobiet. Rozmyślając nad ich losem, zrozumiała, że nie powinna rozpaczać z powodu rozstania z Friedrichem, bo przecież oprócz miłości erotycznej ma wszystko inne, co daje zadowolenie z życia.

Seks nie jest aż tak ważny, jak mi się zdawało. Tyle lat obywałam się bez niego i było dobrze. Wielu ludzi żyje w samotności, spełniając się w pracy zawodowej. Widocznie małżeństwo nie jest mi sądzone. Taki mój los — pocieszała się.

Po paru dniach, zgodnie z przewidywaniem lekarki, skończyło się dręczące Lenę chodzenie. Poczła ogromną ulgę. Mogła już spokojnie siedzieć i leżeć. Przestała palić.

Koniec z marudzeniem, trzeba zadzwonić do mamy — postanowiła natychmiast, czując się na siłach, by wreszcie z nią porozmawiać.

Wyjęła z torebki komórkę i nacisnęła trójkę, pod którą miała zakodowany jej numer.

— Dzień dobry, mamusiu. Stało się coś straszego — powiedziała bez żadnych wstępów. — Jestem w szpitalu psychiatrycznym.

— Jak to? Tak nagle?! — krzyknęła Adela. — Zawsze byłaś normalna. Wiem, wiem... Potrzebujesz mężczyzny. To z tego powodu. Tylko praca i praca. A latka lecą...

— Daj spokój, mamusiu — przerwała jej. — Przyjedź do mnie w odwiedziny, bo mi tu smutno — prosiła płaczliwym tonem.

— Dobrze. Tylko powiedz, jak do tego doszło. Stało się coś złego? Przecież nie mogłaś się tak nagle, bez powodu rozchorować?

— Nie chcę o tym rozmawiać. Proszę cię, przyjedź.

— No dobrze już, dobrze. Nie będziemy o tym mówić. A w którym szpitalu jesteś?

— W Centrum Psychiatrii przy ulicy Korczaka.

— To kiedy mam przyjechać?

— Choćby zaraz.

— Nie mogę tak nagle wszystkiego zostawić i jechać do Katowic. Jutro przyjadę. O jakiej porze są odwiedziny?

— Po południu.

Adela poczuła się, jakby spadł na nią grom z jasnego nieba.

— Powiedz mi, co się stało — nalegała. — Nigdy mi nic o sobie nie opowiadasz. Jesteś taka skryta. Co to za choroba? Nie daj Boże, schizofrenia? — spytała zmartwiona.

— Nie wiem — westchnęła ciężko Lena. — Naprawdę, proszę cię nie rozmawiajmy o tym. Chciałabym, żebyś mi poopowiadała o sobie. Chcę zapomnieć o swoich problemach... No, po prostu, chcę się z tobą zobaczyć.

— Dobrze. Przyjadę jutro po południu. Przywieźć ci coś?

— Coś dobrego do jedzenia.

— W porządku. To do jutra. Trzymaj się.

— Do widzenia, mamusiu.

Przy kolacji Adela suchym tonem oznajmiła mężowi:

— Twoja córka zwariowała. Jest w szpitalu psychiatrycznym. To twoja wina, bo molestowałeś ją w dzieciństwie i dlatego ona wciąż jest sama. Podejrzewam, że boi się mężczyzn.

— Jezus, Maria! — Załamał ręce jej mąż, odsuwając talerz. Zbladł, skulił się, jakby za chwilę miał zemdleć.

— Jak możesz oskarżać mnie o coś takiego? Nie wierzę, że ona jest chora psychicznie. To nie może być!

— Może, może. Jutro jadę ją odwiedzić.

— Jedziemy razem! — zdecydował, wstając od stołu.

— Jak chcesz. Tylko nie wiem, czy ona tego chce. Zadzwoiła do mnie, a nie do ciebie.

— A wiesz, dlaczego? — Zdenerwował się mężczyzna. — Bo do tego stopnia prześladowałaś mnie oskarżeniami, że unikałem bliższych kontaktów z nią i oddaliliśmy się od siebie. Ale teraz zrobię wszystko, żeby to naprawić.

— Ciekawe, co? Znowu zaczniesz ją pieścić, tak jak w dzieciństwie?

— Porozmawiam z nią szczerze. Wszystko jej wyjaśnię. Muszę wreszcie zburzyć ten niewidzialny mur, który mnie od niej odgradza.

\*

— O, tatuś też przyjechał! — Ucieszyła się Lena na widok ojca trzymającego w ręku ogromny bukiet róż.

— Przyjechał, przyjechał — rzekła z przekąsem jej matka. — Ma wobec ciebie wyrzuty sumienia. To przez niego wciąż jesteś sama.

— Nieprawda — bąknął zmieszany mężczyzna.

— Przez niego?! — krzyknęła Lena. — Co ci przyszło do głowy?

— Molestował cię w dzieciństwie, dlatego boisz się mężczyzn — powiedziała ze złośliwą satysfakcją Adela.

— Ależ to bzdura! — oburzyła się jej córka. — Dzieciństwo było dla mnie najpiękniejszym okresem w życiu. Właśnie dzięki tatusiowi.

— Tylko... później — zwróciła się do ojca — stałeś się taki obcy. Obsypywałeś mnie prezentami, spełniałeś wszystkie moje zachcianki, ale byłeś taki... obojętny. A ja chciałam, żebyś mnie od czasu do czasu objął i spytał, co robię, czym się zajmuję. Chciałam zwierzać ci się ze swoich problemów, bo mama... — Nagle przerwała, spostrzegłszy dziwną minę Izy, która przysłuchiwała się ich rozmowie. — Wstawię kwiaty do wody i pójdziemy do parku. Tam sobie porozmawiamy.

Gdy usiedli na ławce, jej ojciec wreszcie przemówił.

— Kaziu, córeńko najdroższa — zwrócił się do Leny. — Wyjąłbym sobie serce z piersi, bylebyś wyzdrowiała. A to, co mama powiedziała... Wiesz, tyle się słyszy o ojcach molestujących córki, że ja... No, po prostu byłem jak sparaliżowany. Bałem się, żebyś nie myślała, że... no, wiesz. To jej wina — wskazał na żonę. — Oburzała się, kiedy brałem cię na kolana. Ona ma na tym punkcie uraz, bo jej wujek żył ze swoją nieletnią córką, a jego żona zadowolona była, że siedzi w domu i przestał ją zdradzać z innymi kobietami. To jest obsesja twojej matki. Wiecznie się bała, że ja to samo będę robił.

— Ale dlaczego stałeś się od pewnego czasu taki... dziwny, skrępowany, małomówny. Rozumiem, dlaczego nie okazywałeś mi czułości, jednak mogłeś ze mną rozmawiać, poświęcać mi więcej czasu — czyniła mu wyrzuty.

— Opowiem ci, jak do tego doszło — zaczął mężczyzna z zakłopotaniem,

unikając wzroku córki. — Pewnej nocy, gdy mama po stosunku odwróciła się na bok i usnęła, tak bardzo byłem spragniony uczucia, że postanowiłem pocieszyć się widokiem ukochanej córeczki. Wszedłem do twojego pokoju, stanąłem przy łóżku i przyglądałem się, jak mój aniołeczek słodko śpi. Nagle... obudziłaś się. Uświadomiłem sobie ze wstydem, że jestem nagi i szybko wyszedłem... Od tego czasu wstydziłem się spojrzeć ci w oczy. Prześladował mnie obraz twojego przerażonego wzroku utkwionego w moim... penisie. Bałem się zbliżyć do ciebie... Dziecino, ja bym ci nieba przychylił — mówił ze łzami wzruszenia w oczach. — Przez całe życie co dzień modłę się za ciebie.

Lena rzuciła się w jego objęcia. — A ja myślałam, że przestałeś mnie kochać. Cierpiałam z tego powodu, że byłem taki nieczuły. Pamiętałam, jak mnie pieściłeś w dzieciństwie i strasznie mi tego brakowało. Szukałam tego u innych mężczyzn.

— No, uspokój się, takie wzruszenie może ci zaszkodzić — zwróciła jej uwagę Adela. — A ty, nie mów do niej Kaziu, bo ona tego nie lubi. Przecież wiesz, że ona jest teraz Lena.

— Mam na imię Kazimiera — rzekła jej córka. — Dla was jestem Kazia. Tylko dla obcych Lena.

Ojciec wypuścił ją z objęć. — Widzę, że wcale nie jesteś chora — ucieszył się. — Ślicznie wyglądasz. Zachowujesz się normalnie.

— Leki postawiły mnie na nogi, tatusiu.

— No, to chyba niedługo cię wypuszczą?

— Też tak myślę. Strasznie się cieszę, że przyjechałeś i wyjaśniłeś mi, dlaczego mnie unikałeś. Obiecuj, że znów będziemy spędzać ze sobą wiele czasu, bo zrozumiałam, że tak naprawdę... — przerwała, a w oczach jej zalśniły łzy wzruszenia — to tylko ty mnie kochasz — dokończyła, przytulając się do ojca.

— Mama też cię bardzo kocha, tylko nie potrafi tego okazać. Taki ma charakter.

— Nie musisz tego mówić, ona to wie — rzekła naburmuszona kobieta.

— Słuchaj Kaziu, jak tak o tobie wczoraj myślałem, przyszło mi do głowy, że powinnaś znowu zacząć grać na pianinie. Myślę, że to by ci dobrze zrobiło — zastanawiał się jej ojciec. — Dlaczego nie zabrałaś go do swojego mieszkania?

— Chyba nie umiem już grać. Zapomniałam. A poza tym nie wiem, czy mam tyle miejsca w pokoju dziennym.

— Oczywiście, że masz. Przeniesiemy pod okno balkonowe tę palmę, która stoi koło sofy i tam postawimy pianino. Przetransportuję je do ciebie i przywiozę ci twoje nuty. Poćwiczysz. Przypomnisz sobie.

— To dobry pomysł. Ono jest czarne. Będzie świetnie pasowało do moich białych mebli — ucieszyła się Lena.

Ojciec z córką gawędzili sobie w radosnym nastroju, szczęśliwi, że zostały

przełamane między nimi lody. A matka milczała zachmurzona.

## Rozdział 22

Kiedy Lena, po serdecznym pożegnaniu się z rodzicami, wróciła do sali, zauważyła, że Iza ma zapłakane oczy.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona.

— Ach, nic takiego. Napadł mnie atak rozczulania się nad sobą, kiedy zobaczyłam, jakich ty masz wspaniałych rodziców...

— Dlaczego? Wyjaśnij to — prosiła Lena.

— Nie ma, o czym mówić — rzekła, wycierając chusteczką łzy.

— Jak to? Przecież płaczesz. Powiedz, dlaczego.

— No... powiem. Nie znam swojego pochodzenia. Strasznie mnie to dręczy. Przez całe życie próbuję znaleźć matkę, siostrę, brata. Chyba po to, żeby odnaleźć siebie. Tak mówią psychologowie od tożsamości i specjaliści od praw człowieka. Wiesz, prawo do wiedzy o genetycznych krewnych uznano w ostatnich latach za standard cywilizacyjny. W krajach zachodnich nawet w przypadku dzieci pochodzących od anonimowych dawców spermy... Co z tego? Kiedy tak trudno jest ich odnaleźć.

Lena słuchała Izy z ogromnym przejęciem. Potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo samotny musi czuć się człowiek, który nie zna swoich rodziców.

— Nie płacz, bo i ja się rozplaczę. — Objęła ją i przytuliła mocno.

— Najgorsze jest to dręczące pytanie: dlaczego? I wtedy serce ściska ból. Nie wyobrażasz sobie, co przeżyłam, gdy lekarz, podejrzewając u mnie raka, zapytał mnie, czy w rodzinie ktoś miał nowotwór, a ja... po prostu nie wiedziałam. Być może?

— Mogę to sobie wyobrazić.

— Zdarzają się przypadki, że nieznający się brat i siostra trafią na siebie, bo adopcje często przeprowadza się w granicach tych samych miast lub pobliskich miejscowości — mówiła Iza, pozostając w jej objęciach. — Ja nie miałam tego szczęścia. Sprawdziłam wszystko dokładnie, nic nie znalazłam. Pewnie mi nie uwierzysz, ale ci powiem. Parę razy w życiu byłam zakochana. Może to śmieszne — zaśmiała się nerwowo — za każdym razem obawiałam się, że mężczyzna okaże się moim bratem. Podobno rodzeństwo czuje do siebie pociąg seksualny, jeśli nie wie, że łączą je więzy krwi. Najgorsze, że nie wychowałam się w rodzinie zastępczej, więc nie mam nawet przybranych rodziców. Wychowałam się w domu dziecka. Nikt nie chciał adoptować brzydkiej, chorowitej dziewczynki. Gdyby nie wiara i modlitwa, popełniłabym samobójstwo. Ostatnio pomógł mi proboszcz mojej parafii. Zaczął wpisywać moje dane w wyszukiwarce rodzin portalu „Zerwane więzi”. Czekam, aż ktoś się znajdzie. Wciąż żyję nadzieją. I modlę się o to — złożyła ręce w modlitewnym geście.

Nagle uwolniła się ze współczujących objęć Leny. — Koniec z tym — rzekła zdecydowanie. — Dość rozczulania się nad sobą.

Kiedy wieczorem Iwona i Iza zabierały się do odmawiania różańca, Lena zwróciła się do nich:

— Wyobraźcie sobie, że mój ojciec co dzień modli się za mnie. Nigdy bym nie przypuszczała, bo wprawdzie moi rodzice chodzili ze mną do kościoła, jak byłam mała, jednak kiedy zbuntowałam się, też przestali. Tak sobie myślę, że może odmówiłabym z wami różaniec, tylko... Nie umiem.

— Chyba nie zapomniałaś „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”? — spytała Iza.

— No nie.

— Resztę, to ja już poprowadzę.

Lena uklękła wraz z nimi, a Iza zaczęła:

— Dzisiaj jest piątek, będziemy rozważać tajemnice bolesne. A więc: Tajemnica pierwsza — modlitwa Jezusa w Ogrójcu.

„Ojcze mój, jeśli to możliwe, niech mnie ominie ten kielich. Tak modlił się Chrystus w Ogrójcu na krótko przed swoją męką i śmiercią. Wzywał też apostołów i wszystkich nas, abyśmy z Nim czuwali, bo jest to jedyne zabezpieczenie przed upadkiem w godzinie pokusy i próby. ‘Wszakże nie jak Ja chcę, lecz jak Ty’ — brzmiały końcowe słowa modlitwy Chrystusa do Ojca.

Maryjo, przyczyn się za nami, abyśmy i my nauczyli się przyjmować we wszystkim wolę Ojca. Tylko tak, bowiem dokonuje się zbawienie świata i nasze własne”.

— Teraz odmówimy dziesięć razy „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario” — zwróciła się do Leny.

Gdy skończyły, Iza zapowiedziała:

— Tajemnica druga — biczowanie Jezusa.

„Piłat wziął Jezusa i kazał Go ubiczować...”

— Przepraszam — przerwała jej Lena, ziewając szeroko. — To znaczy, że teraz znowu mamy dziesięć razy odmówić „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”? — spytała.

— Oczywiście — odpowiedziała Iza.

— A ile jest tych tajemnic?

— Pięć.

— Więc w sumie mamy to powtarzać pięćdziesiąt razy! Nie! To nie dla mnie. Niemożliwe, żeby Bóg cierpliwie tego słuchał. On już po pierwszej dziesiątce jest znudzony. Moim zdaniem wystarczy jeden raz odmówić „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”, żeby modlitwa do niego dotarła.

— Nic nie rozumiesz! — oburzyła się Iwona. — To jest modlitwa



kontemplacyjna.

— Bardzo przepraszam, że wam przeszkodziłam, ale się wycofuję. Posłucham sobie Mszy Koronacyjnej Mozarta. Dobranoc.

\*\*\*

Po serdecznej rozmowie z ojcem, Lenę ogarnęło poczucie szczęścia. Po całych dniach spacerowała w parku, nucąc religijne pieśni. Nieustannie dziękowała Bogu za swoje dostatnie życie, za kochających rodziców, za satysfakcjonującą pracę.

Stało się tak, jak przewidziała lekarka. Ta rozmowa stanowiła dla niej najlepszą terapię. Wkrótce po niej opuściła szpital.

## Rozdział 23

Po powrocie do domu, wieczorem puściła płytę CD ze swoim ulubionym koncertem e-moll Chopina.

Mój Boże, pomyślała wzruszona. Ten to dopiero miał serce!

Przypomniała sobie historię materialnego, cielesnego serca wielkiego kompozytora wmurowanego w filarze warszawskiego kościoła św. Krzyża niczym najświętsza relikwia.

Jak to się stało, że uszanował je tłumiący powstanie hitlerowski kat Warszawy i zwrócił je arcybiskupowi? — zastanawiała się.

— No cóż, zbrodniarze też mają serce — wyszeptała. — Ta cudowna muzyka miała taką moc, że zmusiła go do uszanowania tego drogocennego organu, w którym mieściła się dusza ludzkiego geniuszu... Gdzie skarb twój, tam i serce twoje — powtórzyła cytat z Pisma Świętego widniejący na filarze, w którym wmurowana jest urna z sercem Chopina.

Ale byłam głupia, marząc o życiu w Niemczech — pomyślała. — Moje serce jest na Śląsku, w Bytomiu, w Katowicach. Tu jest mój skarb. Tam dręczyłaby mnie tęsknota za Polską, za ojczystą mową. Podobnie jak Elę.

Zrozumiała, gdzie jest jej miejsce. Pojęła, że kusząca uroda tamtego świata stanowi dla niej jedynie kryjący wewnętrzną pustkę blichtr, wabiący zwodniczo jak Mefisto w „Fauście” mirażem wiecznej młodości, za którym kryje się otchłań nicości.

Wysprzątała mieszkanie, zrobiła pranie, napełniła lodówkę i z zapalem zabrała się do swoich nut. Najpierw ćwiczyła etiudy i sonaty. W końcu odważyła się na najłatwiejszy z utworów Chopina, skomponowany przez niego w dzieciństwie — Polonez B-dur. Szło jej coraz lepiej. Kiedy stwierdziła, że umie już go zagrać, a także parę utworów Bacha i Haydna, zaprosiła rodziców na koncert. Odwiedzali ją odtąd coraz częściej. Pod wpływem wyznania męża w szpitalu, jej matka się zmieniła. Przejęła się chorobą Leny, zdała sobie sprawę, że swoją oschłością krzywdziła i męża, i córkę. A przecież kochała ich oboje. Zaczęła więc starać się okazywać im trochę uczucia, choć z trudem jej to przychodziło. Lecz dla nich było to bardzo wiele, ponieważ dotąd boleśnie odczuwali jej szorstkie traktowanie.

Pobył Leny w szpitalu nie odbił się zbyt negatywnie na prosperowaniu gabinetu. Stałe klientki pozostały jej wierne, pojawiły się nowe. Obie z drugą kosmetyczką miały ręce pełne roboty. Wiodła spokojny żywot, bez uniesień i tęsknot. Przestała myśleć o znalezieniu męża, czy też o jakiegokolwiek zmianie

w swoim uładowym życiu. Coraz rzadziej myślała o Friedrichu, chociaż wciąż trudno było jej o nim zapomnieć. Czasami poddawała się marzeniu, że on do niej powróci, lecz szybko przywoływała się do porządku.

Uczuciowo wyżywała się w słuchaniu muzyki operowej. Przeżywała wraz ze śpiewakami wszelkie uczucia, którymi przepelnione było jej gorące serce. I to jej na razie wystarczało. Nie musiała ich doznawać w życiu. Jeździła do Bytomia, gdzie — podobnie jak w dzieciństwie — chodziła z rodzicami do Opery Śląskiej.

Zdecydowała się wreszcie skontaktować z Anetą, która wydzwaniała do niej co dzień przez dłuższy czas, aż w końcu przestała, postanawiając poczekać, aż ona sama się zgłosi. Lena miała wyrzuty sumienia, że nie odpowiadała na jej telefony. Nie wiedziała jednak, jak jej wytłumaczyć swoje milczenie. Wstydziła się przed nią niefortunnego romansu.

Drżącą ręką nacisnęła dwójkę.

— Jezus, Maria, co się z tobą działo! — krzyknęła Aneta. — Czy wiesz, ile czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania?

— Wiem. Przykro mi, że nie odpowiadałam na twoje telefony, ale nie mogłam. Przeżyłam straszny czas. Dwukrotnie byłam w szpitalu psychiatrycznym. Raz w Niemczech, a ostatnio w Polsce.

— W szpitalu psychiatrycznym? — Głos Anety zadrżał. — Dlaczego? Co się stało?

— Ten Niemiec mnie wykończył.

— Radziłam ci, żebyś sobie dała z nim spokój. Absolutnie!

— Tak — Lena westchnęła ciężko. — To był wyjątkowy... skurwiel. Wciągnął mnie w niesamowitą aferę, z powodu której zwariowałam. Wywiózł mnie do kliniki psychiatrycznej w Niemczech, gdzie zostałam wprowadzie wyleczona z psychozy, ale nie z opętania przez niego. Spotykałam się z nim w dalszym ciągu. Nagle wróciła do niego żona, która odeszła od niego, kiedyśmy się poznaliśmy. Oczywiście od razu mnie porzucił, a ja znowu wpadłam w psychozę i wylądowałam w klinice psychiatrycznej w Katowicach... Wysłam z tego. Chciałabym się z tobą spotkać. Nie masz mi za złe, że tak długo milczałam?

— Jakże bym mogła! Bardzo ci współczuję. Sama widzisz, do czego może doprowadzić opętanie seksem. To straszne. Jak ty to wszystko przeżyłaś? — pytała Aneta ze wzburzeniem.

— Nie rozmawiajmy o tym. Było, minęło. Nie chciałabym do tego wracać. Najważniejsze, że już się skończyło. Jednak... O ile siebie znam, jak się spotkamy, wszystko ci opowiem. A teraz mów, co u ciebie.

— Piszę powieść. Opowiadań nie chce nikt wydawać. Może z powieścią mi się prędzej uda?

— Wspaniale. Na pewno ją wydasz. To, co? Spotkamy się w niedzielę? Będę na ciebie czekać w Café Art o... Powiedzmy o czwartej.

— Okay. Jesteśmy umówione. Pa, pa.

## Rozdział 24

Siedziały w klimatycznej piwnicy Café Art w Rynku, działającej na nie pobudzająco nowoczesnym artystycznym wystrojem. Rozmawiały z ożywieniem, pałaszując ogromne ajerkoniakowe ciastka. Zwracały powszechną uwagę, gdyż wyglądały malowniczo i oryginalnie. Miały tak atrakcyjny i kontrastowy wygląd, że nie można było oderwać od nich oczu. Obie promieniały urodą. Ognista brunetka Lena, z mocno podkreślonymi malachitowymi oczyma, ubrana była we wzorzystą karminową tunikę, czarne leginsy i czerwone kozaczki na szpilkach. Zaś stanowiąca z wyglądu uosobienie łagodności Aneta tonęła w błękitach harmonizujących z jej fiołkowymi oczami. Ona również miała staranny makijaż, co rzadko się jej zdarzało, gdyż od czasu wypadku nosiła na ogół duże, ciemne okulary. Ponieważ jednak był to jesienny, ponury dzień, zrezygnowała z nich. Jej długie rzęsy kapały granatowym tuszem, pasującym do chabrowych cieni na powiekach. Miała na sobie bławatkowo-srebrny sweterek, opięte dzinsy i niebieskie botki.

Lena zrelacjonowała z ogromnym przejęciem i ekspresją swój niefortunny romans i pobyty w szpitalach psychiatrycznych. Aneta z ożywieniem mówiła o odkryciu powołania do pisania powieści.

— Opowiadania to było nie to. Tylko powieść daje możliwości literackiego spełnienia. Absolutnie. — Pokręciła z przejęciem głową. — Wydrukowałam dla ciebie parę ciekawych fragmentów — sięgnęła do dużej granatowej torebki i wyjęła plik kartek. — Mogę ci przeczytać. Chcesz posłuchać?

— Jak najbardziej. Zamieniam się w słuch.

Aneta zaczęła czytać:

*Pewnego upalnego lipcowego popołudnia Ewelina siedziała z koleżanką na zewnątrz „Café Camelot” w Zaułku Niewiernego Tomasza. Zauważył ją przechodzący tamtędy Wiktor mieszkający w pobliżu. Tylko czekał na taką okazję. Podeszedł do nich i przysiadł się do ich stolika.*

*Ewelina utkwiała w nim wzrok, gdyż wspaniale wyglądał w rozpiętej pod szyją, barwnej koszuli. Podziwiała jego grecki profil, ogromne czarne oczy, piękne zęby połyskujące w opalonej twarzy. Zadrżała, gdy dotknął jej dłoni.*

*Piękny ten Wiktor — pomyślała — twarz ma jak z „Portretu syna” El Greco.*

*Zrobiło się jej nagle strasznie gorąco. Poczuli, że po obnażonych plecach splywa jej pot.*

— *Cieszę się, że cię spotkałem, Ewelinko — powiedział uwodziciel, patrząc jej czule w oczy. — Mam taki stary obraz, który wymaga odnowienia. Właściwie nie jestem tego pewien, może on po prostu jest taki ciemny. Czy mogłabyś wpaść do mnie, żeby go zobaczyć? Mieszkam tu obok.*

— *Dlaczego nie* — odpowiedziała z zalotnym uśmiechem — *mam akurat chwilę czasu.*

*Kiedy znaleźli się w jego mieszkaniu, zaatakowała ją zmysłowa czerwień, fiolet i czerń zarówno mebli jak i wiszących na ścianach półpornograficznych aktów, pod wpływem których poczuła się dziwnie podekscytowana.*

— *No gdzie jest ten stary obraz?* — spytała zniecierpliwiona.

— *Zaraz ci go pokażę* — zapewnił ją. — *Wisi nad łóżkiem za przepierzeniem. Ale usiądźmy, napijmy się czegoś.*

*Ujął ją pieszczotliwie za ramiona i posadził w fotelu. Poddała mu się jak zahipnotyzowana.*

— *Może miałabyś ochotę na drinka... dla ochłody?* — namawiał ją.

*Poczuła nieoczekiwanie dla samej siebie, że ma ochotę na coś mocniejszego, choć nie był to zbyt dobry pomysł na upały. W garsonierze było strasznie gorąco. Błękitna batystowa sukienka na ramiączkach przylepiała się jej do gołego pod nią ciała.*

— *To już nie długo ten wasz ślub* — rzekł Wiktor, podając jej drinka.

— *Tak* — westchnęła głęboko. — *Tyle jeszcze mam na głowie.*

— *Musisz być bardzo zmęczona przygotowaniami* — powiedział współczującym tonem. — *Odpuść u mnie trochę. Zrelaksuj się... Mam jeszcze... wspaniałe bakaliowe lody.*

*Wstał z fotela i podszedł do lodówki.*

*Ewelina spojrzała na jego imponujące barki i opięte dżinsami wąskie biodra. Poczuła podekscytowanie jak przed niezwykłą przygodą.*

*Stawiając przed nią talerzyk z lodami, młodzieniec dotknął jej ramienia i zsunął ramiączko sukni.*

— *Na takie upały powinnaś wkładać coś luźnego. Ta obcisła sukienka pięknie podkreśla twoją wspaniałą figurę, ale... pocisz się w niej.*

*Starł dłonią pot z jej rozpalonych piersi.*

— *Wiktor, uspokój się!* — krzyknęła, poprawiając ramiączko, zerwała się z fotela, przerażona ogarniającym ją podnieceniem. — *Gdzie jest ten obraz?*

— *Poczekaj, zrelaksuj się* — przemawiał do niej pieszczotliwie — *no usiądź.*

*Dziewczyna usiadła z powrotem. Nie zamierzała wychodzić. Podekscytowana czekała, co będzie dalej. Umierała z ciekawości, co też ten piękniś wymyśli. Zrozumiała, dlaczego pod pretekstem obrazu ściągnął ją do swej garsoniery. Pewna jednak była, że nie posunie się za daleko. Chociaż z drugiej strony pragnęła tego. Czowała, że tym razem przeżyje wreszcie orgazm. Nieraz marzyła o tym. Usiłowała sobie wyobrazić, jak to jest.*

— *Może byś wzięła prysznic, żeby się ochłodzić?* — namawiał ją. — *Dam ci swoją koszulę, a w tym czasie wysuszymy przeponą sukienkę.*

— *Co ci też przyszło do głowy?* — krzyknęła oburzona. — *Oszalałeś? Pokaż*

*ten obraz, bo nie mam już dłużej ochoty znosić tego gorąca w twojej mansardzie. Tu można się ugotować.*

*— Ależ uspokój się, baby — zachichotał. — Chyba nie myślisz, że zamierzam cię zgwałcić.*

*Sama mi się oddasz z rozkoszą — pomyślał, wyobrażając sobie, jak tłamsi tę subtelną, wykwinną blondyneczkę o twarzy madonny. Czuł ogromną radość i satysfakcję na myśl, że uwiedzie narzeczoną Szymona. Zobaczysz laleczko, jaki może być seks z prawdziwym mężczyzną.*

*Teraz dopiero włączył klimatyzację i zwrócił się do Eweliny:*

*— No chodź, pokażę ci już ten obraz, skoro się tak spieszysz do swego narzeczonego. — Objął ją znowu, tym razem ściskając jej piersi i podniósł ją z fotela. Nie opierała się, drżąc na całym ciele. Wziął ją na ręce i zaniósł za przepierzenie. Stało tam ogromne łóżko przykryte czerwoną narzutą. Położył ją na nim i jednym ruchem zerwał z niej sukienkę.*

*— Nie wyobrażasz sobie chyba, że będę z tobą spała! — krzyknęła, przykrywając się narzutą. Trzęsła się jak osika.*

*— Nie wyobrażam sobie, tylko jestem tego pewien — zamknął jej usta pocałunkiem, zwalając się na nią całym ciężarem swego potężnego ciała. Nie bronila się, gdy ją posiadł. Jednak pozostała niezaspokojona, gdy mężczyzna w krótkim czasie odsunął się od niej bez słowa. Poczula się upokorzona. Zaczęła płakać.*

*— Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś mnie tak potraktować? — Walila go pięściami po piersiach.*

*— Ty dziwko! — krzyknął — nie udawaj dziewicy orleańskiej. Zrobiłem ci tylko nieśmiałą propozycję w „Camelocie”, a ty od razu skwapliwie ją podjęłaś. Doskonale wiedziałaś, po co do mnie idziemy.*

*— Podarłeś moją sukienkę! — Zanosila się płaczem. — W czym ja pójdę do domu?*

*— Nie pójdziesz — odparł spokojnie — zostaniesz u mnie na noc, a jutro kupię ci nową... Przepraszam cię, no już dobrze, uspokój się — gładził ją po włosach — zobaczysz jak dobrze będzie nam w nocy.*

*Nagle wpił się w jej usta i ponownie odbył z nią stosunek. Tym razem przeżyła to, o czym wiecznie marzyła.*

*Boże, jakie to cudowne — pomyślała w ekstazie — jak mogłam żyć bez tego.*

*— Jesteś wspaniały — zasypywała go pocałunkami — jedyny, najdroższy.*

*— No widzisz i dlaczego płakałaś — powiedział chępliwie. — To nie to samo, co z Szymonem, no nie? A to jeszcze nic. To tylko przygrywka. Prawdziwą grę mamy przed sobą. Mamy przed sobą całą noc. Będziesz mdląła z rozkoszy. Ale najpierw musimy się posilić. Zrobię jajecznicę na szynce.*

*Dziewczyna usiadła na łóżku i spojrzała na wiszący nad nim obraz. Była*

*to reprodukcja centralnego panelu „Ogrodu ziemskich rozkoszy” Hieronima Boscha.*

— *Wiktor!* — *krzyknęła ostrym tonem.* — *Ale mnie oszukałeś! A poza tym mam pytanie: Dlaczego powiesiłeś nad łóżkiem obraz przedstawiający upadek ludzkości?*

— *Bo jest to apoteoza seksu* — *rzekł z fascynacją.* — *Te kłębiące się grupy kochanków, te fantastyczne stworzenia, gigantyczne ptaki... Wszystko to przemawia do mojej wyobraźni. Poziomki, morwy, czereśnie, grona winogron zapełniają obraz. Owoc może też być ogromny, niektórzy chcą go zjeść, inni chronią się w jego wnętrzu. Wspaniałe są te wizje seksualnych przyjemności, które powtarzają ciągle na nowo moment, w którym Adam i Ewa kosztują zakazanego owocu... Wiesz, seks ma smak czerwonego owocu, fioletowych winogron, tak jak na tym obrazie. Poczujesz to dziś w nocy...*

Aneta skończyła czytanie.

— I co o tym sądzisz?

— Super. Masz ogromny talent. Tak to świetnie opisałaś, że zrobiło mi się gorąco, jak słuchałam. Widzę, że zmieniłaś zdanie na temat seksu.

— No, niezupełnie. Ewelina zapłaci wysoką cenę za to seksualne opętanie.

— To ciekawe... — Lena przerwała nagle, gdyż zauważyła w tej chwili, że siedzący przy stoliku obok mężczyzna wpatruje się w Anetę. — Ten mężczyzna pożera cię wzrokiem — zwróciła się do przyjaciółki.

— Jaki mężczyzna? — Wzruszyła ramionami jej przyjaciółka.

— Ten szatyn w średnim wieku. Siedzi obok nas. Uśmiechnij się do niego. Jest bardzo przystojny.

— Mów ciszej, bo on może usłyszeć... No wiesz, nie zamierzam dać się poderwać — rzekła Aneta stłumionym głosem, przyglądając się uważnie szatynowi. — I tak nic z tego nie wyjdzie, jak facet zobaczy, że jestem kulawa.

— Przestań. Nie jesteś kulawa, tylko lekko utykasz. Czas najwyższy, byś kogoś poznała.

— Zwariowałaś? — Cha, cha, cha — Zaniósła się nieszczerym śmiechem, ponieważ mężczyzna bardzo się jej spodobał. — Kto by mnie zechciał?

Po jakimś czasie nieznajomy podszedł do nich.

— Najmocniej przepraszam, ale czytała pani tak głośno, że słyszałem każde słowo. To było szalenie ciekawe. Czy pani jest aktorką? — zwrócił się do Anety.

— Nie, jestem pisarką — rzekła wyniośle, patrząc mu w oczy. — To był fragment mojej powieści.

— Widzę, że jeszcze jej pani nie skończyła, skoro wydrukowała pani ten fragment.



— No, nie. Ale jestem na finiszu.

— Proszę się do nas dosiąść — zachęciła go Lena.

Aneta zgromiła ją wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

— Z największą przyjemnością.

Mężczyzna przeniósł swoją kawę do ich stolika i usiadł naprzeciw Anety, uśmiechając się do niej szeroko i ukazując swoje wspaniałe uzębienie.

— Pozwolą panie, że się przedstawię. Nazywam się Damian Chalewa. Może mógłbym zamówić dla nas po kieliszeczku koniaczku?

— Nic nie stoi na przeszkodzie — powiedziała Lena, nie zważając na kopniaka pod stołem milczącej Anety.

Nieznamy był wysoki i szczupły. Kinomance Lenie skojarzył się natychmiast z Bradem Pittem. Miał, podobnie jak ów aktor, niebieskie, przymrużone oczy, taki sam wąsik i bródkę. Ubrany był w czarny golf i oliwkowe dżinsy.

— To wspaniały zbieg okoliczności, że poznałem panie, zwłaszcza panią autorkę, bo... — przerwał i spojrzał po raz pierwszy na Lenę, ponieważ Aneta nie wykazywała chęci do dalszej konwersacji. — Nie wiem, jak się do pań zwracać?

— Koleżanka ma na imię Aneta, a ja Lena. Proponuję, byśmy mówili sobie po imieniu — rzekła, nie przejmując się kolejnym kopniakiem. Ponieważ facet nie miał obrączki, jej bogata wyobraźnia podsunęła jej myśl, że zakocha się on w Anecie i z nią ożeni, więc chciała w ten sposób przełamać lody między nim a przyjaciółką.

— Mogę zwracać się do pani: Aneto? Naprawdę? Zgadza się pani? Miałbym dla pani, jako do pisarki, pewną propozycję.

— Jako do pisarki? — Ożywiła się nagle autorka i zaśmiała się krótkim, urywanym chichotem, gdyż pomyślała, że mężczyzna pracuje w jakimś wydawnictwie. Uśmiechnęła się do niego uroczo. — Dobrze. Mówmy sobie po imieniu.

— Świetnie, bo przekonany jestem, że nasza znajomość się przedłuży. Przystąpię od razu do rzeczy. Ukończyłem polonistykę i amerykańską. Przez pewien czas pracowałem w dużym wydawnictwie jako lektor. Znużyło mnie czytanie różnych wypocin i przekazywanie niektórych nieco lepszych pozycji do wewnętrznej opinii. Zapragnąłem założyć własne wydawnictwo, ale nie miałem na to funduszy. Wyjechałem do Stanów, gdzie przez parę lat pracowałem. Udało mi się odłożyć odpowiednią sumkę. Właśnie jestem w trakcie organizowania własnej oficyny wydawniczej. Przetłumaczyłem z angielskiego pewien amerykański bestseller, zdobyłem już zgodę autora. Jednak chciałbym też wydawać polskie powieści. Zainteresował mnie, przeczytany przez ciebie, Aneto, fragment. Masz talent do pisania takich kobiecych powieści, które najlepiej się sprzedają. Krótko mówiąc. Kończ książkę, a ja ci ją wydaję.

— Co za wspaniały przypadek! — Aneta roześmiała się radośnie.

On się już w niej zakochał — ucieszyła się Lena. Z tej mąki będzie chleb. Należy się jej to szczęście po tym, co wycierpiała.

W tym momencie kelnerka przyniosła zamówiony uprzednio koniak.

— Za naszą współpracę — wzniosł toast Damian.

— Za naszą współpracę — powtórzyła uszczęśliwiona Aneta.

— Za waszą obiecującą znajomość — dodała rozpromieniona Lena.

Popijając koniak Aneta uśmiechała się zachęcająco do Damiana. Jak bańka mydlana przysła jej początkowa niechęć do niego. Nie tylko z powodu nadziei na wydanie książki, lecz również dlatego, że mężczyzna coraz bardziej się jej podobał. Rozmawiali o powieści, lecz ich oczy zdradzały wzajemne oczarowanie.

Co za wspaniała kobieta. Powalająca na kolana uroda — rozpływał się w zachwycie Damian. — Te głębokie, fiołkowe oczy, te nęcące usta, ten zniewalający uśmiech, ten perlisty śmiech... Po prostu sam czar. Na pozór śpiąca królowa, a w istocie aż kipi temperamentem.

Nadzwyczaj przystojny facet, niczym aktor filmowy — myślała Aneta. — Samo patrzenie na niego sprawia przyjemność. To ekscytujące spojrzenie. Ten intrygujący, zagadkowy wyraz twarzy. Ten przyjemny tembr głosu.

— Prosiłbym cię o streszczenie powieści — zwrócił się do niej, odwzajemniając jej uwodzicielski uśmiech.

— Okay. Ale to jest skomplikowana, długa historia. Absolutnie. Ma ponad trzysta stron.

— Świetnie. Dobra powieść musi mieć co najmniej czterysta tysięcy znaków. Tylko takie grube książki dobrze się sprzedają.

Aneta zamyśliła się, patrząc mu w oczy.

— Muszę się chwilę zastanowić, jakby ją tu krótko streścić.

— Może być obszernie.

— O tak. Jak najbardziej — poparła go Lena. — Ja też chętnie posłucham. Opowiadaj ze szczegółami.

— No więc... Jest to powieść o romantycznej miłości i przeszkodach na drodze do jej spełnienia, barwnie opisana na współczesnym tle obyczajowym — zaczęła powoli mówić autorka. — Główna bohaterka Dorota jest zjawiskowo piękną kobietą...

— Pewnie podobną do pani — przerwał jej Damian.

— Ależ skąd. Ani z wyglądu, ani z charakteru. Podobna jest raczej do Leny. To czarująca brunetka, uwikłana w liczne erotyczne przygody. Mimo to wciąż marzy o Szymonie — swej młodzieńczej miłości — z którym los ją rozłączył... — łyknęła nieco koniaku. — Poznali się przed dwudziestu laty na balu, na który zaprosił Dorotę aktualny kochanek Wiktor, przyjaciel Szymona. Było to w przeddzień jej powrotu do Niemiec, do wychowującej ją samotnie chorej

matki, która po internowaniu w koszmarnym więzieniu i zmuszaniu do współpracy z bezpieką, a także pod wpływem gehenny na emigracji w Niemczech całe lata przeżywała ciężką psychozę. Opuszczona dziewczyna wpadła w narkomanię, z której na szczęście wyszła. Wróciła do Polski, gdzie prowadziła burzliwe życie i wtedy właśnie poznała Szymona, jednak musiała nazajutrz wrócić do chorej matki. Młodzi nie zdołali podać sobie ani adresów, ani numerów telefonów, ponieważ zazdrosny Wiktor wyrwał brutalnie kochankę z ramion Szymona podczas tańca, siłą uprowadził do domu i więził aż do czasu odlotu jej samolotu, do którego ją odwiózł, uniemożliwiając kontakt z Szymonem. Gdy po śmierci matki Dorota wróciła do Polski, Wiktor okłamał ją, że Szymon wyemigrował do Stanów i ślad po nim zaginął.

— I to ma być ze szczegółami? — przerwała jej Lena.

— Gdybym zagłębiła się w szczegóły, musielibyśmy tu siedzieć do rana. Muszę się streszczać. Nie przerywaj mi, bo tracę wątek — Aneta znów zastanowiła się przez moment, po czym ciągnęła dalej, raz po raz przerywając, by znaleźć odpowiednie słowa. — A więc, jak już powiedziałam, po śmierci matki Dorota wraca do Polski i usiłuje zapomnieć o Szymonie, rzucając się w wir erotycznych afer. Jako czterdziestoletnia kobieta pragnie wreszcie przynajmniej urodzić dziecko, skoro nie udaje się jej założenie szczęśliwej rodziny, co stanowi jej największe pragnienie. Dopina swego w pokrętny sposób wobec dużo młodszego od niej mężczyzny... Muszę wam opowiedzieć, jak to było, bo to ciekawe. Otóż... — przerwała i zamyśliła się. — No, nie mogę teraz rozwdzić się nad jej psychicznym załamaniem, bo to by trwało za długo. Dość, że wylądowała w szpitalu psychiatrycznym, gdzie zakochał się w niej pewien młody lekarz... To też ciekawa postać — zaśmiała się spontanicznie. — Mniejsza z tym. Więc, w jaki sposób zaszła w ciążę? Wyliczyła dokładnie, żeby to było w połowie cyklu. I wówczas zatrzymała Kamila na noc. Gdy usnął, cichutko wstała, wzięła ze sobą ręcznik, w który się powycierał i wyszła z nim do łazienki. Zgarnęła palcem z ręcznika plemniki i włożyła je sobie głęboko do pochwy. Postanowiła powtarzać ten proceder tak długo aż się uda. Ale nie musiała. Minęły dwa miesiące, a menstruacja się nie pojawiała. Wtedy poszła do ginekologa, żeby się upewnić. Udało się! Była w ciąży... — Aneta przerwała i łyknęła nieco koniaku. — Ciekawy jest też dalszy przebieg tego romansu i jego zakończenie. Ale tego dowiedziecie się po przeczytaniu książki, która — mam nadzieję — zostanie wydana. — Uśmiechnęła się uroczo do Damiana. — Jednak dziecko umiera — kontynuowała. — Po czym kobieta wpada w manię religijną ku rozpacz swej przyjaciółki Hanki, która wykazuje zrozumienie wobec erotycznych przygód Doroty, ale nie jest w stanie znieść jej przemiany z atrakcyjnej kobiety w dewotkę, która obcina piękne, długie włosy, przestaje się malować, jeździ na pielgrzymki i nieustannie odmawia różaniec. Ale... Na szczęście dochodzi do jej opamiętania się. W jaki sposób

trudno mi to tak opowiedzieć. Najlepiej przeczytam wam ten fragment.

Aneta zaczęła przewracać wydrukowane kartki. — Mam! — krzyknęła i zaczęła czytać.

*Jednak po powrocie z pielgrzymki do Medjugorie Małgorzata trwała w uporze. Przestała się z nią spotykać. Dorota postanowiła odczekać. Zaniepokoiła się dopiero, gdy zagniewana kobieta przestała przychodzić do kościoła. Usiłowała się do niej dodzwonić, lecz jej komórka wiecznie była wyłączona. Pojechała zatem na Wolę Justowską, gdzie kobieta mieszkała wraz z mężem we wspaniałej willi. Jakież było jej zdziwienie, gdy mężczyzna powiedział, że żona go opuściła.*

— Wszystko zaczęło się po jej powrocie z tej nieszczęsnej pielgrzymki — opowiadał zrozpaczony. — Zachowywała się tak dziwnie, że zacząłem ją namawiać, by poszła do psychiatry. Wówczas wpadła w furję i zaczęła krzyczeć, że jestem diabłem, że nasze małżeństwo jest grzeszne, ponieważ nie mam rozwodu kościelnego z byłą żoną. I proszę sobie wyobrazić — głos mu załamał się — wyprowadziła się z domu. Wynajęła mieszkanie w śródmieściu i założyła w nim jakąś grupę modlitewną związaną z objawieniami w Medziugorje.

*Mężczyzna rozplakał się nagle jak dziecko.*

— Wiem, że ona panią bardzo lubi — mówił przez łzy. — Dam pani jej adres. Może pani przemówi jej do rozsądku, bo ja już próbowałem wszystkiego, by ściągnąć ją z powrotem do domu.

*Dorota udała się do przyjaciółki w tym samym jeszcze dniu. Przeraziła się na jej widok. Z atrakcyjnej brunetki Małgosia zamieniła się w posiwiałą, przygarbioną kobietę z pomarszczoną twarzą.*

*W naszym wieku jednak koniecznie trzeba się malować — pomyślała.*

*Przyjaciółka przywitała ją serdecznie.*

— Ściągnęłam cię myślami — rzekła, obejmując i całując w oba policzki. — Właśnie chciałam zaprosić cię na nasze spotkanie. Przemek dał ci mój adres?

— Tak, kochanie. Małgosiu, co się z tobą dzieje — spytała z lekkim wyrzutem. — Dlaczego go opuściłaś?

— Nie mogłam dłużej żyć w grzechu! — powiedziała wzburzona. — On nie ma najmniejszej szansy na uzyskanie rozwodu kościelnego... Siadaj, napijemy się herbaty. Zaraz ci wszystko opowiem.

*Wyszła do kuchni, a Dorota rozejrzała się po pokoju. Panował w nim brud i nieład, a ściany były obwieszane kiczowatymi obrazami Matki Boskiej.*

*Małgorzata wróciła z herbatą i keksami, usiadła naprzeciw niej i zaczęła swą opowieść.*

— Nie wyobrażasz sobie, Dorotko — zaczęła z wypiekami na twarzy — co ja przeżyłam w Medziugorje. Krótko mówiąc — piekielne męki. Dopadł mnie szatan, który nie chciał dopuścić, bym doznała objawienia Matki Bożej. Przekonana jestem, że byłam bliska tego, by ją ujrzeć. Ale on opętał mnie całkowicie. Nie

*spalałam po nocach, siódme poty na mnie biły, trzęsłam się jak w febrze. Nieustannie prześladował mnie płacz dwóch nienarodzonych maleństw, które zabiłam w swoim łonie jeszcze przed ślubem z Przemkiem. Oczywiście wypowiadałam się w Medziugorje z całego życia i co dzień przystępowałam do komunii, ale to nic nie dało. Jak wróciłam do domu było coraz to gorzej. Rozmawiałam z księżmi i prosiłam o egzorcyzmy, ale oni tłumaczyli mi, że jestem chora i że powinnam pójść do psychiatry. Tacy to są ci nasi księża! Przestałam chodzić do Dominikanów. Jeżdżę teraz co dzień na Mszę świętą do Redemptorystów. Tam wprawdzie też nie mają egzorcysty, ale nie jest mi już potrzebny, bo dzięki nim zrozumiałam, co muszę zrobić. Postanowiłam zastosować się ściśle do nauki Kościoła, a pierwszym krokiem musiało być skończenie z tym grzesznym małżeństwem. Nasze dzieci już z nami nie mieszkają, więc po co miałam zostawać w tym skażonym domu?*

*— Małgosiu, opamiętaj się! — krzyknęła zbulwersowana Dorota. — Ty musisz pójść do psychiatry. To wymaga leczenia.*

*— No wiesz! — oburzyła się jej koleżanka. — Po tobie się tego nie spodziewałam!*

*— Kochanie, porozmawiajmy spokojnie. Może ty po prostu nie kochasz Przemka. Ale...*

*— Jezusa kocham bardziej — przerwała jej wyniośle.*

*— A te objawy... To znaczy — poprawiła się Dorota na widok jej miny — nie dręczy cię już więcej szatan?*

*— Oczywiście, że nie — wzruszyła ramionami dewotka. — Nie ma już do mnie dostępu. Teraz istnieje dla mnie wyłącznie praca i modlitwa. „Módl się i pracuj” — oto moja dewiza. Nie mam już nic wspólnego z tą diabelską rzeczywistością, nie czytam gazet, nie mam nawet telewizora ani laptopa. Dwa razy w tygodniu odbywają się w moim mieszkaniu spotkania modlitewne, które trwają parę godzin... Wyobraź sobie, że odkryłam w sobie dar uzdrawiania. Wyleczyłam już parę kobiet, kładąc ręce na ich głowach. Koniecznie przyjdź do nas na spotkanie.*

*Dorota poczuła się bezradna. W milczeniu słuchała nawiedzonej, opowiadającej o swym obecnym świętobliwym życiu.*

*Gdy wróciła do domu ogarnęło ją przerażenie, że jeśli będzie w dalszym ciągu przesadnie religijna, to może ją spotkać taki obłęd jak Małgorzatę...*

Aneta skończyła czytać. — No, więc w końcu Dorota opamiętała się — Cha, cha, cha — wybuchła z trudem tłumionym śmiechem, chociaż w tym, co mówiła, nie było nic śmiesznego. — Streszczenie tej długiej historii jest strasznie trudne. Absolutnie... — przerwała i zamyśliła się przez moment. — Teraz muszę

coś powiedzieć o wymarzonej przez Dorotę Szymonie — podjęła po chwili. — A więc on, też nie może jej zapomnieć. Niestety Wiktor okłamuje go, że nie zna jej niemieckiego adresu. Nie zdradza mu, że ona wróciła do Polski. W odróżnieniu od wysnionej Doroty, Szymon pochodzi z arystokratycznej rodziny. Jest architektem przyzwyczajonym do urzeczywistniania swoich wizji i marzeń. Tkwi w nim niezachwiana wiara wyniesiona z dzieciństwa, w którym rodzice zaspokajali wszystkie jego pragnienia, a także z późniejszych doświadczeń, że jeśli nieustannie się o czymś marzy, to musi się to spełnić. Fakt, że mimo upływu czasu żadna inna kobieta nie zajęła w jego wyobraźni miejsca Doroty, ugruntował go w przekonaniu, że ją w końcu odnajdzie, chociaż trzeźwo myśląc, zdaje sobie sprawę, że jest to nierealistyczne. Maluje jej portret i nieustannie o niej marzy. Jednak mimo swej fantasmagorii o Dorocie dwukrotnie zawiera związek małżeński — zamyśliła się przez chwilę. — A teraz muszę wam opowiedzieć coś niecoś o Wiktorze. Ten piękny, tajemniczy playboy, jako plebejusz z pochodzenia, o władnięty jest zawiścią wobec arystokratycznego kolegi, któremu odbija pierwszą żonę Ewelinę. Jednak nie tylko on i Dorota są „opętani seksem”, lecz również panienska z dobrego domu, pierwsza żona Szymona, której przyjdzie zapłacić za to gorzki haracz. Wychodzi wprawdzie za męża Szymona, lecz po pewnym czasie rozwodzi się z nim i przenosi się do Wiktora, który okazuje się agentem obcego wywiadu. Sfinguje wypadek samochodowy, pozorujący śmierć obojga. Zostają przerzuceni do Londynu, gdzie przyjmują inną tożsamość i wygląd. Zmanipulowana Ewelina przeżywa rozpacz z powodu rozstania się na zawsze z ojczyzną, rodziną, krewnymi i znajomymi... Przeczytałam ci, Leno fragment, w którym Wiktor ją uwodzi... — Aneta znów przerwała, dopiła swój koniak i westchnęła ciężko. — Nie, nie potrafię streścić tej powieści. Absolutnie.

Damian słuchał jej z uwagą, wpatrzony w nią jak w obraz.

— To powiedz przynajmniej, czy uda się w końcu połączyć marzącej o sobie przez dwadzieścia lat parze? — spytał, gdy skończyła.

— Tak.

— To świetnie. Taka książka musi mieć happy end.

— Właśnie pracuję nad jej zakończeniem — rzekła Aneta. — Przedtem jednak następują niesamowite perypetie. Wciąż dochodzi do sytuacji, w których wydaje się, że już za chwilę Dorota i Szymon się spotkają, jednak los wiecznie rzuca im kłody pod nogi, nie dopuszczając do ich połączenia, chociaż oboje mieszkają w Krakowie i często dosłownie mijają się na ulicach miasta. Ostatecznie jednak cudem udaje się im siebie odnaleźć. Przeżywają ponowne oczarowanie. Szymon postanawia rozwieść się ze swoją drugą żoną, która staje na głowie, by do tego nie dopuścić. Wreszcie namawia kochanka, prowadzącego ją oficera bezpieczeństwa, by uszkodził hamulec w stojącym przed domem samochodzie Doroty. Dochodzi do wypadku i właśnie doszłam do momentu jej pobytu w szpitalu... Ta druga żona

Szymona to niezły numerek! — Cha, cha, cha — znów wybuchła głośnym śmiechem.

Lena ucieszyła się, że Aneta znowu jest sobą.

— Muszę wam jeszcze o niej opowiedzieć — ciągnęła autorka. — Otóż, Monika ukończyła już wprawdzie czterdzieści pięć lat i z nie jednego pieca chleb jadła, ale jej twarz tak nafaszerowana była Botoksem, że wyglądała na trzydzieści pięć. Pochodziła z nizin społecznych, ojciec jej był alkoholikiem. Już we wczesnej młodości postanowiła wyrwać się ze swego środowiska. Po zdaniu matury pracowała w biurze i rozglądała się za mężem, który umożliwiłby jej ukończenie studiów. Rychło wyszła za mąż za poznanego w kawiarni skromnego inżyniera, ukończyła prawo, następnie aplikację sędziowską, po czym adwokacką. W krótkim czasie założyła własną kancelarię. Była inteligentna, pracowita i wyjątkowo ambitna, a przy tym odznaczała się wygórowanym mniemaniem o swojej wartości. Już na studiach zwerbowano ją do współpracy z bezpieką. Dawało jej to poczucie mocy, sposobność podstępnego manipulowania tymi, na których donosiła i wpływania na ich losy. Nieciekawy mąż zupełnie nie liczył się dla niej, zdradzał go bez najmniejszych skrupułów. A ponieważ miała niesamowity temperament, jej miłostki często kończyły się aborcją. Czterokrotnie już usunęła ciążę i w dalszym ciągu nie myślała o antykoncepcji, gdyż uwielbiała seks spontaniczny, niczym nieograniczony. Koleżanka doradzała jej spirale lub tabletki antykoncepcyjne, lecz ona nie widziała w aborcji ani nic złego, ani nic szkodliwego dla zdrowia. Wciąż zdawało się jej, że jest już wreszcie bezpłodna, gdyż lekarze twierdzili, że częste usuwanie ciąży może do tego doprowadzić.

Gdy tylko pewnie stanęła na własne nogi, bez skrupułów rozwiodła się z nieatrakcyjnym mężem. W swojej kancelarii zatrudniła młodego początkującego prawnika, który równocześnie był jej kochankiem i zaczęła szukać bogatego, reprezentacyjnego mężczyzny na męża, który zapewniłby jej odpowiedni status. Zorientowała się w lot, że Szymon świetnie nadaje się do tego celu i zarzuciła na niego sieć. Więc kiedy Szymon zażądał rozwodu, wpadła w panikę. Stawała na głowie, by go zatrzymać. Gdy nie pomogły perwersyjne sztuczki seksualne, upozorowana ciąża i poronienie, postanowiła pozbyć się rywalki — przerwała i dopiła swoją kawę. — Nie, tego wszystkiego nie da się opowiedzieć. Nie mam już więcej siły.

— To będzie świetna powieść — stwierdził Damian z przekonaniem. — Wydamy ją i sporo na niej zarobimy, bo takie historie świetnie się sprzedają. Prosiłbym cię, żebyś mi jeszcze dzisiaj przesłała Internetem plik manuskryptu, bo chciałbym się jak najszybciej z tobą spotkać — spojrzał wymownie w oczy Anecie i uśmiechnął się zniewalająco, milcząc przez chwilę. — Chciałbym przekazać ci swoje uwagi — skończył, przybierając z ostrożności poważną minę. — A teraz zamówmy jeszcze po kieliszeczku koniaku, dobrze?

Czas najwyższy zostawić ich samych — pomyślała Lena.

Wstała z miejsca. — Muszę się z wami pożegnać, bo mam jeszcze coś w Krakowie do załatwienia. Bawcie się dobrze.



## Rozdział 25

Lena umierała z ciekawości, jak potoczyła się znajomość Anety z Damianem. Niecierpliwie czekała na jej telefon. Sama nie miała śmiałości zadzwonić, bo obawiała się, że nadzieja na szczęśliwy rozwój tej znajomości okaże się płonna. Jej przyjaciółka była tak bardzo zakompleksiona z powodu ułomności i tak wrogo nastawiona do mężczyzn, że mogła zniweczyć tę życiową szansę. Poza tym mogło się okazać, że jej powieść jest słaba i nie nadaje się do publikacji. Rozmyślała o tym z niepokojem. Bardzo jej zależało, by Aneta była szczęśliwa. Obawiała się, że kolejne rozczarowanie załamać ją zupełnie.

Po miesiącu postanowiła w końcu zadzwonić do przyjaciółki. Wciąż jednak się wahała. Gdyby było dobrze, dałaby mi znać. Pewnie nic z tego nie wyszło — myślała zmartwiona. Kilkakrotnie naciskała dwójkę w komórce, lecz w ostatniej chwili rezygnowała. Nie wiedziała, jak miałyby pocieszyć załamaną przyjaciółkę.

Dopiero po trzech miesiącach doczekała się upragnionego telefonu.

— Nie jesteś ciekawa, czy została wydana moja powieść? — spytała Aneta pogodnym tonem.

— Jestem. Jak najbardziej.

— To dlaczego nie dzwonisz?

— No... Czekałam, aż ty się odezwiesz.

— Nie wierzyłaś we mnie, co?

— Jak możesz tak mówić? Wierzę w ciebie. Wiem, że powieść jest doskonała, ale...

— Przyjedź — przerwała jej Aneta. — Dam ci książkę z autografem. Właśnie dostałam autorskie egzemplarze — rzekła triumfalnie i zaśmiała się swoim charakterystycznym chichotem.

— To cudownie.

— Musisz przyjechać w niedzielę, od razu do mnie, do Huty. Zaprosiłam na niedzielę Damiana. Ugotuję z tej okazji dla was wspaniały obiad. W końcu dzięki tobie poznaliśmy się, bo ja chciałam go od razu spławić. Umówiłam się z nim na trzecią, ale ty przyjedź trochę wcześniej. Nakryjesz do stołu, tak ładnie, jak to potrafisz.

— Wspaniale. Cieszę się. A on? Jaki jest?

— W porządku. Doskonale się rozumiemy, bo on też, podobnie jak ja, biedny kaleka. W Stanach miał wypadek drogowy, w którym jego prawa noga została zmiażdżona, ale ma doskonałą protezę. Przebył tak świetną rehabilitację, że potrafi normalnie chodzić, bez utykania i w ogóle bez problemów.

— To znaczy, że... zaprzyjaźniliście się?

— Absolutnie!

— I przeszło ci już to obrzydzenia do seksu?

— Po obiedzie, jak on sobie pójdzie, porozmawiamy. Wszystko ci opowiem. Ale mów, co u ciebie. Masz kogoś?

— Nie. Ja już nie chcę. Tak mi dobrze. Nie mam szczęścia w miłości. Taki mój los.

— Co ty opowiadasz. Trafiałaś na nieodpowiednich facetów. Ale w końcu natrafisz na swojego. Ja też myślałam, że już do końca życia zostanę sama. A jednak...

— No strasznie się cieszę, że przynajmniej tobie się wreszcie udało poznać kogoś odpowiedniego.

— Nic jeszcze nie jest przesądzone. Wiesz, jak to w życiu bywa... Porozmawiamy, jak przyjedziesz.

Skromne mieszkanie Anety lśniło czystością. Stół był już wspaniale przez Lenę nakryty. Pieczeń wołowa w sosie pieczarkowym w piekarniku. Kluski śląskie i uszka do barszczu przygotowane do ugotowania. Barszcz na gazie, gotowy do podgrzania. Sernik wiedeński w lodówce. Sałata składająca się z przeróżnych warzyw, polana sosem winegret stała na stole. Obie przyjaciółki miały na sobie eleganckie długie suknie. Aneta szmaragdową, a Lena karminową. Niecierpliwie czekały na gościa. Zjawił się dziesięć po trzeciej, z bukietem czerwonych róż i butelką wina. Wspaniale wyglądał w garniturze śliwkowego koloru, błękitnej koszuli i krawacie w kolorze wrzosowym. Mimo zgolonych wąsów i brody, w oczach Leny uderzająco podobny był do Pitta Brada. Miał taki sam jak ten aktor kolor oczu. Uśmiechając się od ucha do ucha, wręczył Anecie kwiaty i wino, ucałował ją w oba policzki, przywitał się z Leną i wszedł do salonu, do którego zaglądało przez muślinowe firanki na powitanie gościa słońce. Zajaśniał pokój, promieniały radością twarze nieco zakłopotanych trzech osób.

— Dziękuję, kochanie. Skąd wiedziałeś, że tak bardzo lubię róże? Wstawię kwiaty do wody, a ty w tym czasie otwórz butelkę szampana stojącego na stoliku pod oknem. Wino postaw na stole. To Chianti będzie doskonale pasowało do pieczeni wołowej, którą przygotowałam. Wypijemy je do obiadu — zwróciła się gospodyni do miłego gościa.

Gdy wróciła z kuchni, wzniesli toast przyniesionym przez Lenę francuskim szampanem za literacką karierę Anety. Popijali go na stojąco.

— Ładnie tu u ciebie — rzekł Damian. — Te białe, lekkie mebelki świetnie harmonizują z niebieskimi ścianami i błękitnym dywanem, no i z twoimi cudownymi oczami. Ta wspaniała palma stwarza przyjemny nastrój.

— No, nie jest tu tak elegancko, jak u ciebie, ale przytulnie — rzekła Aneta. — Cieszę się, że ci się u mnie podoba. Łatwo do mnie trafiłeś?

— Bezproblemowo. Znam trochę Hutę. Mieszka tu pewien mój znajomy.

— Siadajcie do stołu. Ja was na chwilę przeproszę, wrzucę tylko do wody na dziesięć minut uszka i kluski — rzekła Aneta, wychodząc do kuchni po upiciu szampana. — Zaraz wracam.

— Widziałaś już książkę? — spytał Damian Lenę, gdy usiedli.

— Oczywiście. Dostałam ją od autorki wraz z jej autografem i serdeczną dedykacją.

— I jak ci się podoba.

— Jak najbardziej. Świetna okładka. No i w ogóle... Pięknie wydana. Nie mogę się już doczekać jej przeczytania — patrzyła na niego jak urzeczona, tak bardzo się jej podobał.

Pasują do siebie, będzie z nich piękna para — pomyślała.

Aneta wróciła z wazą napelnioną barszczem i zaczęła nakładać uszka na talerze.

— Strasznie lubię barszcz z uszkami. Miałaś z tym obiadem wiele pracy — zwrócił się do Anety Damian. — Siadaj i mów, jak się czujesz, wspaniała autorko, oglądając pierwsze egzemplarze swojej książki.

— To jest... Nie do opisanía. Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem szczęśliwa. Czuję się, jakbym złapała Pana Boga za nogi. Absolutnie — zaśmiała się radośnie.

W czasie jedzenia rozmawiali o książce i zachwalali kulinarny talent gospodyni. Raz po raz rozlegał się perlisty śmiech Anety, a oni jej wtórowali. Po zjedzeniu deseru i wypiciu kawy, opróżnili butelkę szampana. Damian zaczął opowiadać świetne literackie dowcipy, po których wybuchali tak donośnym śmiechem, że w balkonowym oknie drżały szyby. Po jakimś czasie wstał i rzekł:

— Ja już sobie pójdę. Nie widziałyście się tak długo, że pewnie macie wiele tajemnic do zwierzenia, niekoniecznie odpowiednich dla męskich uszu. Dziękuję za wspaniały obiad i fantastyczną atmosferę. Nie zatrzymywały go, więc pożegnał się i wyszedł.

— Ależ on jest piękny. Istny Pitt Brad. Zauważyłaś, jak bardzo jest do niego podobny? — spytała Lena.

— Dla ciebie każdy przystojny mężczyzna jest podobny do jakiegoś filmowego aktora. Ja nie widzę żadnego podobieństwa.

— Ale podoba ci się?

— Absolutnie. I w ogóle jest... wyjątkowy.

— To chyba jesteś szczęśliwa?

— Jestem. Ale... — przerwała i zamyśliła się.

— Nie powiesz mi, że wciąż masz kompleks z powodu lekkiego utykania.

— Przecież mówiłam ci, że on też jest kaleką. Jak zauważył, że kuleję, zdradził mi, że ma protezę i opowiedział o swoim wypadku. Tak, że... Z tym nie mamy problemu.

— To, o co chodzi? Wciąż masz obrzydzenie do seksu?

— Nie. On potrafił mnie uwolnić od tego uczucia. Domyślił się, że ze mną jest coś nie tak i był delikatny, cierpliwy.

— Opowiedz, jak to było, proszę.

— Z początku spotykaliśmy się w jego wydawnictwie i pracowaliśmy nad książką. On mi bardzo pomógł. To moja pierwsza powieść, więc miała wiele błędów i niedociągnięć. Podczas tych spotkań stopniowo zaczął mnie uwodzić, co sprawiało mi przyjemność. Coraz częściej myślałam, jak by to było z nim w łóżku. A kiedy zaprosił mnie do siebie na słuchanie jego ulubionych płyt przy winie... Kiedy zaczął mnie całować... Tego się nie da tak po prostu opowiedzieć. Zrozumiałam, że z nim to nie byłby seks, tylko... wielkie szczęście... Wiele opowiadaliśmy o sobie. Chodziliśmy do teatru, do kina, na koncerty... no i w końcu zrozumiałam, że kocham go, jak nikogo dotąd. Tak jakby to była moja pierwsza miłość. Z nim to nie jest seks. To jest... Wzlot do gwiazd. Cały kosmos w duszy — opowiadała drżącym ze wzruszenia głosem.

Lenie cisnęły się łzy do oczu, a po plecach przeszedł dreszcz. Zrobiło się jej żal, że to nie ona przeżyła owo uniesienie, które poruszyło jej serce, gdy słuchała Anety. Nie śmiała spytać jej, kiedy przespaa się z Damianem. Nie musiała. Jej romantyczna wyobraźnia podsunęła jej cudowne obrazy tego, co przeżywała Aneta. Milczała, powstrzymując w gardle łkanie, które rozrywało jej serce skowyczące z niespełnienia.

Wyjęła z torebki chusteczkę i powycierała łzy.

— To dlaczego powiedziałaś: ale. Jakie „ale”? — spytała stłumionym głosem.

— On jest żonaty. Nie żyje z żoną, jednak ma wobec niej zobowiązanie, które utrudnia mu podjęcie decyzji o rozwodzie. Poznał ją w Nowym Yorku, gdzie pracowała w tej samej korporacji, co on. Wiodło się jej doskonale, ale wróciła z nim do ojczyzny. Tylko z jego powodu, bo wołała tam zostać. W Stanach ich małżeństwo było harmonijne, natomiast w Polsce zamieniło się w istne piekło, głównie chyba z tego powodu, że ona nie mogła znaleźć zatrudnienia. Po dwu latach tego koszmaru on wyprowadził się, jednak teraz ona chciałaby do niego wrócić i nie chce słyszeć o rozwodzie.

— Myślę, że skoro wasza miłość jest tak... prawdziwa, to on w końcu rozwiedzie się — zapewniła ją Lena. — Jestem tego pewna.

— Ja też mam taką nadzieję — westchnęła ciężko Aneta. — Absolutnie — dodała niezbyt pewnie, smutnym tonem.

Podczas tej rozmowy ani razu się nie zaśmiała, co zaskoczyło Lenę.

## Rozdział 26

Ulrike wróciła do męża skruszona, wykończona burzliwym pożyciem z ekstrawaganckim rzeźbiarzem. Odpoczywała u boku zrównoważonego, uwielbiającego ją męża. Urządziła na nowo ich katowickie mieszkanie, obwiesiła swoimi obrazami. Jeden pokój zajęła na pracownię. Malowała po całych dniach i gotowała mężowi specjały niemieckiej kuchni. Wieczorami wychodzili do teatru, do filharmonii, na różne przyjęcia. Dumny z atrakcyjnej żony Friedrich przedstawiał ją wszystkim znajomym. Przeżywali idyllę. Dla niego byłaby to pełnia szczęścia, gdyby nie myślał, że Lena spełni swoją groźbę. Myśl ta natrętnie kłuła jego szare komórki. Chociaż nie byłoby w stanie udowodnić mu agenturalnej działalności, to jednak nie dalałoby mu spokoju. Inwigilowałoby go. Uwierzyliby w jej donos, chociażby z powodu jego kontaktów z Ruchem Autonomii Śląska. Może nawet włóczyliby na przesłuchania. Ulrike też by na tym ucierpiała. Musiałby chyba wracać do Niemiec, a robił tu wspaniałe interesy. No i wciąż walczył o odzyskanie domu po dziadkach.

Ona tego nie robi — pocieszał się. — Pewnie wciąż się łudzi, że do niej wróci. Jednak... jak straci nadzieję, to nie wiadomo, co jej do głowy strzeli — martwił się. — Kiedy wreszcie zrozumie, że między nami wszystko skończone, spełni swoją groźbę. Przecież ta kobieta jest szalona... Na razie milczy, bo prawdopodobnie znowu rozchorowała się psychicznie i jest w szpitalu. Ale jak wróci, wpędzi mnie w tarapaty. Może do nas wydzwaniać, aż w końcu Ulrike zacznie mnie posądzać, że mam kochankę. Najgorsze, że może spełnić swoją groźbę.

Zaczęły go dręczyć koszmarne sny. Stał się nerwowy, wciąż miał wrażenie, że jest śledzony. Gdy ktoś dzwonił do drzwi, zdawało mu się, że to ABW. Ulrike zauważyła, że coś go gnębi. Indagowała go, by wyjaśnić, co się z nim dzieje. Musiał jej w końcu opowiedzieć o romansie z Leną. Skłamał, że ta szalona kobieta grozi mu zastrzeleniem, jeśli do niej nie wróci.

— Co ty opowiadasz? — Wzruszyła ramionami jego żona. — A jak ona tu w Polsce miałaby zdobyć pistolet?

— Ręczę ci, że nie będzie miała z tym problemu.

— Ona tego nie robi. Zagroziła ci w przystępie rozpaczy, jednak nie myśli o tym poważnie — uspokajała go.

Po upływie pełnych obaw trzech miesięcy Friedrich doszedł do wniosku, że

Lena wciąż się waha, albo jest w szpitalu psychiatrycznym. Jednak lękał się, iż w końcu podejmie zgubną dla niego decyzję. Nerwy odpowiadały mu posłuszeństwa. To było nie do zniesienia. Postanowił z tym skończyć. Nie chciał jej zabić, wzdragał się przed tym, lecz poczuł się do tego zmuszony, by odzyskać wreszcie spokój.

Zaplanował to ze szczegółami. Powie Ulrike, że musi wyjechać w interesach na parę dni. Nie pomyślał o oddaniu Lenie kluczy, więc wejdzie w nocy do jej mieszkania i udusi ją we śnie, po czym uda się z jej ciałem do swojego odosobnionego domu pod Monachium i pod osłoną następnej nocy zakopie zwłoki w ogrodzie. Nie pozostawi żadnych śladów. Policja nie będzie szukać jej ciała w Niemczech. W końcu nieszczęsna denatka zostanie uznana za zaginioną. Jediną poszlakę, prowadzącą do niego, stanowią mogłyby ich rozmowy zarejestrowane w jej komórce, niemniej nie dadzą one podstaw do podejrzeń, że ma on coś wspólnego z jej zniknięciem. Wyjaśni, że kiedy żona go opuściła, poznał Lenę i zostali kochankami, lecz po powrocie Ulrike rozstali się i od tego czasu nie miał z nią kontaktu, co znajdowało potwierdzenie w jej komórce.

Upewnił się głuchym telefonem z budki telefonicznej, że ona jest w domu i postanowił tej nocy zrealizować swój plan.

## Rozdział 27

Lena obudziła się nagle i ujrzała w ciemnościach schylającą się nad nią męską postać z wyciągniętymi rękoma. W poczuciu zagrożenia błyskawicznie złapała stojącą tuż obok niej, na nocnej szafce mosiężną lampę i z całej siły wymierzyła nią w głowę schylającego się mężczyzny, który padł na łóżko, przygniatając jej nogi. Wszystko to rozegrało się w ułamku sekundy.

— Jezus, Maria! — krzyknęła, trzęsąc się z przerażenia.

Z trudem wyciągnęła stopy spod ciała. Słaniając się, wstała z łóżka i zapaliła światło.

— To Leonardo! Chciał mnie udusić! Boże, Boże, Jezu, Jezu! — zawodziła.

Drżącą ręką wystukała w leżącej na szafce komórce numer alarmowy. Nie tracąc przytomności opowiedziała przez łązy, co się zdarzyło. Wyraziła nadzieję, że mężczyzna jeszcze żyje. Zażądano, by podała dane personalne i adres, co uczyniła.

— Pogotowie i policja w krótkim czasie będą na miejscu — uspokojono ją.

Z głośnym szlochem wyszła do pokoju dziennego, gdzie wlała do kieliszka sporo koniaku, który duszkiem wypiła. Uspokoiła się, powycierała oczy, wciąż jednak była roztrzęsiona. Położyła się na sofie i pogrążyła w ponurych myślach:

Dlaczego on chciał mnie zabić? Schylał się nade mną z wyciągniętymi rękoma. Chciał mnie udusić... A ja go tak kochałam. Widocznie uwierzył, że doniosę na niego... Żeby tylko nie umarł... Bo wtedy prasa wszystko roztrąbi, wezmą mnie na języki! Co powiedziec policji? Przecież będą mnie przesłuchiwać! Boże, Boże, taka tragedia!

Wtem odezwał się alarmujący dzwonek. Wstała z kanapy, chwiejnym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła. Byli to lekarz i pielęgniarka z pogotowia. Gdy weszli do sypialni, położyła się z powrotem na kanapie. Po jakimś czasie mężczyźni wyszli.

— Ten człowiek nie żyje — oznajmił doktor, kierując się do drzwi. — Proszę tam nie wchodzić do czasu przybycia policji.

— Jezus, Maria! — krzyknęła i padła zemdlna.

Lekarz zawrócił i zaaplikował jej zastrzyk, po którym odzyskała przytomność. Siedziała oszołomiona na kanapie, gdy zjawiła się ekipa policyjna. Dość długo przebywali w sypialni, po czym wyszli z ciałem denata. Obserwowała to wszystko, odnosząc wrażenie, że śni.

Nagle zorientowała się, że stoi przed nią... George Clooney! W czarnych dżinsach i skórzanej oliwkowej kurtce. Patrzył na nią współczującym wzrokiem ciepłych czarnych oczu.

— Nazywam się Waldemar Drobniak. Jestem inspektorem policji. Jak się pani czuje? — spytał łagodnym tonem, siadając naprzeciw niej w fotelu. — Wiem

już, co się zdarzyło i kim był ten mężczyzna. Miał przy sobie dokumenty. Cudem uniknęła pani uduszenia. Czy jest pani w stanie odpowiedzieć na parę pytań?

— Przepraszam, ale nie znam angielskiego — wykrztusiła drżąc jak osika. — Skąd się pan wziął w moim mieszkaniu?

— Nie rozumie mnie pani? — spytał zdumiony. — Mówię po polsku. Nazywam się Waldemar Drobniak. Jestem inspektorem policji — powtórzył. — Proszę się skupić. Czy jest pani w stanie odpowiedzieć na parę pytań?

— Tak, tak — oprzytomniała i zorientowała się w swojej pomyłce. — Czy pójde do więzienia? Zabiłam człowieka. — Wciąż zdawało się jej, że to sen.

— Co też pani opowiada? Wszak działała pani w obronie koniecznej.

— Czy to dostanie się do prasy?

— Zapewniam dyskrecję.

— Dobrze, dobrze — powtarzała, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami. Był niewiarygodnie podobny do Geoga Clooneya.

— Widzę, że jest pani wykończona psychicznie, co rozumiałe. Pewnie chce pani odpocząć. Porozmawiamy jutro. — Inspektor wstał z fotela.

Choć była to dla niego rutynowa sytuacja, ogarnęło go współczucie. Był pod urokiem nieszczęsnej kobiety. Przypatrywał się jej z podziwem.

Jaka ona piękna i subtelna — przeleciało mu przez myśli. — Te cudownie skrojone usta, wykrzywione z bólu, te pełne rozpaczy ogromne oczy...

— Proszę nie odchodzić — zatrzymała go. — Boję się zostać sama.

— Musi pani zadzwonić do kogoś z rodziny. — Mężczyzna usiadł z powrotem. — Ja... Nie mogę pani pomóc.

— Odpowiem na wszystkie pytania, tylko proszę ze mną zostać. — Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

Czuła się bezpieczna w jego obecności. Jego łagodny ton działał na nią kojąco. Zapragnęła wyzalić się przed nim, wyrzucić z serca to wszystko, czego nikomu nie mogła powiedzieć.

— Słucham — uśmiechnął się zachęcająco. — Proszę opowiedzieć, co łączyło panią z tym mężczyzną i co między wami zaszło. Dlaczego chciał panią zabić?

Spuściła głowę i milczała. Nie mogła wyjawić, że Friedrich był agentem i bał się, że ona go zdradzi.

— Friedrich Polotzek był moim kochankiem... — przerwała, zastanawiając się, co dalej mówić.

Nie, to musi pozostać tajemnicą. Zabiorę ją do grobu — zdecydowała. Przecież z tego wynikłaby afera. Oni by mnie nieustannie przesłuchiwali. Musiałabym powiedzieć, że donosiłam na klientki.

Mężczyzna czekał cierpliwie na dalszy ciąg.

— W skrócie wyglądało to tak — podjęła po dłuższym namyśle. — Był



samotny, bo jego żona odeszła od niego. Jednak po dwu latach powróciła. I wtedy on postanowił ze mną zerwać. Dla mnie było to nie do pomyślenia. Nie wyobrażałam sobie dalszego życia. Nękałam ich telefonami. Nachodziłam ich w domu. Nie mogli się przede mną opędzić... No i... On postanowił wreszcie uwolnić się ode mnie. To wszystko.

— Nie — pokręcił głową inspektor. — To nie jest wystarczający motyw, by kogoś zabić. Nie opowiedziała mi pani wszystkiego.

Milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Dzisiaj dam już pani spokój — zdecydował inspektor. — Musi się pani wyspać. Ja też chciałbym się jeszcze trochę przespać. Wrócę jutro po południu. Chciałbym jak najszybciej zamknąć tę sprawę. Pozwoli pani, że wezmę laptop i komórkę. Jutro zwrócę. — Wstał, pożegnał się i wyszedł. Odprowadziła go przerażonym wzrokiem.

Boże drogi, co ja mu mam powiedzieć? — martwiła się. — Muszę do jutra coś wymyślić.

Po jego wyjściu znów wlała do kieliszka nieco koniaku. Siedziała przez jakiś czas popijając, niezbyt przytomna. Kręciło się jej w głowie. Wciąż nie była pewna, czy to jawa czy sen, w końcu usnęła na sofie.

Śniło się jej, że Friedrich ją dusi. Wciąż jeszcze żyła, a jej kochanek dusił ją i dusił... Trwało to nieskończenie długo. W końcu poczuła, że umiera. Nagle jakiś mężczyzna odciągnął od niej Niemca. Uwolniona zaczerpnęła powietrza i... stwierdziła, że uratował ją... George Clooney. Rzuciła się w jego ramiona. W tym momencie obudziła się.

Zorientowała się, że jest w swoim salonie. Poczowała ulgę. Jednak to, co rozegrało się w nocy, stało przed nią z całą grozą sytuacji. Bolała ją głowa, a serce rozdzierał ból. Nie była w stanie znieść tego uczucia. Znów wlała sobie koniaku do kieliszka. Upiła sporo. Ulżyło. Poczowała się znacznie lepiej. Była oszołomiona. Rozsunęła zasłony i spojrzała na stojący zegar. Pierwsza po południu!

Muszę zapomnieć o tym podłym agencie — pomyślała z ulgą. Ale byłam głupia! Jak mogłam go kochać? Jak mogłam tak strasznie rozpaczać po jego odejściu? Dzięki Bogu już go nie ma. Znikł z mojego życia. Teraz to już na pewno koniec z rozpaczą i tęsknotą. Poczowała się wolna.

Powiem, że był cholerykiem, że po powrocie żony, chwycił mnie za gardło i chciał udusić — postanowiła. — Opanował się wtedy, w końcu jednak dał upust swojej agresji... Wszystko będzie dobrze. Uwierzą mi.

Weszła na chwilę do sypialni. Postąpiła chwilę, lustrując pokój.

Trzeba zmienić pościel — zdecydowała.

Uczyniła to niezwłocznie, po czym wyszła do łazienki. Napełniła wannę, wlała do niej sporo pachnącego płynu i położyła się w wodzie, rozkoszując się

odzyskanym spokojem. To było niesamowite. Nie odczuwała najmniejszego żalu, tylko ogromną ulgę. Wręcz satysfakcję, że zabiła tego podłego człowieka. I radość, że uniknęła śmierci.

Ten szczur chciał mnie udusić! — myślała ze zgrozą. Co za kanalia! Jak można kochać kogoś tak nieczułego, obcego? To było tylko opętanie seksem. Wciąż marzyłam o straceniu cnoty, więc kiedy to się stało, zupełnie oszalałam.

Po skończeniu ablucji zadzwoniła do gabinetu, że źle się czuje. Nie pisnęła słowem o tym, co zaszło.

Jak mogłam dać się tak opętać przez tę kanalię, która chciała mnie zabić? Zasłużył sobie na taką śmierć. Teraz smaży się w piekle za krzywdę, którą mi wyrządził — myślała z nienawiścią. — Oby tylko nikt się o tym nie dowiedział! Ten inspektor obiecał mi, że nic nie wyjdzie na jaw. Może dotrzyma słowa? Jest taki życzliwy.

## Rozdział 28

Jedząc spóźnione śniadanie, przestała rozpamiętywać tę tragiczną noc. Przed jej oczami stał przystojny inspektor.

Muszę doprowadzić się do porządku, by dobrze wyglądać, jak przyjdzie... Piękny mężczyzna — myślała z zachwytem. Istny George Clooney. Strasznie podobny. A przy tym nie ma w sobie nic z takiego latynoskiego „macho”, co mnie drażni u Clooneya. I w ogóle nie wygląda na twardego policjanta. Wręcz przeciwnie ma w sobie coś łagodnego, niemal kobiecego. Trudno wyobrazić go sobie, strzelającego do przestępcy. To jego ciepłe, dobre, serdeczne spojrzenie... Ten uroczy uśmiech... Ten wytworny sposób bycia... Z nim to by była prawdziwa, idealna, romantyczna miłość, o jakiej zawsze marzyłam — westchnęła, wznosząc oczy ku niebu. Nie taki dziki seks, jak z tym przeklętym Niemcem.

Spojrzała na ścienny zegar w kuchni. Ale ten czas leci. Już trzecia. On niedługo może przyjść — ucieszyła się, że znów go zobaczy, lecz z drugiej strony odczuwała lęk przed przesłuchaniem.

Zrobiła staranny makijaż, włożyła najlepszą suknię i najwyższe szpilki. Puściła CD z koncertem brandenburskim Bacha, który ją zawsze uspokajał. Niecierpliwie czekała na przybycie inspektora, chodząc tam i z powrotem po pokoju.

Gdy stanął w drzwiach, serce zabiło jej mocniej. Była szalenie podekscytowana. On zaś stał jak wryty, zdumiony przemianą, jaka w niej zaszła.

Zupełnie inaczej wygląda z makijażem — przeszło mu przez głowę. — Jeszcze piękniej. Wspaniała kobieta. Wypielęgnowana, elegancka. I taka dzielna! Najwyraźniej otrząsnęła się już po tej koszmarnej nocy.

Usieli w salonie. On w fotelu, ona na kanapie. — Napije się pan czegoś? — spytała z uroczym uśmiechem. — Może kawy? Właśnie zaparzyłam.

— Proszę. Chętnie — odwzajemnił uśmiech.

Wyjęła z witryny dwie filiżanki i dzbanek z ćmielowskiego serwisu, którego używała tylko w wyjątkowych okazjach.

— Zostawię pana na chwilę samego — powiedziała, wychodząc z dzbankiem do kuchni.

Chyba mu się podobam. Patrzy na mnie tak... jakoś — pomyślała ucieszona, przelewając kawę do dzbanka. Znów odniosła wrażenie, że śni.

Wróciła do salonu, napelniła filiżanki. Waldemar patrzył na nią oczarowany.

Co za sylwetka! Z jaką gracją się porusza! Kręci tą ponętą pupą jak modelka — myślał z zachwytem.

Wsypał łyżeczkę cukru do filiżanki, a ona wlała do swojej odrobinę mleka.

— Mam dla pani pomyślną wiadomość — oświadczył tryumfalnie. — Żona

Friedricha Polotzka potwierdziła pani wersję. Był bardzo agresywny. Często posuwał się do rękoczynów. Kiedy mu oznajmiła, że odchodzi, usiłował ją udusić. No, cóż... Wszystko jasne. Zwracam laptop i komórkę. No i... Nie ma sprawy.

Nie wierzyła własnym uszom.

To chyba cud — ucieszyła się. — Niepotrzebnie tak strasznie się martwiłam.

— A nikt się o tym nie dowie? — spytała z niepokojem.

— Postaram się o to.

Zdawało się jej, że z radości oszaleje. Zerwała się z kanapy i rzuciła mu się na szyję.

— Bardzo dziękuję. Nie wiem, jak się panu odwdzięczyć! — wykrzyknęła spontanicznie.

Delikatny zapach perfum i ciepło jej ciała mocno na niego podziały. Ale temperament — pomyślał zaskoczony jej zachowaniem.

— Przepraszam za ten wybuch — rzekła skonfundowana i usiadła z powrotem naprzeciw niego.

— Nie ma za co przepraszać. To było przyjemne — spojrzał jej znacząco w oczy.

Siedzieli w milczeniu, popijając kawę i spoglądając na siebie od czasu do czasu. Oboje byli zdeprimowani oczarowaniem, jakiego nawzajem doznali.

Nadzwyczaj pociągająca twarz — myślał olśniony mężczyzna, wpatrując się w nią z lekkim uśmiechem. — Z jednej strony niebywale zmysłowa... Te ogromne oczy o porażającym blasku. Te szerokie, namiętne usta... A z drugiej strony... subtelna.

Jaka szlachetna postać! Jakie inteligentne spojrzenie — zachwyciła się Lena. Ten Clooney to przy nim prostacki pacholek.

— Nie wypije pan jeszcze jednej filiżanki kawy? — spytała zaniepokojona, widząc, że on wstaje z miejsca.

— No cóż, obowiązki wzywają — rzekł z zażenowaniem, siadając z powrotem. — Chętnie jeszcze posiedzę... Świetna kawa, nigdy jeszcze takiej nie piłem.

Co za idiotyczna odzywka — przywołał się do porządku. Straciłem przy niej język w gębie. Ta kobieta mnie onieśmiela. Jest w niej coś takiego... — Nie mógł znaleźć słów na określenie wrażenia, jakie na nim zrobiła. Był tym wyraźnie zbity z tropu.

— Proszę powiedzieć, jak mogłabym się panu odwdzięczyć. — Lena spojrzała mu wymownie w oczy.

— Nie ma za co, zrobiłem tylko to, co do mnie należało — odpowiedział grzecznie, lecz z szelmowskim uśmiechem.

Oboje pomyśleli o tym samym i roześmiali się równocześnie. Ona zaczerwieniła się, jednak nic nie powiedziała. Znow siedzieli przez jakiś czas

w milczeniu, patrząc sobie w oczy, które wyrażały to, czego nie potrafili ubrać w słowa.

— No, teraz to już muszę iść — powiedział inspektor po wypiciu kolejnej filiżanki kawy, lecz nie ruszał się z miejsca. Nie mógł oderwać od niej oczu. Pragnął zobaczyć się z nią jeszcze kiedyś.

— Myślę, że... Może zaprosiłabym pana na kolację do dobrego lokalu, bo... Bo muszę się odwdzińczyć za tak szybkie zakończenie śledztwa. Oszczędził mi pan wiele zdenerwowania — wybąkała, przychodząc mu z pomocą.

— To świetny pomysł, ale ja zapłacę. Pani towarzystwo będzie dla mnie wystarczającą nagrodą.

Oboje poczuli ulgę. Opadło napięcie spowodowane obawą, że już więcej się nie spotkają.

— Wiem, że trudno jest panu przewidzieć, kiedy będzie pan miał wolny wieczór. Proszę do mnie zadzwonić — powiedziała, wręczając mu wizytówkę.

## Rozdział 29

— Waldemar, Waldek, Walduś — powtarzała, leżąc już w łóżku. Szybko usnęła, wyczerpana emocjami tego dnia. Przez całą noc śnił się jej piękny inspektor. Był arystokratą, a George Clooney jego lokajem.

Tymczasem Waldemar nie mógł usnąć. Leżał dość długo bezsennie, żalując, że umówił się z Leną. Męczyły go wyrzuty sumienia. Miał przyjaciółkę, z którą od lat regularnie się spotykał. Poznali się na studiach. Honorata długo nie mogła się zdecydować na związek z człowiekiem, dla którego najważniejszy był jego niebezpieczny zawód i który niezbyt często miał dla niej czas. Jednak w końcu zdecydowała się na małżeństwo, do którego namawiał ją usilnie, ponieważ zależało mu na założeniu rodziny. Mieli już wyznaczoną datę ślubu.

Ledwo zdążył zasnąć, obudził go telefon. W parku znaleziono zwłoki mężczyzny. Musiał natychmiast się tam udać. Przez kolejne dni zajmował się tym zabójstwem.

Był w rozterce. Nienawidził siebie za oczarowanie Leną i umówienie się z nią. Czuł się winnym wobec Honoraty, z którą miał się ożenić. Dosyć miał już starokawalerstwa. Tymczasem wciąż stawała mu przed oczami zmysłowa twarz Leny. Myślał o niej nieustannie:

Licho wie, co to za kobieta. Jest już koło trzydziestki i wciąż samotna. A w dodatku ta podejrzana afera z tym Niemcem... Właścicielka zakładu kosmetycznego... A o czym ja bym miał z nią rozmawiać? Natomiast z Honoratą mamy tak wiele wspólnych tematów. Ona jest świetnym psychologiem. Pomaga mi nieraz w rozwiązywaniu zagadkowych morderstw. No i... Kocham ją. Kocham — przekonywał sam siebie.

Jednak wciąż nachodziły go wątpliwości. Gdybym ją prawdziwie kochał, to inna kobieta nie mogłaby zrobić na mnie tak piorunującego wrażenia. Coś w tym musi być, że tak nagle dałem się oczarować. Nieraz byłem już przelotnie zauroczony, nigdy jednak nie zdradziłem Honoraty. Tym razem byłbym skłonny to zrobić. Ta kobieta przyciągała mnie, jakbym był z metalu, a ona miała w sobie magnez. To jest naprawdę coś niezwykłego. Coś, jakby miłość od pierwszego wejrzenia...

Nie, nie — przywoływał się do porządku. To uczucie pryśnie jak mydlana bańka przy bliższym poznaniu. I wtedy zostanę sam, bo Honorata nie wybaczy mi tego. Niemniej nie mogę zachować się wobec tej Leny jak cham. Obiecałem, że zadzwonię. Muszę ją zaprosić na kolację, podczas której powiem jej prawdę, że wkrótce się żenię, aby nie miała złudzeń — postanowił w końcu.

Lena też miała wątpliwości, co do ich wzajemnego oczarowania, które pogłębiły się wobec faktu, że Waldemar wciąż się nie odzywał.

Koniec z budowaniem zamków na lodzie. Czas najwyższy, żebym oprzytomniała. Tyle razy już byłam zakochana i nigdy nic z tego nie wyszło. Tym razem też tak będzie. Taki mój los. On nie zadzwoni.

Zaskoczył ją telefonem. Nogi ugięły się pod nią z wrażenia.

— Nie mam czasu na chodzenie po lokalach, więc proszę jakiś zaproponować — powiedział.

— No, ja też nie mam w tym rozeznania... Może... — Zawahała się. Nie powinnam, Magda tyle razy mi mówiła, że tak nie można — przeleciało jej przez głowę. — Może spotkalibyśmy się u mnie — zaproponowała wbrew rozsądkowi. Chciała być z nim sama. — Ugotowałabym coś dobrego, a pan przyniósłby wino.

— To dobry pomysł — ucieszył się, że nie będzie ryzyka, iż ktoś zobaczy go z kobietą w lokalu i doniesie o tym Honoracie. Jednak w tym samym momencie z tyłu głowy pojawiła się ekscytująca myśl o randce sam na sam. Nie, na Boga, nie mogę tego zrobić. Muszę zakończyć tę kuszącą znajomość — przywołał się do porządku. — A więc jutro o ósmej? Okay? Odpowiada pani ta pora? — spytał, usiłując przybrać chłodny ton.

— Jak najbardziej. Do widzenia już jutro — skończyła rozmowę, ponieważ zdawało się jej, że za chwilę zemdleje z wrażenia. A jednak. Zależy mu na mnie — ucieszyła się.

On chyba kogoś ma, bo umówił się w środku tygodnia — ochłodziła po chwili swoją rozpaloną głowę. Weekendy spędza pewnie z przyjaciółką. Może nawet jest żonaty? W tym wieku z pewnością nie jest wolny. To, że nie miał obrączki, nic nie znaczy.

Znów odezwała się jej komórka.

— Jak się masz, kuzyneczko? Nie dzwoniłam, bo miałam wiele spraw na głowie, ale przecież ty też mogłaś zatelefonować — mówiła Magda.

Nie mogę jej powiedzieć, co się zdarzyło — zmitygowała się Lena, choć tak bardzo chciała się przed nią wyzalić. — Nie było sensu zawracać wam głowy — odpowiedziała. — U mnie wszystko w porządku. Tyle tylko, że Friedrich mnie porzucił. Okazało się, że jest żonaty.

— Doskonale. Słyszę, że nie jesteś tym załamana. Znajdziesz sobie jeszcze właściwego człowieka. Zapraszam cię do nas. Urządziliśmy już mieszkanie. Oboje mamy pracę i świetnie czujemy się w Warszawie.

— Cieszę się, ale na razie nie mogę. Jestem w tej chwili zajęta. Zdzwonimy się jeszcze — wyłączyła się w obawie, że Magda zacznie ją wypytywać o rozstanie z Friedrichem.

Po skończeniu rozmowy zasępiła się. Czy to na zawsze pozostanie moją tajemnicą? Czy nigdy nic nie wyjdzie na jaw? Pewne osoby wiedziały, że spotykam się z tym agentem. Będą mnie o niego wypytywać. Na przykład ta jego znajoma Helga Schmidt... Całe szczęście, że rodzice o tym nie wiedzieli... Co

z tego? Tego nie da się zapomnieć. Ta koszmarna noc będzie mnie prześladować do końca życia. Co zrobić, by uwolnić się od tego ciężaru? Tak chętnie opowiedziałabym komuś to wszystko, wyzaliłabym się przed kimś... Czas leczy rany — pocieszyła się. — Muszę jakoś przetrzymać ten najgorszy okres i nie zdradzić nikomu, co zaszło tej nocy. Nawet Anecie.

Przyjęcie wspaniale się udało. Inspektor przyniósł włoskie, czerwone wino, które świetnie pasowało do przygotowanych przez Lenę dań. Gawędzili sobie przyjemnie, głównie o muzyce klasycznej, bo Waldemar był zagorzałym melomanem. Okazało się, że ma z nią więcej wspólnych zainteresowań niż z Honoratą. Opowiedział jej o nieżyjącej matce, która wzbudziła w nim zamiłowanie do tego gatunku muzyki. Była adwokatką, ale przed studiami prawniczymi ukończyła średnią szkołę muzyczną.

— Muzyka klasyczna obdarza nas skarbami wrażeń — rzekł Waldemar, ucieszony, że mają wspólny temat. — Od razu wyczuwałem w pani to bogactwo. Współczuję ludziom, dla których ten świat jest zamknięty. Są ubożsi o całe pokłady doznań, o poczucie szczęścia, które daje obcowanie z tą muzyką.

Rozmawiali o ulubionych utworach. Okazało się, że mieli wspólne upodobania — Mozart, Beethoven, Brahms, Czajkowski, Rachmaninow, oczywiście też Bach i wielu innych. Oboje uwielbiali Chopina. Do najulubieńszych utworów obojga należały: Symfonia Fantastyczna Berlioza, IX Symfonii Beethovena, „Requiem” Mozarta, „Mesjasz” Haendla, Mazurki i Walce Chopina. Waldemar podzielał też jej umiłowanie operowego świata mocnych uczuć, a zwłaszcza uwielbienie największej diwy operowej wszech czasów Marii Callas. Ani się obejrżeli, kiedy na jej stojącym zegarze wybiła północ.

— Ale się zasiedziałem. Przepraszam — powiedział zdeprimowany. — Straciłem poczucie czasu. To był wspaniały wieczór.

Nie ma sensu mówić jej, że zamierzam się ożenić — pomyślał. Chyba nie spotkamy się już więcej... Chociaż... Szkoda. Jest zachwycająca. Inteligentna, wrażliwa.

— Wie pan, mam abonament do filharmonii na dwie osoby — odważyła się Lena na kolejną propozycję spotkania, chociaż tym razem to on powinien je zaproponować. — Chodziłam na koncerty z tym Niemcem. Może wybrałby się pan w piątek ze mną? — spytała.

— Chętnie, skończyłem właśnie pewne zagmatwane śledztwo i jeśli nie wyskoczy coś nieoczekiwanego, to z przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa — rzekł nieoczekiwanie dla samego siebie, wbrew postanowieniu niespotkania się z Leną. Przy pożegnaniu spontanicznie pocałował ją w rękę.

Co mi strzeliło do głowy — zmitygował się. I dlaczego jej nie odmówiłem?



Co powiem Honoracie, jeśli zechce przyjść do mnie w piątek?

W drodze do domu ogarnęło go nagle poczucie szczęścia. Dopadło go tak nieoczekiwanie i gwałtownie, że przez moment stracił świadomość jazdy samochodem. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Miał przed oczami jej zmysłową twarz i to dziwne, fascynujące spojrzenie słodko-czekoladowych oczu. Emanowała z nich melancholia, nawet wówczas, gdy się śmiała. Widział je na ciągnącej się przed nim drodze w światłach poprzedzającego go samochodu.

Rozpamiętywał każdy szczegół jej twarzy. Szerokie, pełne usta, pomalowane liliową szminką, raz po raz uchylające się w uroczym uśmiechu, ukazując równe, białe zęby. Tak bardzo chciał ich dotknąć swoimi wargami! Zapragnął mieć na własność to piękne ciało i tę subtelną duszę.

To marzenie ściętej głowy — zmitygował się. Ona nie dla mnie. Przecież żenię się z Honoratą.

\*\*\*

Nie skończyło się na tym jednym koncercie, jak sobie przyrzekł Waldemar. Wbrew poczuciu winy wobec przyjaciółki, regularnie chodził z Leną do filharmonii. Honorata nie lubiła muzyki poważnej, więc zrezygnował z takich koncertów. Teraz był szczęśliwy, że ma z kim rozkoszować się symfoniami i dyskutować o nich. Czuł się zobowiązany do zapraszania Leny w rewanżu do teatru i kina. Gdy tylko czas mu pozwalał, odwiedzał ją też w jej mieszkaniu.

Czytali w swoich myślach. Rozumieli się w pół słowa. Uszczęśliwiała ich wzajemne towarzystwo. Poważny z natury Waldemar przy niej sam siebie nie poznawał. Sypał dowcipami, w każdej sytuacji potrafił znaleźć coś komicznego. Uwielbiał jej dźwięczny śmiech i miły tembr głosu. Zachowywali się jak para nieśmiałych nastolatków, przeżywająca pierwszą miłość. W kinie ściskali swoje dłonie, nie potrafili powstrzymać się od czułych gestów, nigdy jednak nie doszło nawet do pocałunków. Ich ciała przyciągały się, lecz umysły nakazywały samokontrolę. Waldemar wmawiał sobie, że nie może poddać się temu uczuciu, a Lena była onieśmielona jego powściągliwością.

Dlaczego on mnie nigdy dotąd nie pocałował? Zachowuje się, jakby chciał, a nie mógł — zastanawiała się skonfundowana. Przecież widzę, jak na niego działam. A mimo to... Nie wiem, co o tym myśleć — martwiła się. Może on jest impotentem? A może ma żonę?! To by było straszne. Jestem z nim taka szczęśliwa!

Pewnego wieczoru zaczęli wreszcie opowiadać o sobie. Dotąd rozmawiali tylko o muzyce, o filmach, o sztuce. Lena wyznała mu nawet szczerze, że Friedrich był jedynym mężczyzną w jej życiu. Przyznała się do psychozy i pobytu w szpitalu

psychiatrycznym po jego odejściu. Przemilczała jednak pobyt w Niemczech i — oczywiście — nie wspomniała o agenturalnej działalności kochanka.

Jaka ona jest otwarta, szczerą, ufna. I ten naturalny sposób bycia, to nieskrępowane zachowanie — zachwycał się Waldemar.

On nie mówił o sobie zbyt wiele, jednak też trochę opowiedział. Podobnie jak ona, nie miał rodzeństwa. Rodzice jego również pochodzili z kresowej rodziny. Ojciec był ginekologiem, a matka adwokatką. Oboje zginęli w wypadku samochodowym. Pirat drogowy, który go spowodował, nie poniósł odpowiedzialności za swój czyn. Jego adwokat tak zagmatwał sprawę, że nie spotkała go kara. W dwóch instancjach orzeczono, że wypadek nastąpił z winy prowadzącego samochód ojca Waldemara. Wówczas ogarnęła go bezsilna wściekłość. Świeżo upieczony absolwent wydziału Psychologii postanowił wstąpić do policji. Była to spontaniczna decyzja z rozpaczy po utracie rodziców. Nie mógł pogodzić się z faktem, że sprawca ich śmierci pozostał bezkarny. Postanowił przyczynić się do tego, by nie dochodziło do takich sytuacji, a wiedział, że zbieranie niepodważalnych dowodów winy należy do policji. W trakcie pracy zasmakował w prowadzeniu zagmatwanych dochodzeń. Pociągał go intelektualny i fizyczny wysiłek, zmaganie się ze słabościami ciała i ducha. Wszystko to ekscytowało go i sprawiało satysfakcję po wykryciu sprawcy zbrodni. Pokochał ten zawód. Nie wyobrażał sobie życia bez adrenaliny, której mu dostarczał.

## Rozdział 30

Przed Honoratą wykręcał się nawąłem pracy. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien spotykać się z Leną, lecz nie potrafił sobie tego odmówić. Dręczyła go świadomość, że je obie oszukuje. Wycofanie się z obietnicy małżeństwa było niemożliwe. Honorata spędziła z nim całą młodość. Nie mógł jej teraz opuścić, gdy oboje dobijali czterdziestki. Podczas ich długiej zażyłości wciąż na nowo prosił ją, by za niego wyszła, lecz ona wiecznie mu odmawiała. Często groziła zerwaniem ze względu na to, że nie poświęca jej zbyt wiele czasu. Łudził się, że teraz spełni swoją groźbę, bo wciąż wykręcał się od spotkań. Sam nie miał sumienia, by nagle jej oznajmić, że zakochał się w kimś innym. Niestety, ona tym razem była zdecydowana. Z zapałem przygotowywała się do ślubu. A on wciąż postanawiał sobie, że powie Lenie prawdę, lecz gdy spojrzał jej w oczy, zapominał o wszystkim, ciesząc się jej obecnością. Zdawał sobie sprawę, że jest po raz pierwszy w życiu tak naprawdę zakochany i nie wyobrażał sobie rozstania z wybranką swojego serca. Marzył o wzięciu jej w ramiona i połączeniu się w miłosnym uścisku. Jednak rozum nie zezwalał mu na to.

W Honoracie właściwie nie miał kiedy się zakochać. Była najpiękniejszą dziewczyną na roku. Wysoka, niebieskooka, jasna blondynka z włosami do pasa, z idealną figurą, cieszyła się ogromnym powodzeniem. Nie przyszło mu nawet do głowy, by starać się o jej względy. Zaskoczony był, gdy zaprosiła go do siebie i od razu wciągnęła do łóżka. Nie miał nic do powiedzenia, to ona zdecydowała o ich stosunku. Była zaborcza, a on chętnie się jej poddawał. Podziwiał jej urodę. Dumny był z tego, że go wybrała. Poznał jej rodziców, rodzeństwo. Wciągnęła go w krąg swoich przyjaciół. Teraz zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy jej nie kochał. Nie znał takiego uczucia, jakie go ogarnęło, gdy poznał Lenę. Trudno mu było się go wyrzec. Ogarnęła go rozpacz, jednak honor nie pozwalał na wycofanie się z zaręczyn.

Po długim wahaniu postanowił szczerze wyjaśnić Lenie swoją trudną sytuację. Przyszedł do niej z kwiatami i po raz pierwszy z bardzo poważną miną. Dotąd na jej widok uśmiechał się od ucha do ucha.

Od razu zorientowała się, że tym razem czeka ją niezbyt przyjemna rozmowa.

Jest żonaty! — przeraziła się. Że też od razu się tego nie domyśliłam!

— Muszę z tobą poważnie porozmawiać — oświadczył ponuro, gdy usiedli przy kawie.

— Wiem! — krzyknęła, powstrzymując się od płaczu. — Masz żonę i dzieci.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Jak mógłbym cię tak oszukiwać? Nie, ale jestem tego bliski.

— Nie rozumiem — zdziwiła się, czując ulgę. Jeszcze nie wszystko stracone — pocieszyła się.

— Przede wszystkim przepraszam cię gorąco — złożył ręce w modlitewnym geście. — Proszę cię, wybacz!

— Powiedz wreszcie, o co chodzi — zniecierpliwiła się, drżąc z niepewności. — Co ci mam wybaczyć?

Nie wiedział, jak jej to powiedzieć. Nie potrafił znaleźć właściwych słów na odmalowanie swojego rozdarcia. Nie chciał się z nią rozstać. Pragnął zastanowić się wraz z nią, jak mógłby wybrnąć z tej sytuacji bez wyjścia.

— Zataiłem przed tobą, że jestem zaręczony. Za dwa miesiące ma się odbyć mój ślub. Jednak, uwierz mi — ujął jej obie dłonie — nie chcę tego. Nie powiedziałem ci o tym, bo przy tobie po prostu... zapomniałem. Już podczas pierwszego naszego spotkania chciałem ci o tym powiedzieć, ale... zapomniałem. O wszystkim zapominam w twojej obecności — mówił ze ściśniętym ze wzruszenia głosem.

— Jak to? Zapominałeś mi powiedzieć coś tak ważnego? — spytała z wyrzutem.

— Tak było. Naprawdę. Byłem z tobą tak szczęśliwy, że o niczym innym nie myślałem. Potem wracałem do domu i szalałem z poczucia bezsilności. Kiedy byliśmy razem, znowu zapomniałem. Błagam, wybacz, że cię tak długo oszukiwałem. — Wstał z fotela. Usiadł przy niej i zaczął całować ją po rękach

Lena rozplakała się.

— Nie płacz, proszę — powiedział błagalnym tonem, scałowując jej łzy. — Nie wyobrażasz sobie, jak cierpię. Całym sercem pragnę być z tobą!

— Teraz wszystko rozumiem — złapała się za głowę. — To straszne. Musisz się z nią ożenić, bo ona jest w ciąży.

— Nie. Ale jesteśmy ze sobą od czasu studiów. Ona z zapałem przygotowuje się do ślubu, nie mam sumienia się wycofać. To byłaby dla niej katastrofa. Nie mógłbym jej tak skrzywdzić. Jej rodzice, krewni, nasi przyjaciele, no... Wszyscy znajomi... To by ją upokorzyło. Jest strasznie ambitna. Nie przeżyłaby tego. Mogłaby sobie coś zrobić — mówił łamiącym się głosem.

Lena uwolniła się z jego objęć, zwiesiła głowę. — Rozumiem, rozumiem — powtarzała bezradnie. — Musimy się z tym pogodzić. Tylko jak?

Wstała nagle z miejsca. — Idź już — powiedziała zdecydowanie. — To dla mnie straszny szok. Chcę być sama.

— Dobrze, pójdę. Tylko proszę, spotkajmy się jeszcze, jak się uspokoisz, jak sobie to wszystko przemyślisz i poukładasz w głowie. Wiesz, ja już od dawna chciałem się z nią ożenić, ale ona mi zawsze odmawiała. Często groziła, że ze mną zerwie. Nie chciała wiązać się z policjantem, który nie poświęca jej tyle czasu i uwagi, jak by chciała. Ostatnio ze względu na ciebie wykręcałem się od spotkań,

co doprowadzało ją do furii, więc mam nadzieję, że ona spełni tę groźbę. A wtedy będę wolny... Spotkajmy się jeszcze. Porozmawiajmy o tym. Nie mogę sobie wyobrazić, że widzimy się po raz ostatni.

— Okay, ale teraz już idź — powiedziała, wycierając łzy.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, rozplakała się na głos. Szlochała wniebogłosy.

Wiedziała, że tak będzie. Miłość nie jest mi sądzona — rozpaczała. A mogło być tak cudownie! Zdawało się, że jesteśmy dla siebie stworzeni... Może jednak — zastanawiała się — Może bym spróbowała...

— Nie! — krzyknęła. — Nie mogłabym budować swojego szczęścia na nieszczęściu innej kobiety. Bóg by mnie za to skarał.

Postanowiła wyrzec się tej miłości. Spotka się z nim tylko jeszcze jeden raz, tak jak obiecała.

Jednak ich znajomość wciąż się przedłużała. Raz on, raz ona znajdowali jakiś pretekst, by z nów się zobaczyć. Zdawali sobie sprawę, że ich zażyłość stanowi igranie z ogniem. Wystrzegali się zbliżenia. Nie doszło nawet do pocałunków, choć oboje mieli na to szaloną ochotę. Dla obojga była to sytuacja nie do zniesienia. Nie sypiali po nocach, rozmyślając, jak rozwiązać ten gordyjski węzeł. Ani ona, ani on nie mogli się zdobyć na to, by go przeciąć. Nie potrafili zrezygnować ze swoich romantycznych spotkań, podczas których nie rozmawiali o zbliżającym się nieubłaganiu rozstaniu. Cieszyli się każdą wspólnie spędzoną chwilą. Dopiero, gdy zostawali sami, dopadało ich przygnębienie. Waldemar był coraz bliższy decyzji zerwania z Honoratą, wciąż jednak nie mógł się na to zdobyć, a termin ślubu zbliżał się nieubłaganie.

Lena nikomu nie zwierzyła się ze swojej rozpacz. Dusila to w sobie. Jednak wszyscy, zwłaszcza jej rodzice domyślili się, że coś ją gnębi. Lecz ona milczała jak zaklęta. Wciąż tliła w niej iskra nadziei, że małżeństwo Waldemara nie dojdzie do skutku i dopiero wtedy zamierzała zdradzić im przyczynę swojego zachowania.

Często powtarzała w myśli: „I nie wie zwierz ni człek, jak bardzo jestem zrozpaczona”.

Jej powierniczka Magda doskonale ją znała, więc domyślała się, że kuzyneczka znów zakochała się bez wzajemności.

— Od kiedy jesteś taka tajemnicza? — spytała podczas jednej z telefonicznych rozmów. — No, wyrzucić wreszcie z siebie, co masz na wątrobie. Może będę ci mogła pomóc?

Lena rozplakała się. — Nikt mi nie może pomóc — powiedziała przez łzy.

— Uspokój się, kochanie. Przyjedź wreszcie do nas, żebyś mogła wypłakać się na mojej piersi.

— Przyjadę, jak skończy się moja cudowna przygoda. A to już niedługo nastąpi.

— Zaintrygowałaś mnie. Co za przygoda? Mów, bo nie wytrzymam z ciekawości.

— Poznałam wspaniałego mężczyznę. Kochamy się szalenie. Wiem, że on kocha mnie tak samo, jak ja jego.

— Czemu ryczysz? To wspaniale.

— Kiedy poznaliśmy się, on miał już wyznaczoną datę ślubu z przyjaciółką. No i... nie jest w stanie z nią zerwać. Jest do niej bardzo przywiązany. Boi się, że ona coś sobie zrobi.

— A może on chce się z nią ożenić, a ciebie mieć jako kochankę?

— Nie, nie spiamy ze sobą, bo wiemy, że nasza miłość nie ma przyszłości.

— Opamiętaj się, dziewczyno. Albo zapomnij o nim, albo...

— Co? Co innego mogę zrobić? — przerwała jej Lena. — Muszę o nim zapomnieć.

— Weź sprawę w swoje ręce. Spotkaj się z tą kobietą i powiedz jej prawdę. Ręczę ci, że ona mu nie wybaczy takiej podwójnej gry i z nim zerwie.

— No, co ty opowiadasz! — oburzyła się Lena. — Jak ja bym mogła zrobić coś takiego za jego plecami? On by mi tego nie wybaczył.

— Wręcz przeciwnie. Jeśli to taka wielka miłość, jak mówisz, to on się z tego ucieszy. Skoro sam nie ma odwagi z nią zerwać, będzie ci wdzięczny, że go w tym wyręczyłaś.

— Nie znasz go. On jest taki... uczciwy, szlachetny... Przecież ona może popełnić samobójstwo. I co wtedy? Jak będziemy się oboje czuli?

— Daj spokój. Od razu samobójstwo! A kim ona jest?

— Psychologiem.

— To na pewno nie odbierze sobie życia. Przeboleje to. Nie martw się o nią. Myśl o sobie. Jak długo oni są już razem?

— Chyba przeszło dziesięć lat. Poznali się na studiach.

— I dopiero po takim długim czasie zdecydowali się na małżeństwo?

— Ona się wciąż wahała, bo on jest inspektorem policji i za mało czasu jej poświęcał. Wiesz, wiecznie miał na głowie jakąś kryminalną sprawę.

— To nie miłość, tylko przyzwyczajenie. Ona się z tym pogodzi. Skoro tak długo nie mogła zdecydować się na ślub, to znaczy, że go nie kocha. Pewnie trzymała go w rezerwie i rozglądała się za kimś odpowiedniejszym. Zrób, jak ci radzę. A jeszcze mi podziękujesz.

— Nie mogę. Nie mogę budować swojego szczęścia na krzywdzie innej kobiety. Boję się, że spotkałaby mnie za to kara.

— Mnie jakoś nie spotkała. Wręcz przeciwnie, jesteśmy z Arkiem bardzo szczęśliwi. Właśnie chciałam ci powiedzieć, że spodziewamy się synka. A wiesz,

że on był żonaty i miał dwie córeczki, kiedy się poznaliśmy. Oczywiście, nam też nie było łatwo. Jednak wiedzieliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni. On z żoną wiecznie się kłócił, co wpływało negatywnie na dziewczynki. Były wprawdzie z początku po rozwodzie nieszczęśliwe, jednak w końcu pogodziły się z tym i nawet mnie polubiły. Spędzamy z nimi wiele czasu. Jego żona też znalazła sobie kogoś, kto jej lepiej odpowiada. A w twoim przypadku nie wchodzi w grę krzywda dzieci. Musisz walczyć o niego... Wiesz co? Przyszedł mi do głowy inny pomysł. Powiedz mu, że zamierzasz porozmawiać z jego przyjaciółką. Jeśli on cię tak bardzo kocha, jak mówisz, sam jej o wszystkim powie. Uświadomi sobie, że jesteś dla niego ważniejsza od niej. Chyba, że tak nie jest. No to wtedy nie pozostanie ci nic innego, jak zapomnieć o nim. Tak czy owak nic nie ryzykujesz. A całkiem możliwe, że zmobilizujesz go do zerwania z tą kobietą.

— Nie, to byłby szantaż.

— No tak — zastanowiła się Magda. — Masz rację — rzekła po chwili. — Tak się tym przejęłam, że sama już nie wiem, co mówię. Postaw mu warunek, że jeśli z nią nie zerwie, to przestaniesz się z nim spotykać.

— To też byłby szantaż! — wykrzyknęła Lena. — Jednak... Z drugiej strony dalej tak być nie może. Do tej pory utwierdzałam go w przekonaniu, że musi dotrzymać obietnicy małżeństwa. Chyba powiem mu wreszcie, że chciałabym, żeby z nią zerwał. Dawno już powinnam była zdobyć się na to. Zawsze mi dobrze doradzasz.

— Tylko ty mnie nigdy nie słuchasz. Mam nadzieję, że tym razem skorzystasz z mojej rady.

## Rozdział 31

Wracali z bytomskiej opery. Wzruszeni tragiczną historią, która otworzyła ich serca, myśleli o swojej miłości. Ta zmysłowa muzyka rozpałała w nich ogień wciąż z trudem tłumionego, wzajemnego pożądania.

Milczeli. Waldemar był pod wrażeniem bliskości jej ciała. Chłonał zapach jej włosów. Trudno mu było powstrzymać się, by ich nie pogłodzić. Pragnął przesunąć ręką po jej jedwabistych ramionach, mocno objąć i przytulić się do jej pełnych piersi, falujących pod czarnym jedwabiem sukni.

Lenę również ekscytowała bliskości jego ciała, tam w operze, i teraz w samochodzie. Jej oczy zalśniły łzami wzruszenia.

— Kochasz Honoratę? — spytała cicho.

— Ciebie kocham, przecież wiesz — rzekł spontanicznie.

Po raz pierwszy padło z jego ust to wyznanie, chociaż od dawna oboje o tym wiedzieli. — Ale do niej jestem przywiązany i nie mam serca...

— Zerwij z nią — przerwała mu, zdobywając się na odwagę. — Sam widzisz, że nie możemy się rozstać.

Spojrzał na nią zaskoczony, bo zawsze utwierdzała go w decyzji poślubienia przyjaciółki. W tym momencie chyba po raz pierwszy uświadomił sobie, że musi się jak najszybciej zdobyć na zerwanie z Honoratą. Od dawna już o tym wiedział, lecz dopiero tam w operze pod wpływem tej cudownej muzyki, zrozumiał, że bez Leny nie mógłby żyć.

— Jutro to zrobię, przyrzekam.

Ujął jej dłoń. Do końca jazdy ścisnął ją, prowadząc samochód jedną ręką. Poruszeni do głębi, milczeli przez całą drogę.

Dopiero pod jej domem Waldemar odezwał się:

— Zaprosisz mnie na drinka?

— Właśnie chciałam ci to zaproponować.

Gdy wysiedli z samochodu, objął ją mocno i namiętnie pocałował. Przytuleni udali się do jej mieszkania, uszczęśliwieni, że wreszcie zapadła ostateczna decyzja. Po wejściu do salonu padli sobie w ramiona. Wtuliła się w niego, a on pochylił głowę i zbliżył usta do jej włosów. Dotyk jego dłoni nappełniał ją błogością, a ciepło drugiej, obejmującej czule jej obnażone plecy, wywołało dreszcz, który przeszył ją aż do stóp. Całowali się zachłannie jak para nastolatków.

— Zostaniesz na noc? — spytała zdławionym ze wzruszenia głosem.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Ciarki przeszły jej po plecach, gdy rozpiął błyskawiczny zamek jej sukienki. Zerwała z niego koszulę i przywarła do niego tak mocno, jakby chciała połączyć się z nim w jedno. Momentalnie znaleźli się w łóżku, złączeni namiętnym uściskiem. Kochali się zapamiętale, zaspokajając



pragnienie, które paliło ich od początku znajomości. Stracili poczucie rzeczywistości. Szybowali nad ziemią po rozgwieżdżonym niebie, które nappełniało ich serca radością przebywania z cudowną tajemnicą jedynej prawdziwej miłości. Cały kosmos wirował wraz z nimi, emanując pięknem i szczęściem. Przenikali się nawzajem, wciąż nie mogąc się sobą nasycić, aż w końcu ogarnęło ich uczucie takiego zjednoczenia ciał i dusz, jakby znalazły swoje drugie połowy.

— Ukochana, najdroższa — szeptał. — Nikt i nic nas nie rozłączy.

— Jesteś wspaniała, cudowny... Jedyne — odwzajemniała jego czułe słowa. — Teraz dopiero wiem, co oznacza słowo „szczęście” i...

— Prawdziwa miłość — dokończył jej zdanie.

Oboje pragnęli, by ta noc trwała wiecznie. Zatraceni w sobie, raz po raz rozpływali się w niebycie.

Nie zmrużyli oka do rana, oszołomieni szaloną radością. Snuli marzenia i plany. Waldemar okazał się istnym księciem z bajki, odległym od wyobrażeń o inspektorze policji. Pod każdym względem był wyjątkowym człowiekiem, a przy tym — jak się okazało — bogatym. Rodzice pozostawili mu okazałą fortunę: dwupiętrową willę, antyki, cenne obrazy, lokaty finansowe, lecz on odkładał wydawanie pieniędzy do czasu założenia rodziny. Takich inspektorów policji nie spotyka się, nawet w powieściach czy filmach. Mimo poczucia wyobcowania, potrafił dostosować się do kolegów i przełożonych. Darzyli go sympatią i szacunkiem.

— Zamieszkamy w moim dużym domu z ogrodem — opowiadał Lenie z zapalem — w którym będą się bawić nasze dzieci. Jest to przedwojenna willa usytuowana w centrum Katowic, a mimo to w żywej przyrodzie, w bezpośrednim sąsiedztwie Parku Kościuszki. Byłaś w nim kiedyś?

— Nie, nigdy.

— Nie wyobrażasz sobie, jakie to wspaniałe miejsce — mówił z zachwytem. — Stare wiekowe drzewa, sosny, brzozy, lipy, buki. Wzdłuż ulicy Kościuszki, przy której stoi nasz dom, rosną rododendrony i azalie. Znajduje się w nim wspaniała aleja róż i przepiękne klomby kwiatowe. Są takie atrakcje jak zabytkowy drewniany kościółek, wieża spadochronowa i wiele innych, które sobie wspólnie obejrzymy. Wieczorem oświetlony jest nastrojowymi latarniami. Spodoba ci się tam, jestem pewien.

\*\*\*

Honorata już dawno zauważyła zmianę w zachowaniu Waldemara. Wykręcał się od spotkań, tłumacząc się nawałem spraw. A kiedy zastawała go w domu, unikał zbliżenia. Domyślała się, że ją zdradza. Jednak trudno jej było w to uwierzyć. Przekonana była zawsze, że on poza nią świata nie widzi. Ta

atrakcyjna kobieta, otoczona adoratorami, przeżyła niejedną miłosną aferę i nieraz była bliska zerwania z Waldemarem, lecz on nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ zaabsorbowany był pracą. Wracała jednak do niego, bo stanowił dla niej stałą, spokojną przystań w jej burzliwym życiu. Zawsze mogła na niego liczyć. Był jej szczerze oddany i chciał się z nią ożenić, co w przypadku innych kochanków nigdy nie wchodziło w rachubę. Gdy przywiedła jej uroda, a lepszy kandydat na męża wciąż się w jej życiu nie zjawiał, zdecydowała się na małżeństwo z Waldemarem, chociaż nie był jej najlepszym kochankiem. Jednak rozsądek zwyciężył. Mieli ze sobą wiele wspólnego, nigdy się nie kłócili, ponieważ on jej wymówki traktował ze zrozumieniem. Doszła do wniosku, że czas najwyższy ustabilizować się u jego boku.

Ta próżna kobieta wiecznie domagała się adoracji i uwielbienia, którego nagle zabrakło jej ze strony Waldemara. Nie mogła wprawdzie pogodzić się z myślą, że jest zainteresowany inną kobietą, jednak zbyt dobrze go znała, aby nie wiedzieć, że po ślubie zerwie z kochanką. Pewna była jego przywiązania i uczucia.

Gdy jednak zjawił się u niej z ogromnym bukietem oryginalnie skomponowanych kwiatów, poczuła zaniepokojenie. W napiętej atmosferze popijali kawę, gdy nagle oznajmił jej, że znalazł miłość swojego życia. Serce podskoczyło jej do gardła. Gorące powietrze zatłoczonego ciemnymi, ciężkimi meblami pokoju zaczęło ją dusić.

— Tak ci się tylko wydaje — mówiła zdenerwowana, ciężko oddychając. — To jest tylko takie krótkotrwałe zauroczenie. Chyba nie zamierzasz odwołać naszego ślubu? — spytała z niedowierzaniem. — Poczyniłam już przygotowania. Nie możesz tego zrobić! — krzyknęła nagle z wściekłością.

— Wybacz mi, proszę. Tak mi przykro, że cię zawiodłem. Zapraszam cię na pożegnalną kolację do dobrego lokalu. Rozstańmy się w zgodzie i pozostawmy przyjaciółmi — rzekł łagodnym tonem. — Zwrócę ci wszystkie koszty poniesione w związku z przygotowaniem do wesela.

— To niemożliwe! — Zerwała się z fotela, na którym siedziała. — Nie możesz się pochopnie wiązać z kobietą, której nie zdążyłeś dobrze poznać. W naszym wieku często dopada nas taka namiętność, biologiczno-chemiczna burza hormonów, ale to mija i wtedy wracamy do osób, do których jesteśmy przywiązani. Możemy odłożyć datę ślubu do czasu, kiedy się opamiętasz.

On również wstał z miejsca i delikatnie ją objął.

— To nie jest burza hormonów — zaczął jej tłumaczyć. — To... innego rodzaju siła. Przyciągająca nas od chwili naszego poznania. To prawdziwa miłość od pierwszego wejrzenia, o której każdy marzy, a tak niewielu ma szczęście ją przeżyć. Nie mogę z niej zrezygnować.

— Ty chyba oszalałeś! — krzyknęła, wrywając się z jego objęć. — Co się z tobą dzieje? To jakaś psychoza. Nie znam cię takiego. Zawsze byłeś rozsądny,

opanowany... A co ze mną?! Tak nagle przestałeś mnie kochać?

— Kocham cię, pozostaniemy przyjaciółmi, jednak to nie jest... Jakby tu powiedzieć... No... taka... erotyczna miłość. To jest tylko przyzwyczajenie, przywiązanie — przekonywał ją. — Nie możemy się pobrać. Nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Musisz się z tym pogodzić. Poznasz jeszcze prawdziwą miłość i wtedy mnie zrozumiesz. Będiesz mi wdzięczna, że nie związaliśmy się ślubem, bo teraz wiem na pewno, że między nami nigdy nie było prawdziwego uczucia. Przywiązaliśmy się do siebie przez te lata. To wszystko.

— Nie jesteś przyjacielem, tylko wrogiem! — krzyczała, czerwieniejąc z wściekłości. — Nie chcę cię znać! Jeszcze tego pożałujesz, ale będzie za późno. Nigdy ci nie wybaczę. Wyjdź! I nie pokazuj mi się więcej na oczy!

— Trudno, chciałem inaczej, jednak widzę, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Wyszedł bez pożegnania. W ogóle nie było mu jej żal, wręcz przeciwnie, spadł mu kamień z serca. Cieszył się, że ma to już za sobą.

Ona nie ma pojęcia o prawdziwej miłości. Nigdy mnie nie kochała. Szybko się pocieszy. Malowana lala, egoistka — myślał, lekko zbiegając ze schodów.

Rozpierała go radość. Przeszkoda na drodze do złączenia z jego drugą połową została pokonana.

— Już po wszystkim — poinformował ukochaną telefonicznie po wyjściu od Honoraty. — Zerwałem z nią. Jadę do ciebie.

— Cudownie! — wykrzyknęła ucieszona. — Czekam.

Poczuła się, jakby jej serce było lasem pachnącym żywicą i do jego gąszczu wdarł się nagle niczym światło słońca promień szczęścia.

— Jesteśmy wolni, jesteśmy wolni, możemy się pobrać! — śpiewała, tańcząc po pokoju.

Waldemar wszedł do samochodu i ruszył pełnym gazem. Niestety, po paru metrach musiał zatrzymać się w korku. Niecierpliwił się i denerwował. Spieszno mu było do ukochanej. W końcu samochody ruszyły i w krótkim czasie znalazł się pod blokiem Leny. Przez chwilę czekał na windę, a gdy nie przyjeżdżała, wbiegł po schodach na ósme piętro. Ona pewnie już nie może się mnie doczekać. Wykończą nas te cholerne korki — denerwował się.

Stanął pod jej drzwiami i nacisnął dzwonek, lecz ona mu nie otwierała.

— Lena, to ja! Otwórz! — krzyczał, waląc pięściami w drzwi.

Nie ma jej w domu — stwierdził zaniepokojony. Przecież to niemożliwe! Pół godziny temu z nią rozmawiałem. Czekała na mnie.

Zastanawiał się, co mogło się stać. Nic mu nie przychodziło do głowy. Przez jakiś czas stał pod drzwiami. W końcu zadzwonił do sąsiadów Leny.

Może coś będą wiedzieli? — pomyślał w panice.

Niestety, nie było ich w domu. Na klatce panowała irytująca cisza. Poczul się zupełnie bezradny. Raz po raz naciskał jedynekę, pod którą miał zakodowany numer jej komórki. Nie odpowiadała.

— Przecież czekała na mnie. Przecież czekała na mnie — powtarzał, chodząc nerwowo tam i z powrotem.

Może leży zemdlona na dywanie? — przyszło mu nagle do głowy. Muszę wejść do mieszkania — zdecydował.

Nie sprawiło mu to trudności, bo drzwi były tylko zatrzaśnięte. Nerwowo przeszedł przez pokoje, zajrzał też do łazienki.

Musiło się stać coś niezwykłego — myślał w popłochu. Jakiś telefon, pod wpływem którego wybiegła z mieszkania, nie zamykając go na klucz.

Zastanawiał się rozpaczliwie, co dalej robić. Upłynęło sporo czasu, nim zdecydował się wrócić do siebie i czekać na jej telefon.

Wróci do domu, zadzwoni i wszystko się wyjaśni — pocieszał się. Dopiero, jeśli nie odezwie się w ciągu dwu godzin, zacznę jej szukać — postanowił.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że przydarzyło się jej coś złego. Gdy jednak znalazł się w swoim mieszkaniu, nie mógł się opanować, by nie próbować raz po raz dodzwonić się do niej, lecz ona się nie zgłaszała. Siedział jak na szpilkach, oczekując na jej telefon.

## Rozdział 32

Po telefonie Waldemara uszczęśliwiona Lena chodziła nerwowo po pokoju. Nie mogła się go doczekać. Ciekawa była, jak przebiegła jego rozmowa z Honoratą. Gdy usłyszała dzwonek u drzwi, natychmiast otworzyła. Przed nią stanęli dwaj mężczyźni w ciemnych okularach. Błyskawicznie zakneblowali jej usta i zarzucili na głowę czarny kaptur. Poczowała, że się dusi, po czym straciła przytomność. Kiedy ją odzyskała, siedziała związana na krześle z zakneblowanymi ustami w ciemnym pomieszczeniu bez okien. Zorientowała się, że została porwana. Sparaliżowało ją przerażenie. Raz po raz krztusiła się śliną. Czarne myśli kłębiły się w jej głowie:

To pewnie jacyś bandyci, którzy będą teraz Waldka szantażować, by umorzył śledztwo przeciw ich kumpłowi. A co się stanie ze mną, jeżeli on nie jest w stanie tego zrobić? Zabiją mnie!

Po policzkach spływały jej łzy. Była na dnie rozpacz.

A może chodzi tylko o okup? Głupia jestem. Waldek potrafi ich wyśledzić — pocieszała się. — Spokojnie, spokojnie, Walduś na pewno już mnie szuka i niedługo uwolni — starała się opanować.

Po jakimś czasie zazgrzytał klucz w zamku. Do ciemnicy ktoś wszedł i zapalił nagle światło. Ujrzała mężczyznę w kominiarce.

Stanął przed nią i wyjął jej z ust knebel.

— Proszę się uspokoić. Nic pani nie grozi. Nie zamierzamy ściągać sobie na kark policji. Porozmawiamy tylko i wróci pani do domu — rzekł spokojnym tonem.

— Chce mi się pić — z trudem wydobyła głos ze ściśniętego przerażeniem gardła.

— No, niestety. Nie ma tu nic do picia.

— Kim pan jest? Dlaczego mnie porwaliście? — pytała szczękając zębami.

— Jestem przyjacielem Friedricha Polotzka — powiedział stłumionym głosem, który dochodził do niej jak zza świątów. — Dlaczego go pani zabiła?! — krzyknął nagle.

Trzęsła się ze strachu. Z trudem wydobyła z siebie głos:

— To był wypadek. On chciał mnie udusić, więc chwyciłam lampę i uderzyłam go nią w głowę.

— A dlaczego on chciał panią zabić?

Milczała. Przed oczami latały jej czarne płaty. Zdawało się jej, że znów zemdleje.

— To ja pani powiem — rzekł mężczyzna. — Groziła mu pani, że doniesie na niego do ABW, że jest niemieckim agentem z powodu jego kontaktów

z Ruchem Autonomii Śląska. Mówił nam o tym. To kompletna bzdura, ale mogłaby ściągnąć na nas przykrości.

„Agentka z miłości” — przeleciało jej przez głowę. Zdawało się jej, że stoi przed nią diabeł, który ją tak nazwał.

— Nie będę pani zamęczał pytaniami, ponieważ wszystko o pani wiemy. Znamy każdy pani krok i każde słowo. Wiemy, że jeszcze pani nie spełniła tej groźby. Ale jest pewien problem. Obawiamy się, że w końcu nie wytrzyma pani i zwierzy się swojemu przyjacielowi. A to byłoby dla nas niebezpieczne. Na szczęście nie wie pani o nas zbyt wiele, jednak nawet to niewiele mogłoby ściągnąć na nas kłopoty.

Mężczyzna znów podniósł głos:

— Ostrzegam panią! Jeżeli piśnie mu pani choć słówko... Jeżeli powie mu pani o porwaniu... Chyba nie muszę mówić, co się z panią stanie. Zrozumiano?!

— Tak — wydusiła z siebie z trudem, spuszczać głowę.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia. Myślę, że wystarczyła ta godzinka w ciemnicy, by zrozumiała pani, że jest w naszej mocy. To powinno też wystarczyć, by milczała pani jak grób do końca życia. I niech sobie pani nie wyobraża, że pani przyjaciel jest w stanie panią obronić. Może mi pani wierzyć, nie będziemy mieli problemu z zamknięciem pani ust na zawsze. To będzie zbrodnia doskonała. Tak jak doskonałe było pani porwanie. Nikt nas nie widział. Nikt nie zauważył, kiedy wnieśliśmy zemdloną do samochodu. Ale obiecuję, że nie spotka pani nic złego, jeśli będzie pani trzymała język za zębami i nie zwierzy się ukochanemu z tych bzdurnych posądzeń wobec ruchu autonomii.

Zawiązał jej oczy. — Teraz wyprowadzę panią i zawiozę w poblize postoję taksówek, skąd wróci sobie pani spokojnie do domu — zakończył rozmowę.

Uwolnił ją z więzów i wręczył jej torebkę, którą widocznie zabrali z jej mieszkania.

Gdy znalazła się w domu, padła wykończona na kanapę. Zdawało się jej, że białe ściany salonu zamieniły się w mleko, w którym topi się jak mucha. Oddychała głęboko, starając uwolnić się od tej wizji.

Podśluchy, podśluchy — dudniło jej w głowie. Wszędzie podśluchy, w mieszkaniu, w gabinecie, w samochodzie... Jezu, Jezu, jestem w matni. Oni wszystko o mnie wiedzą. Śledzą, podsłuchują... Założyli mi na usta kaganiec jak psu... Co ja teraz zrobię? Jak żyć w takim diabelskim kręgu? To był Polak. Mówił jak wykształcony człowiek — uświadomiła sobie. — Co to za ludzie? Spiskują z niemieckimi „wypędzonymi”. Ale byłam głupia, że nie posłuchałam Magdy i dałam się opętać przez Friedricha... Boże, Boże, co ja teraz zrobię? Oszaleć można! Żebym tylko znów nie zwariowała!

Słaniając się, brodząc w mleku, podeszła do barku i wyjęła butelkę koniaku. Napelniła kieliszek. Łyknęła sporo i po chwili przeszło to straszne uczucie. Znów znalazła się w swoim salonie. Wyjęła z torebki komórkę.

Boże! — Złapała się za głowę. Waldus przez cały czas do mnie wydzwaniał. Był tu i mnie nie zastał. Teraz się niepokoi — myślała spanikowana. Co ja mu mam powiedzieć? Co ja mu mogę powiedzieć? Nic. Nie wolno mi pisnąć ani słówka.

W tym momencie zadzwoniła komórka. To on! — Ucieszyła się.

— Zabierz mnie z tego mieszkania! — krzyknęła.

— Zaraz u ciebie będę! — Zdecydował się natychmiast.

Jechał jak szalony. W dziesięć minut przebył drogę ze śródmieścia na osiedle. Już w progu rzuciła się w jego ramiona, zanosząc się szlochem.

— Jestem przy tobie — uspokajał ją. — Już ci nic nie grozi. Co się stało?

— Nie pytaj, tylko jedźmy do ciebie — powiedziała, łkając.

W samochodzie przytuliła się do niego i milczała.

— Cała drzysz. Co się stało, kochanie?

— Powiem, jak będziemy na miejscu.

Waldemar mieszkał w willi, którą odziedziczył po rodzicach. Po ich śmierci niczego nie zmieniał. Antyczne meble, cenne obrazy dawnych mistrzów zrobiły na Lenie ogromne wrażenie. Oszołomiona i oczarowana rozglądała się po ogromnym salonie. Przez moment zapomniała o porwaniu. Poczowała się bezpiecznie.

— Jak tu przytulnie u ciebie, pięknie, bogato, elegancko — zachwycała się, siadając na biedermeierowskiej kanapie. — Nie wiedziałam, że masz taki wspaniały fortepian. Nic mi nie mówiłeś, że umiesz grać.

— Nie umiem. Matka na nim grała. Teraz będzie twój... To wszystko, co tu widzisz stanowi dorobek całego życia moich rodziców — wyjaśnił, ucieszony, że ona się uspokoiła. — Jest tu wiele wspaniałych urządzonych pokoi. Zaraz je sobie obejrzysz. Ale przedtem powiedz, co się stało. Napijesz się koniaku?

— Chętnie. Ale tylko odrobinę, bo wypiałam już trochę w domu... I ty sam utrzymujesz porządek w takim dużym domu?

— Rodzice mieli wspaniałą gosposię, która od czasu ich śmierci przychodzi do mnie dwa razy w tygodniu. Sprząta i zawsze gotuje dla mnie coś smacznego. Będziemy mieli na kolację pyszny bigos... Powiesz mi wreszcie, co się stało? — spytał, obejmując ją czule.

— Najpierw ty mi powiedz, jak zachowała się Honorata — znów wymigała się od odpowiedzi.

— Wściekła się. Urażona ambicja, nic więcej. Zrozumiałem, że ona mnie nigdy nie kochała. Szybko się pociesz.

— Nie zrobiła ci sceny?

— Wyrzuciła mnie za drzwi i powiedziała, że nie chce mnie już więcej widzieć, z czego bardzo się ucieszyłem. Niepotrzebnie mieliśmy wobec niej skrupuły... Powiesz mi wreszcie, co się stało? Umieram z niepokoju.

— Najpierw napiłabym się herbaty.

— Dobrze, mam oryginalną angielską. Chodź, zobaczysz, jaką kuchnię będziesz miała.

— Wspaniała, przestronna, funkcjonalna — mówiła, przyglądająca się szafkom.

— Są z tak zwanej sosny antycznej. Matka długo takich szukała, zanim znalazła w końcu w Internecie.

Gdy usiedli w kuchni przy herbacie, Waldemar ujął jej dłonie.

— Powiedz wreszcie, co się stało, bo wyobraźnia podsuwa mi straszne rzeczy.

— Zamierzam zostać u ciebie na noc — oznajmiła wymijająco. — Boję się wracać do domu.

— Przerażasz mnie. Boisz się wrócić do swojego mieszkania? Dlaczego? — pytał zaskoczony, potrząsając jej dłońmi. — Mów wreszcie.

— Wybacz, na razie nie mogę. Muszę zebrać myśli... Powiem, jak... A co, nie chcesz, żebym została na noc?

— Cieszę się, że zostaniesz, tylko jestem przerażony twoim zachowaniem. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co ci się przydarzyło.

— Wszystko ci opowiem, ale to będzie przykra historia. Boję się, że zniechęcisz się do mnie.

— Ukrywasz przede mną coś ważnego? — spytał z niepokojem.

— Tak. Coś złego.

— Opowiadaj. Zamieniam się w słuch.

— Wolałabym, żebyśmy najpierw pojechali po moje rzeczy, bo ja już tam nie wrócę.

— Jak to? Chcesz u mnie zamieszkać? — Patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Jeśli się na to zgadzasz.

— Ależ oczywiście — zapewnił ją skwapliwie. — Tylko... Dlaczego tak nagle? Musiało się coś straszego zdarzyć... Dobrze... A jak na to zareagują twoi rodzice?

— Jakoś im to wytłumaczę. Pojedziemy ich odwiedzić. Ucieszą się. Strasznie się martwili, że już nigdy nie wyjdę za mąż. Mama przygotowuje wspaniałe przyjęcie na twoją cześć.

— Chcesz natychmiast zlikwidować swoje mieszkanie? — pytał dalej osłupiały.

— Jak najszybciej.



— A teraz wyjaśnij mi wreszcie, dlaczego? Nie wykręcaj się od odpowiedzi. Nalegam.

W tym momencie odezwała się jego komórka. Słuchał ze zmienionym wyrazem twarzy.

— Zaraz będę na miejscu.

— Muszę cię zostawić samą — zwrócił się do niej zaaferowany. — Widzisz, co cię czeka, jak będziesz ze mną. Ale to na szczęście nie zdarza się zbyt często o tej porze. Postaram się jak najszybciej wrócić. Może pojechałabyś tramwajem w tym czasie do siebie i wzięła najpotrzebniejsze rzeczy? Wróciłabyś swoim samochodem... To na razie — ucałował ją i skierował się do wyjścia.

— Nie pojedę tam sama. Boję się. Poczekam na ciebie — krzyknęła za nim.

Zbulwersowany tym oświadczeniem, wytrzeszczył na nią oczy, po czym bez słowa wyszedł.

## Rozdział 33

Lena wróciła do salonu. Usiadła na sofie, oparła się łokciami na stoliku i złapała się za głowę. Co ja mu mam powiedzieć? — Zastanawiała się zaaferowana. Nie wiadomo, jak zareagowałby na to wszystko. Z tego mogłaby wyniknąć straszna afera.

Wypiła do dna pozostawiony w kieliszku koniak i zaczęła chodzić tam i z powrotem po przestronnym pokoju. Nie potrafiła wymyślić żadnego kłamstwa, natomiast prawdy o porwaniu nie mogła mu wyjawić.

Gdy po pewnym czasie zazgrzytał klucz w zamku, wciąż nie wiedziała, jak wytłumaczyć swoje zachowanie. Pobiegła do przedpokoju i rzuciła mu się na szyję.

— Jesteś wreszcie! — wykrzyknęła. — Tak się denerwowałam! Mów, co się stało?

— Ewidentne samobójstwo. Nie będziemy mieli problemów z tą sprawą... Umyję tylko ręce i możemy zasiąść do kolacji, rzekł, wchodząc do łazienki.

Kiedy zabrali się do przygotowywania posiłku, o nic jej pytał. Dopiero przy stole, zajadając odgrzany bigos, powiedział:

— Widzę, że masz trudności z opowiedzeniem mi, co się wydarzyło, więc będę ci zadawał pytania. Powiedz, dlaczego boisz się przebywać w swoim mieszkaniu.

— Mam podsłuchy — odpowiedziała, zdobywając się na odwagę. — Jestem inwigilowana, rozumiesz?

Waldemar przerwał jedzenie, odsunął talerz i pokiwał ze smutkiem głową. Jest tak, jak się domyślałem — skonstatował. Powróciła jej dawna psychoza. Jednak musiało się coś dramatycznego wydarzyć, bo przecież dotąd cieszyła się pełnią zdrowia psychicznego — zastanawiał się.

— Powiedz mi, skąd ci to przyszło do głowy? Może ci się tak tylko wydaje? — spytał.

— Wiem to na pewno — odpowiedziała.

— Dobrze, ale gdzie byłaś? Przecież umówiliśmy się, że będziesz na mnie czekała.

— Tego nie mogę ci powiedzieć! Boję się! — krzyknęła i zaczęła płakać.

Wstał od stołu, objął ją i pogładził po głowie. — Chyba coś ci się wydaje. Uspokój się. Nie płacz... Będzie dobrze... To psychoza. Byłaś w klinice psychiatrycznej. Pojedziemy jutro do lekarza. Po paru tabletkach wszystko mi opowiesz.

Opuściła głowę i też odsunęła swój talerz. Zastanawiała się, czy nie lepiej nic nie mówić i zgodzić się na wizytę u psychiatry. Uspokoila się, lecz milczała. On wrócił na miejsce i siedział w zamyśleniu zmartwiony.

Gdy posprząтали ze stołu i pozmywali, objął ją.

— Nie ma sensu jechać teraz do twego mieszkania — powiedział łagodnym tonem. — Włóżysz na noc moją koszulę. A jutro zadzwonisz do gabinetu, że jesteś chora i z rana pojedziemy do mojego znajomego psychiatry. On ci pomoże. Całkiem możliwe, że już po jednej tabletki przestaniesz się bać swojego mieszkania. No i... Zobaczymy, co dalej... Teraz weźmiemy prysznic i pójdziemy spać.

Pogładził ją po głowie i ucałował. Lena w dalszym ciągu milczała.

Chyba powinnam mu zaufać i zdobyć się na wyznanie całej prawdy, jak na spowiedzi — zastanawiała się.

Sypialnia, w odróżnieniu od dość ciemnego biedermeierowskiego salonu, wyposażona była w białe meble w stylu empire, co stwarzało przytulną, relaksową atmosferę.

Gdy Lena znalazła się w ramionach ukochanego, zalała ją fala szczęścia.

Ale byłam głupia, że nie chciałam mu nic powiedzieć — pomyślała wzruszona. On nigdy się do mnie nie zniechęci. Wszystko zrozumie. Wszystkiemu zaradzi. Przy nim jestem bezpieczna.

— Nie musimy jechać do psychiatry — powiedziała, tuląc się do niego. — Wybacz, że nie chciałam ci opowiedzieć, co się zdarzyło... Wyobraź sobie, że zostałam porwana.

— To straszne! — krzyknął. — Cieszę się, że chcesz o tym mówić — dodał spokojnym tonem. — Tak się martwiłem, kochanie, że wróciła twoja psychoza i że niczego z ciebie nie będę w stanie wydobyć.

— Dwaj osobnicy wtargnęli do mojego mieszkania. Zarzucili mi kaptur na głowę i uprowadzili w jakieś miejsce, gdzie zagrozili mi, że jeśli ci opowiem o związkach Friedricha z ruchem autonomii, to...

— O Boże! Teraz rozumiem, dlaczego tak strasznie się bałaś — wtrącił Waldemar, przytulając ją mocniej.

— On był chyba był jakimś... agentem pod przykrywką biznesmena — ciągnęła łamiącym się głosem — i miał tu na Śląsku całą siatkę donosicieli, którzy pomagali mu w robieniu wody z mózgu tym wszystkim autonomistom w nadziei, że po uzyskaniu autonomii Śląsk przyłączy się do Niemiec.

— Co ty opowiadasz, dziecińko? On nie był agentem tylko biznesmenem. A ci ludzie, którzy cię uprowadzili, to jacyś popaprańcy, którzy coś knują z niedobitkami „wypędzonych” i ich potomkami. Oni się strasznie boją, że ABW ma ich na celowniku, ale mają minimalne poparcie w śląskim społeczeństwie. W ostatnich wyborach samorządowych nie zdobyli żadnego mandatu.

— Nie wiadomo, jak będzie w obecnych.

— Nie zwracaj sobie tym głowy.

— Łatwo powiedzieć! Oni twierdzili, że znają każdy mój krok i każde słowo. Wiedzą, że dotąd niczego nie zdradziłam, ale obawiają się, że tobie wszystko opowiem i wtedy będą mieli kłopoty. Grozili, że mnie sprzątną, jeśli pisnę choć słówko.

— Blefowali, nic ci nie zrobią.

— Nie blefowali. Skąd wiedzieliby, że go zabiłam, gdyby nie było w mieszkaniu podsłuchu. Mówiłeś, że nikt się o tym nie dowie, prawda?

— Wiedzieli to od jego żony. Zeznała, że groziłaś mu zastrzeleniem, jeśli do ciebie nie wróci. Był przekonany, że jesteś w stanie donieść na niego do ABW, co by mu bardzo zaszkodziło w prowadzeniu interesów w Polsce, żył w ciągłym strachu, więc w końcu postanowił z tym skończyć. Jego żona wierzyła mu, że grozisz mu zastrzeleniem, ale ja nie. Domyśliłem się, że groziłaś mu, że doniesiesz do ABW, że jest agentem. Tym jego przyjaciółom też nietrudno było się domyślić, dlaczego chciał cię zabić. Więc chcieli cię zastraszyć, żebyś milczała... Nic ci z ich strony nie grozi. Tym bardziej, że niemieckie organy ścigania też tropią tych jakichś nazistów czy neonazistów. Przestraszyli się, że ABW mogłaby zająć się powiązaniami tego twojego biznesmena. Rozumiem, że po takim przeżyciu, boisz się być sama.

— Oni grozili, że mnie sprzątną. Chcą mieć pewność, że nigdy się przed tobą nie wygamam ze swoich podejrzeń.

— Bzdury. Nic ci nie zrobią, bo ściągnęliby sobie na głowę śledztwo. Chcą cię zastraszyć. To wszystko. Nic ci z ich strony nie grozi. Śmiało możesz zostać w swoim mieszkaniu do czasu, aż spokojnie je zlikwidujemy i zorganizujemy twoją przeprowadzkę. Nie wpadaj w panikę, bo nie masz powodu — przytulił ją do siebie mocniej.

— Więc on chciał cię zabić, bo go szantażowałaś, że na niego doniesiesz, tak jak się domyśliłem? — spytał po chwili.

— Tak. Szantażowałam go, żeby do mnie wrócił.

— A skąd ci przyszło do głowy, że jest agentem? Przecież nie mógł ci tego powiedzieć?

— No... wiedziałam, że nie, ale chciałam go przestraszyć. Nie masz mi tego za złe?

— No, nie jestem zachwycony, ale cię rozumiem. To był twój pierwszy kochanek, więc straciłaś dla niego głowę... Wiesz chyba, że nic nie jest w stanie zniechęcić mnie do ciebie... — Zaśmiał się nagle, przytulając ją mocniej. — Ty głuptasie! Wiedziałem o tym. Nie byłbym inspektorem policji, gdybym tego nie wykrył. Jednak nie znalazłem żadnych dowodów na jego agenturalną działalność, bo inaczej musiałbym to zgłosić do ABW, a to byłoby dla ciebie kłopotliwe. Byłabyś przesłuchiwana.

— Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, czego nie wiesz. Miałam straszne

wyrzuty sumienia. Tak mnie to dręczyło, że zaczęłam halucynować diabła, który nazywał mnie „agentką z miłości”. Friedrich wywiózł mnie wtedy do niemieckiej kliniki psychiatrycznej, bo obawiał się, że powiem o tym polskiemu psychiatrze.

— Moja ty kochana agentko! To też wiedziałem. Dowiedziałem się na podstawie rozmów w twojej komórce. Mądrze zrobiłaś, nie mówiąc mi o tym, kiedy cię przesłuchiwałem. Wtedy musiałbym to przekazać służbom specjalnym. Męczyliby cię, indagowali... I nie wiadomo, co by z tego wynikło. Mnie te sprawy zupełnie nie interesują. Ty też przestań o tym myśleć. On nie był żadnym agentem, tylko należał do Związku Wypędzonych, a oni popierają Ruch Autonomii Śląska.

— A ja się bałam, że z tego wyniknie straszna afera.

— Wynikłaby, gdyby ci się coś złego przydarzyło. Oni zdają sobie z tego sprawę i nie będą cię więcej niepokoić.

— No dobrze. Ale skąd wiedzieli o nas?

— Widocznie po jego śmierci śledzili cię. Jednak teraz są przekonani, że po tym porwaniu będziesz milczała jak grób i przestaną się tobą interesować. To zamknięty rozdział w twoim życiu.

— Jesteś taki mądry! Co ja bym bez ciebie zrobiła? Wierzę ci, że oni dadzą mi spokój — ucieszyła się i zaczęła go obcałowywać.

Poddali się wreszcie rozkoszy, której nie mogli się już doczekać.

## Rozdział 34

Kiedy Lena już po raz drugi poddała się rutynowej kontroli ginekologicznej u profesora Jelonka, mammografia wykazała coś niepokojącego i należało zrobić badanie onkologiczne. Po otrzymaniu wyników z ust profesora padły przeraźliwe słowa: nowotwór złośliwy.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Poczowała się, jakby ją rozdzielono obuchem. Przekonana była, że to wyrok śmierci. Zaaferowany lekarz tłumaczył jej, na czym będzie polegało leczenie, lecz do niej nic już nie docierało. Zrozumiała tylko tyle, że wyznaczył termin operacji.

Po wyjściu z gabinetu wsiadła do samochodu i wkrótce znalazła się na swoim osiedlu. Nie poszła do domu, nogi same poniosły ją do parku. Było pusto. Zbyt wczesna pora na spacerowiczów. Szła powoli, wdychając głęboko zapach wiosennego powietrza, wsłuchana w śpiew ptaków nawołujących się wzajemnie, ośmielonych pierwszymi wiosennymi promieniami słońca.

Wszystko budzi się do życia, a ja umieram — myślała z rozpaczą.

Z opuszczoną głową przyglądała się kwiatkom, rozsyanym na łące po obu stronach drogi. Wtem usłyszała odgłos ciężkich kroków.

— Jezus Maria! — krzyknęła, kładąc na sercu obie dłonie.

Odwróciwszy się błyskawicznie, ujrzała złowrogą postać biegnącego mężczyzny w czarnych dresach.

— Przestraszona? — spytał z szyderczą satysfakcją.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, wyprzedził ją i pobiegł dalej. Czar wiosny przysł. Rozszerzonymi z przerażenia oczami patrzyła za oddalającą się złowieszczą postacią.

Ten mężczyzna to... była śmierć, „*der Tod*” — pomyślała ze zgrozą. W języku niemieckim ma ona rodzaj męski.

Umilkł śpiew ptaków, zastąpił go szum w głowie wywołany wbitym w czaszkę słowem: „przestraszona”. O tak, bała się śmierci.

Idąc dalej, pogrążyła się w zadumie. Jakiś... inny wydawał się jej świat. Poczowała głęboki, przenikliwy smutek.

Boże, nie jestem w stanie się z tym pogodzić — myślała zdesperowana. To za wcześnie. To niemożliwe. Dlaczego miałbyś chcieć mojej śmierci? Teraz, przed ślubem z najwspanialszym w świecie mężczyzną, kiedy jestem taka szczęśliwa. Wiem. To kara za tę historię z Friedrichem. Co mam teraz zrobić? — Dudniło w jej głowie wciąż to samo pytanie.

Co jest najważniejsze? Jak przeżyć ten czas, który mi pozostał?... A może nie umrę?” — pocieszała się niepewnie. Może uda mi się wygrać batalię z rakiem?

Doszła do ulubionej ławki, przed którą rozciągał się klomb z bratkami. Usiadła, opuściła głowę i patrzyła na kwiatki niewidzącymi oczyma. Powtarzała w myślach jedno tylko zdanie: „Nie chcę umierać”.

Siedziała bezradnie dość długo. W końcu poczuła głód. Wstała i udała się w drogę powrotną do domu. Krok po kroku ogarniał ją niewytłumaczalny spokój. Tak, spokój. Zupełnie niezrozumiały w tej sytuacji. Lodowato i kojąco przenikający stopniowo wszystkie tkanki jej ciała, aż stało się jakieś... takie lekkie. Można by rzec nieważne, bez znaczenia. Co miało teraz znaczenie? Co było teraz ważne?

— Jedyne Boże — wyszeptała — czy jestem przygotowana na śmierć? Czy to będzie spotkanie z Tobą? Nie mogę sobie tego wyobrazić. Może powinnam się modlić? Ale nie potrafię. Od dawna już nie jestem w stanie klepać tych wyuczonych w dzieciństwie formułek.

Dusza jej była rozdwojona, coś bało się w niej, a równocześnie coś ufało, napełniało nadzieją. Była całkowicie rozdarta. Pragnęła zintegrowania tych dwu uczuć w pewność. Pewność wiary, że się nie podda, że przeżyje. W nadzieję pokonania nowotworu. Czowała, jak z wolna ogarnia ją wola walki o zdrowie. O życie.

Po powrocie do domu, weszła do pokoju i usiadła na kanapie. Nie odczuwała już głodu. Puściła płytę z Requiem Mozarta i zatopiła się w tej wspaniałej muzyce. Pod jej wpływem ogarnęło ją niezwykle uczucie. Poczuła, jak narasta w niej skupienie, jakby płynęła na fali ufności w morzu wieczności. Spokojnie myślała o śmierci, chociaż słyszała, jak pobrzękuje kosą. Była taka bliska, stała u drzwi.

Gdy skończyła się płyta, wyszła na balkon. Z rozrzewnieniem żegnała się ze wznoszącym się po jego lewej stronie pięknym świerkiem. Po chwili z westchnieniem wróciła z powrotem na kanapę.

Zastanawiała się nad przyczynami powstawania nowotworu. Doszła do wniosku, że są związane z psychiką. Tak. To ten niesamowity stres, te straszne przeżycia ją wykończyły.

Co oni jeszcze ode mnie chcą? Dlaczego się do mnie tak przyczepili? Co ja im złego zrobiłam? Przecież zabiłam Friedricha we własnej obronie... Chcieli mnie zastraszyć. Świetnie się im się to udało.

Zapadał zmierzch, a ona wciąż siedziała, nie odczuwając już głodu. Lubiła tę porę dnia łagodzącą ostrość konturów widzialnego świata, czyniąc go bliższym marzeniom. Rozmyślała o dotychczasowym życiu. Nie wybrała sobie czasu, miejsca ani okoliczności. Ani tego, jaka się urodziła. To opatrność wymyśliła dla niej określony scenariusz. Jednak zagranie roli, którą jej los wyznaczył, zależało od niej. Więcej — od niej też zależało, którą ze skromnych w jej przypadku możliwości wybierze, a było ich jednak kilka. Nie sądziła, żeby scenariusz ten zawierał takie sprawy jak choroba nowotworowa. Była niemal pewna, że to wina

jej niewłaściwego podejścia do życia, bo nawet, jeśli rak był w niej genetycznie zaprogramowany, to od niej zależało, czy zostanie uaktywniony. Miała nadzieję, że jej organizm mógłby go samoistnie pokonać, bez operacji, której się lękała.

Nagle zerwała się i pobiegła do kuchni. Zupełnie zapomniała, że zaprosiła Waldemara na kolację. Nie miała głowy do gotowania. Zaczęła przygotowywać chińskie danie z ugotowanym kurczakiem, którego miała w lodówce. Przez cały czas rozmyślała. Przypomniała sobie bulwersującą wypowiedź pewnej klientki, która była lekarką.

— Gdy przychodzi do mnie pacjent z chorobą, po krótkim, formalnym badaniu mówię mu, że jest zdrowy — zdradziła. — Jeśli w to uwierzy, samoczynnie zdrowieje, szybciej niż po jakiegokolwiek terapii. Wielu nie zjawia się po raz drugi. Są to ci, którzy mi uwierzyli. Uleczyła ich wiara.

Jeszcze jeden przykład przyszedł jej do głowy. Leżała w Szpitalu Miejskim w Bytomiu z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego. Miała wówczas szesnaście lat. Nazajutrz miała poddać się operacji, gdy zjawił się przy jej łóżku znajomy rodziców, klient jej ojca pracujący w tym szpitalu jako lekarz i zaniepokojony rzekł:

— Przeczytałem w planie zabiegów, że masz na jutro wyznaczoną operację. Musisz się natychmiast z tego wycofać. Powiedz, że się rozmyśliłaś. Czy ty wiesz, jaki to szok dla organizmu taka ingerencja?

— Ależ to jest konieczność, mogę umrzeć! — wybuchła, patrząc na niego ze zdumieniem.

— Co ty opowiadasz? — Skrzywił się. — Jaka konieczność? Ja miałem w życiu kilka takich ataków i do dziś żyję z wyrostkiem, który się w końcu uspokoił. Mój organizm sam sobie poradził z tym zapaleniem. Trzeba mieć zaufanie do swoich sił żywotnych.

Pożałowała, że go nie posłuchała. Po operacji rana jąrzyła i długo trwało, nim doszła do siebie. W dodatku okazało się, że w pierwszym odcinku jelita grubego znajduje się guz, który należało zoperować. Tym razem jednak nie zdecydowała się na operację. Gdy po jakimś czasie zrobiła badania, guz zniknął.

Zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle zdecydować się na operację. W telewizji widziała parę filmów o samoistnych uleczeniach raka. Należało jedynie w jakiś sposób — niestety nieznanym — pobudzić zdolność organizmu do samowyleczenia. Tacy cudownie uleczeni ludzie opowiadali, jak do tego doszło. Podkreślano rolę psychiki w tym procesie. Wiadomo, wiara czyni cuda. Przypomniała sobie, że i Chrystus powtarzał w Ewangelii: *Twoja wiara cię uzdrowiła*, i że było w niej też zdanie o tym, że wystarczyłaby tak mała wiara jak ziarnko gorczycy, by przenosić góry, czy coś w tym rodzaju. Jeden z delikwentów podkreślał rolę odżywienia. Mówił, że węglowodany i cukry wzmacniają nowotwór. Inny przemawiał do niego. Tłumaczył mu:



— No, co ci z tego przyjdzie, jak mnie wykończysz? Zginiesz razem ze mną.

Pewna kobieta twierdziła, że ani się nie modliła, ani nie jeździła do uzdrowicieli, w ogóle nic. A tuż przed wyznaczoną operacją okazało się, że rak znikł.

Największe wrażenie zrobił na niej dokumentalny film o pewnym młodym, utalentowanym katowickim wiolonczeliście. Stał na progu światowej kariery, gdy okazało się, że ma raka mózgu. Nie było innego wyjścia, jak wycięcie jednej czwartej tego najważniejszego organu, po czym cała lewa strona jego ciała została sparaliżowana. Odczuwał zaburzenia myślenia i mowy, poruszał się na wózku inwalidzkim. Tymczasem ojciec jego dowiedział się o niemieckim psychologu, który odnosił poważne sukcesy w leczeniu psychoterapią osób sparaliżowanych. Zawiózł do niego syna i ów psycholog nauczył młodego artystę samodzielnego poruszania się, a także płynnego mówienia. Jednak po pewnym czasie okazało się, że wiolonczelista ma w mózgu przerzuty. Czekala go śmierć, ponieważ nie wchodziła już w rachubę żadna operacja, więcej niż jednej czwartej mózgu nie można było usunąć. Lekarze byli bezradni. Tylko psycholog nie dał za wygraną. Doradził choremu, by wyobrażał sobie nieustannie, jak jego pozostałe zdrowe komórki mózgowe rozrastają się i wypierają rakowe. Uczył go tego podczas wizyt, które odbywały się dwa razy w tygodniu. Gdy młody mężczyzna po pewnym czasie udał się na badania, okazało się — ku osłupieniu lekarza — że komórki rakowe zniknęły. Opowiadał to w filmie ze łzami w oczach. Aczkolwiek jego lewa ręka pozostała sparaliżowana, to jednak prowadził normalne życie. Pozostała część mózgu doskonale funkcjonowała. Nie tylko wykładał w Akademii Muzycznej, lecz nawet koncertował. Wykonywał specjalnie dla niego skomponowane utwory na prawą rękę. Niewiarygodna była to historia, jednak całkowicie autentyczna. Matka tego młodzieńca była jej klientką.

Bardzo ją zawsze interesowały takie filmy. Oglądała też te o różnych uzdrowicielach i o uzdrowieniach religijnych, jak na przykład w Lourdes. Miała coraz to większe wątpliwości, czy powinna zdecydować się na operację. Wiedziała, że po chirurgicznej ingerencji nowotwór może się rozprzestrzenić, wystąpią przerzuty i nie będzie już ratunku.

Przypomniała sobie również inną klientkę, której opowieść stanowiła potwierdzenie jej hipotezy, że głównym winowajcą w tej chorobie jest stres. Była to starsza kobieta, u której wykryto nowotwór kiszki stolcowej Usunięto go, lecz po trzech latach okazało się, że ma raka macicy. Zwierzyła się jej, prosząc o dyskrecję, że jej jedyny syn popełnił przed trzema laty samobójstwo. Twierdziła z całym przekonaniem, że to wówczas zaatakował ją rak.

Czy warto poddawać się wyczerpującej operacji, przeżywać udreki chemoterapii, by przedłużyć życie o dwa, trzy lata? — zastanawiała się. Jeszcze, gdyby to było pewne, te trzy lata. Ale i to jest wątpliwe. Natomiast w przypadku

samoistnego wyleczenia można dożyć pięćdziesiątki!

Wierzyła w siłę wyobraźni i wiary. Zdawało się jej, że mogłaby samodzielnie zniszczyć nowotwór. Trzeba by tylko znaleźć w swojej psychice, w świadomości, w duszy żywotne siły, które go pokonają.

Przez cały czas, podczas tych rozważań czaiła się z tyłu głowy przeraźliwa myśl: Nici z naszego ślubu — myślała zrozpaczona. Jeśli poddam się operacji i chemoterapii, to nie wiadomo, jak długo trzeba będzie czekać, aż wyzdrowieję.

## Rozdział 35

Ogarnął ją rozdzierający żal. Czuli, że za chwilę się rozplacze. Na szczęście odezwał się dzwonek. Chińskie danie było gotowe. Zdjęła fartuszek i otworzyła drzwi. Waldemar stanął na progu z ogromnym, wiosennym bukietem, składającym się z czerwonych tulipanów, liliowych hiacyntów, żółtych narcyzów i innych drobniejszych kwiatusków. Rzuciła mu się na szyję. Łzy cisnące się jej do oczu znalazły upust. Rozplakała się żałośnie.

— Co się stało, kochanie — spytał z niepokojem. — Byłaś u lekarza po wyniki?

— Nie — skłamała. — Jutro pójdę. — Strasznie się boję, że ten guz jest złośliwy.

— Nie jest. Z pewnością nie jest — zapewnił ją. — Będzie dobrze.

Wspólnie nakryli stół i zasiedli do kolacji. Na środek postawili kwiaty.

— Mam już dla ciebie piękny pierścionek. Dostaniesz go w sobotę podczas naszego przyjęcia zaręczynowego — rzekł Waldemar, gdy zaczęli jeść.

— Powiesz mi, jaki?

— To będzie niespodzianka.

— Wiesz, martwię się, że musimy wstrzymać się ze ślubem, bo nie wiadomo...

— Dowiesz się wszystkiego jutro. Dopiero wtedy wybierzemy termin i zaczniemy przygotowania. Będzie dobrze. Zobaczysz. Nie przejmuj się

Jedli w milczeniu. Oboje byli przygnębieni, jakby zawisła nad nimi gradowa chmura. Jej choroba pomieszała im szyki. Musieli wstrzymać się z przygotowaniem do ślubu, a tak im było spieszo.

— Jutro muszę wcześniej wstać i zostawić cię samą, ale zadzwoń natychmiast po wizycie u lekarza — powiedział, gdy skończyli jeść.

— Oczywiście. — Zwiesiła głowę. Serce podchodziło jej do gardła, gdy myślała o tak brutalnym przerwaniu ich wspólnego szczęścia. Nie wiedziała, jak mu przekazać tę hiobową wieść. Zdawała sobie sprawę, że musi mu powiedzieć prawdę, lecz chciała to odwlec. Obawiała się jego reakcji.

A może powinnam pojechać do Lourdes? — przyszło jej nagle do głowy po wyjściu Waldemara. Ale po co? Nie wierzę w te cudowne uzdrowienia. Jednak...

Myślała o tym niemal całą noc. Usnęła dopiero nad ranem. Kiedy się obudziła, powróciła myśl o pielgrzymce. Gdy zastanawiała się, czy zdecydować się na nią, zerwała się nagle na równe nogi. Po chwili była już w samochodzie. Jechała do katolickiej księgarni, bo postanowiła nabyć jakąś książkę o Lourdes.

Zdecydowała, że dni dzielące ją od terminu operacji wykorzysta na pielgrzymkę. Nie miała wprawdzie zbytnej ochoty na odmawianie różańca, msze święte i inne modły, lecz chciała odetchnąć ożywczym powietrzem tego pięknego miejsca na południu Francji i pobyć wśród ludzi skazanych, tak jak ona, na śmierć.

Gdy była na miejscu, sięgnęła po pierwszą lepszą książkę o Lourdes. Na obwolucie przeczytała, że jest to świadectwo osoby niewierzącej. To mogło być interesujące. Nie namyślając się wiele, nabyła ją i spiesznie wróciła do domu, by jak najszybciej ją przeczytać.

Ów przypadkowy wybór okazał się trafny. Książka zainteresowała ją już od pierwszej strony. „Zła byłam na siebie, że dałam się namówić” — pisała autorka. „Pragnęłam jednak przynajmniej przed śmiercią, właściwie po raz pierwszy, spełnić prośbę matki, która wręcz błagała mnie o to. Miałam wyrzuty sumienia, że nie jestem dobrą córką, więc postanowiłam, choć raz poświęcić się dla niej. Nie wyobrażałam sobie, jak zniosę te wszystkie modły, msze, błagania o uzdrowienie. Przecież to bzdury. Nie wierzyłam w Boga, a cóż dopiero w Matkę Boską”.

Kobieta przeszła operację wycięcia piersi i ciężką chemoterapię, a czekało ją jeszcze wycięcie macicy, też zaatakowanej przez nowotwór. Rozprzestrzeniał się w jej organizmie w szybkim tempie, lecz na razie była zbyt osłabiona, by poddać się kolejnej operacji.

Lenie spodobał się sposób, w jaki przedstawiona była w książce historia objawień, chociaż trudno było jej uwierzyć w jej prawdziwość. Nie знаła jej dotąd tak szczegółowo. Wiedziała jedynie, że kiedyś dziewczynce o imieniu Bernadeta objawiła się tam Matka Boska i wskazała źródło, które do dziś leczy wszelkie choroby. W filmach o cudownych uzdrowieniach nie przedstawiano szczegółowo tej historii. Tymczasem autorka książki opisała ją w ciekawy sposób.

Ciekawa też była historia uzdrowienia sparaliżowanej młodej dziewczyny, która nie miała najmniejszej nadziei na uleczenie. Nie odmawiała modlitw, pogrążona była w apatii. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, podczas pewnego nabożeństwa wstała z wózka i zrobiła parę kroków. Tu nastąpił wstrząsający opis eksplozji nadziei świadków tego cudu i samej uzdrowionej. Niestety po paru dniach nieopisanego szczęścia dziewczyna znowu została sparaliżowana.

Jedna z wolontariuszek opiekujących się chorymi kobietami była szczególnie im oddana i nieustannie gorąco modliła się za nie. Nieustannie przebierała paciorki różańca. Pewnego dnia straciła przytomność. Podczas padania na ziemię osunęła się z jej głowy peruka. Okazało się, że nie ma włosów, bo przeszła chemoterapię. Tego samego dnia zmarła. Wiele wstrząsających opisów zawierała ta książka. Jej autorka też nie została uleczona, lecz umierała spokojnie.

„Zrozumiałam, że nie mogę czuć się pokrzywdzoną” — pisała — „lecz powinnam dziękować Bogu za przeszło pięćdziesiąt lat szczęśliwego, owocnego życia. Obserwując dzieci i młodych ludzi dogorywających ze spokojem, bez

najmniejszych oznak buntu, poczułam się jak wyjątkowa niewdzięcznica.”

Fascynujący był opisany przez nią proces jej skomplikowanego nawrócenia, zawdzięzanego wspaniałym, podniosłym nabożeństwom, procesjom, towarzyszącej im muzyce, a również pięknu tamtejszej natury, zwłaszcza podczas wycieczki w Pireneje stanowiącej stały punkt programu pielgrzymek. Ciekawe także były sylwetki jej towarzyszek niedoli, składających się z nieuleczalnie chorych, podobnie jak ona.

— Trzeba umierać — westchnęła Lena z rezygnacją, odkładając książkę — Niemniej do Lourdes pojadę. Tam jest tak ładnie. No i... Chyba łatwiej będzie mi pogodzić się ze śmiercią po tej pielgrzymce, podobnie jak autorce tej książki.

Wyszła na balkon, stanęła przy poręczy i zanurzyła się wszystkimi zmysłami w zieleni otaczających go drzew. Zdawało się jej, że jest malutkim wróbelkiem siedzącym na gałęzi.

— Boże, jaki piękny jest ten świat. Żal go opuszczać.

Wróciła do pokoju, wyjęła z barku koniak, napełniła do połowy kieliszek, upiła trochę i puściła płytę z IX Symfonią Beethovena. Usiadła na kanapie i, popijając od czasu do czasu, utonęła w dźwiękach. Czowała, jak pod wpływem tej podniosłej muzyki wraz z alkoholem sączy się stopniowo do jej krwi nadzieja.

Nie umrę, wyjdę z tego — myślała, postanawiając walczyć o uzdrowienie. Poddam się operacji i chemoterapii. Nasza miłość zwycięży.

Gdy skończyła się płyta, zadzwoniła do Waldemara.

— Niestety, to jest nowotwór złośliwy. Mam już wyznaczony termin operacji. Nie mówmy o tym nikomu, nie chciałabym popsuć atmosfery zaręczyn. Rodzicom powiem dopiero, jak udam się do szpitala. Przed tym chciałabym pojechać na pielgrzymkę do Lourdes. Zdam przed terminem operacji.

— Wierzysz w te cudowne uzdrowienia? — spytał drżącym głosem, załamany tą wiadomością.

— Nie. Jednak... Na wszelki wypadek chciałabym tam pojechać.

— No dobrze. Przyjadę do ciebie wieczorem i zabiorę cię do siebie. Pani Rozalia ulepiła pyszne pierogi z kapustą i grzybkami. Porozmawiamy o tej pielgrzymce.

Zadzwoniła jeszcze do Duszpasterstwa Pielgrzymkowego Archidiecezji Katowickiej, którego telefon znalazła w Internecie i zgłosiła się na pięciodniową pielgrzymkę zaczynającą się w poniedziałek, po przyjęciu zaręczynowym. Po odłożeniu słuchawki opróżniła kieliszek i ponownie napełniła go do połowy. W miarę dalszego picia zwątpienie skutecznie wypierało z jej duszy nadzieję. Z niechęcią myślała o zaręczynach, które miały odbyć się za dwa dni. Wszystko było już zapięte na ostatni guzik. Zamówione przyjęcie w wytwornej restauracji, lista zaproszonych krewnych i przyjaciół. Nowa suknia wisiała w szafie. A ona zamiast się cieszyć, snuła ponure rozważania.

Po co te szumne zaręczyny? Po co wydawać tyle pieniędzy? To był mój pomysł. Chciałam z wszystkimi podzielić się swoim szczęściem. Trzeba było tylko we dwoje zjeść kolację w lokalu i koniec. Chyba przeczuwałam, że to będzie moje przyjęcie pożegnalne przed śmiercią.

Waldemar zastał ją zalaną łzami.

— Jak mogłaś się tak załamać? To nie jest wyrok śmierci. Rak piersi jest niemal całkowicie uleczalny — pocieszał ją, całując po wejściu do mieszkania.

— To ci przyjaciele Friedricha sprowadzili go na mnie złą energią — mówiła przez łzy. — Chcą mnie zniszczyć za to, że go zabiłam — rzekła, tuląc się do niego.

— Jak możesz wierzyć w takie bzdury? — Przeraził się, że ona znowu wpadnie w psychozę.

— Oni mnie wciąż mają na oku. Nasyłają na mnie do gabinetu klientki, które wykańczają mnie psychicznie. A rak powstaje ze stresu.

— Uspokój się, kochanie. Jutro pojedziemy do psychiatry. Znam bardzo dobrego, który zajmuje się sądowymi opiniami.

— Nigdy w życiu! — krzyknęła, uwalniając się z uścisku i siadając na kanapie. — Nie chcę mieć już nigdy więcej do czynienia z psychiatrami. To nie jest psychoza. Uwierz mi. Oni naprawdę chcą mnie wykończyć. Nie darują mi tego. Boją się ciebie, więc postanowili mnie uśmiercić złą energią.

Usiadł w fotelu naprzeciw niej, poważnie zmartwiony. Zasepił się. Rozmyślał nad tym, co dalej robić. Po zastanowieniu rzekł: — Nie zamierzam cię siłą ciągnąć do psychiatry, lecz nie sądzę, że ta pielgrzymka to dobry pomysł. W takiej masie ludzi mogą się znaleźć osoby, co do których... — przerwał, nie wiedząc, jak to określić, by jej nie zdenerwować — co do których będziesz miała podejrzenia, że są związane z twoimi prześladowcami. To by cię kompletnie zdołowało. Mam lepszy pomysł. Zróbmy sobie w tym czasie wypad we dwoje do Wiednia. Przeniesiesz się w inny świat. W świat luksusu, wspaniałej architektury, przepięknej muzyki. Pójdziemy do opery, do filharmonii. Posłuchamy doskonałych śpiewaków i słynnych wiedeńskich filharmoników. Pochodzimy po tych wspaniałych kościołach, pospacerujemy po otaczającym miasto lesie, podskoczmy w pobliskie góry, zwiedzimy całą tę malowniczą okolicę.

— Naprawdę mógłbyś się na parę dni wyrwać? — Powycierała łzy, a twarz jej się rozjaśniła.

— Złożyło się tak szczęśliwie, że dziś zakończyłem długie i trudne śledztwo. Już od jutra wezmę urlop i będziemy cały czas razem. Zaraz przeniesiesz się do mnie, żeby spokojnie przygotować się do przyjęcia zaręczynowego. Tutaj dręczyłyby cię te ponure myśli. W ogóle nie ma sensu, żebyś dalej mieszkała sama. Po twojej operacji zajmę się przeprowadzką. Opróżnimy pokój zajmowany do śmierci moich rodziców przez Rozalię i urządzisz go sobie swoimi meblami. Od

razu damy ogłoszenie o sprzedaży twojego mieszkania. Jak tylko dojdiesz do siebie po chorobie, weźmiemy uroczysty ślub w Bazylice Mariackiej w Krakowie, tak jak to sobie wymarzyłaś.

— Wspaniale wszystko zaplanowałaś — ożywiła się Lena. — Miejmy nadzieję, że szybko wyzdrowieję.

— A teraz pakuj się. Jedziemy do mnie.

## Rozdział 36

Przyjęcie odbyło się w doskonałym nastroju. Wszyscy oglądali przepiękny pierścionek z białego złota z lazurowym topazem w kształcie serduszka i podziwiali wspaniałą parę. Nikt się nie domyślał choroby Leny. Ona sama zupełnie o niej zapomniała, bawiąc się znakomicie.

Nazajutrz wybrali się w swoją „podróż przedślubną” do Wiednia. Gdzieś tam z tyłu głowy pojawiała się w ich głowach złowroga myśl. Jednak ją odsuwali, ciesząc się pierwszym wspólnym urlopem. Nigdy dotąd nie byli ze sobą tak długo.

Wiedeń przywitał ich słoneczną pogodą, magnoliami, bzami, wiosennymi zapachami licznych parków i ogrodów. Zamieszkali w luksusowym hotelu „Imperial” przy słynnej Ringstraße usytuowanym w pobliżu opery, do której nazajutrz się wybierali. Pomieszkiwało w nim wielu światowej sławy VIP-ów, takich jak królowa Elżbieta czy Michael Jackson. Gdy znaleźli się w pokoju doznali oszołomienia. Urządzony był wspaniałymi, drogocennymi antykami. Jego ściany były pokryte jedwabiem, a łazienka wyłożona marmurem.

— Boże drogi, gdzie my jesteśmy! — wykrzyknęła Lena, rozglądając się lękliwie i tracąc pewność siebie. — Nie, ja nie pasuję do takich luksusów.

— Co ty opowiadasz? Wyglądasz jak księżniczka i doskonale nadajesz się do takiego otoczenia — rzekł Waldemar, całując ją w usta. — Jesteś stworzona do luksusu.

Gdy weszli do sypialni, podniosła narzutę i ostrożnie dotknęła wspaniałego łoża. Puchowa kołdra, obleczone kwiecistym jedwabiem była delikatna i lekka niczym piórko. Chodziła po mieszkaniu i odkrywała coraz to nowe wspaniałości: białą i błyszczącą jak muszelka dużą umywalkę z połączanymi kurkami, miękkie, elastyczne i sprężyste fotele w salonie, wypolerowane szlachetne drzewo mebli. Wszystko we wspaniałej harmonii z wiosenną zielenią jedwabiu pokrywającego ściany.

Lena pochłaniała wzrokiem jaskrawy różnokolorowy bukiet w smukłym, kryształowym wazonie. Oczarowana nieśmiało skradała się do przeróżnych pięknych przedmiotów i dotykała ich delikatnie, z ciekawością, jednego po drugim, zatracając się w kolejnych zachwytach. Waldemar obserwował ją ze wzruszeniem, szczęśliwy, że sprawił jej tak ogromną przyjemność.

Na bilety do opery wydał sumę przeszło siedmiuset euro, żeby być jak najbliżej sceny. Bilety o przystępniejszych cenach trzeba tu było zamawiać z półrocznym wyprzedzeniem. Opłaciło się, bo było to dla nich wspaniałe przeżycie. Wiedeńska *Staatsoper* należy do kilku najlepszych w świecie scen



operowych. Występują w niej najślynniejsi śpiewacy i dyrygenci. Znali ich z filmów telewizyjnych, video i płyt. O zobaczeniu ich i usłyszeniu na żywo nie śmieli nigdy dotąd nawet marzyć.

Oszołomieni olśniewającym przepychem tego wspaniałego przybytku wielkiej muzy, będącym jednym wielkim dziełem sztuki, poczuli się jak bohaterowie filmu. Gdy weszli na wielką marmurową klatkę schodową, ozdobioną figurami siedmiu sztuk wyzwolonych oraz malarskimi alegoriami oper i baletu, nie wiedzieli, na co patrzeć. Podziwiali wykwintne foyer, obwieszone scenami z różnych oper, salę herbacianą wyłożoną jedwabnymi tkaninami, wspaniałe malowidła na ścianach i sufitach. Mieniło im się w oczach od barw i światła. A gdy zaczął się spektakl, zaparło im dech w piersi. Cudowne brzmienie orkiestry wykonującej uwerturę oładnęło nimi całkowicie. Gdy na scenie pojawił się najślynniejszy aktualnie tenor Jonas Kaufmann cała sala zatrzęsała się od owacji z frenetycznymi oklaskami i okrzykami. Już samo znalezienie się wśród owej publiczności stanowiło dla nich niezwykle przeżycie. Bili brawo tak mocno, że Lenę rozboleły ręce. Była to jej ulubiona opera, „Tosca” Pucciniego. Przez cały czas ze wzruszenia cisnęły się jej do oczu łzy. W czasie przerwy w entuzjastycznym nastroju wypili lampkę szampana na ogromnej werandzie bufetu, zadzierając głowę, by podziwiać fantastyczne malowidła na suficie.

Gdy wrócili do hotelu, spontanicznie padli sobie w ramiona. Całowali się namiętnie, zapamiętali. — Wiesz — szepnęła Lena Waldemarowi do ucha — kocham ten świat mocnych, uczuć, płynących wprost z serca, wyśpiewywanych całą piersią. Wydaje mi się, że jeśli ktoś nie zna opery, to nie wie, czym jest prawdziwa miłość.

Był to najpiękniejszy wieczór w ich życiu. A także noc następująca po nim. Romantyczna i wzruszająca. Usnęli dopiero nad ranem.

## Rozdział 37

W następnym dniu wybrali się na zwiedzanie miasta malowniczą białą dorożką, zwaną fiakrem, ciągniętą przez dwa białe konie z czerwonymi czapeczkami na uszach, której wąsaty właściciel w czarnym meloniku barwnie, ze swadą opowiadał o mijanych budynkach, wskazując je batem. Często go nie rozumieli, ponieważ — choć starał się mówić poprawnie — zapominał się i przechodził na wiedeński dialekt.

Z tego miasta przez sześćset pięćdziesiąt lat Habsburgowie panowali nad ogromnym i potężnym imperium. Cesarze Leopold I i Karol VI uczynili z Wiednia imponującą metropolię baroku ze wspaniałymi kościołami, pałacami i budynkami rządowymi. A Franciszek Józef uwolnił miasto z gorsetu wałów obronnych. Na tym obszarze powstał bulwar ulicy Ringstraße, przy którym usytuowane są najokazalsze budowle, takie jak Ratusz, Parlament, Uniwersytet Wiedeński, Teatr Zamkowy (*Burgtheater*), Opera Narodowa (*Staatsoper*), liczne muzea, w tym słynne *Kunsthistorisches Museum*. Jako pierwszy wzniesiono wspaniały neogotycki Kościół Wotywny (*Votivskirche*) w podziękowaniu za uratowanie życia cesarzowi podczas zamachu. Podziwiali te wspaniałe budowle i wiele innych, licznych w tym niezwykłym mieście.

Gdy dorożkarz umilkł, jakby chciał zaczerpnąć tchu, Lena spytała Waldemara:

— Znasz ten wiersz Gałczyńskiego: „Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń?”

— Oczywiście, to jeden z moich ulubionych. W liceum nauczyłem się go na pamięć — odpowiedział i natychmiast wyrecytował:

*Zapytajcie Artura,  
daję słowo: nie kłamię,  
ale było jak ulał  
sześć słów w tym telegramie:  
Zaczarowana dorożka,  
zaczarowany dorożkarz,  
zaczarowany koń.  
Cóż, według Ben Alego,  
czarnomistrza Krakowa,  
„to nie jest nic takiego  
dorożkę zaczarować,  
dosyć fiakrowi w oczy  
błysnąć specjalną broszką  
i już się zauroczył*

*dorożkarza z dorożką,  
ale koń — nie.  
Więc dzwonię:  
— Serwus, to pan Ben Ali?  
Czy to możliwe z koniem?  
— Nie, pana nabujali.  
Zadrzałem. Druga w nocy.  
Pocztylion stał jak pika.  
I urosły mi włosy  
do samego świecznika:  
Zaczarowana dorożka,  
zaczarowany dorożkarz,  
zaczarowany koń.  
Niedobrze. Serce. Głowa.  
W dodatku przez firankę:  
srebrne dachy Krakowa  
jak „secundum Joannem”,  
niżej gwiazdy i liście  
takie duże i małe.  
A może rzeczywiście  
zgodziłem, zapomniałem?  
Może chciałem za miasto?  
Człowiek pragnie podróży.  
Dryndziarz czekał i zasnął,  
sen mu wąsy wydłużył  
i go zaczarowali  
wiatr i noc, i Ben Ali?  
Zaczarowana dorożka,  
zaczarowany dorożkarz,  
zaczarowany koń.*

Ostanie słowa szepnął jej do ucha, po czym ją pocałował.

— Ależ ty masz pamięć! — wykrzyknęła z podziwem.

— W moim zawodzie muszę ją mieć — odpowiedział skromnie.

— Proszę mówić dalej — zwrócił się do dorożkarza, który natychmiast podjął swą okraszoną anegdotami opowieść.

Słuchając go, w milczeniu oglądali ciągnące się po obu stronach wspaniałe pałace, publiczne i prywatne budowle. Wszystkie imitowały style wcześniejszych epok, począwszy od antyku poprzez romańskie i gotyckie kościoły, renesans

i barok aż po mieszający różne style historyzm.

## Rozdział 38

W kolejnym dniu wybrali się w podróż w czasie do średniowiecza. Zaczęli od arcydzieła gotyku — przepięknej koronkowej katedry św. Szczepana, której budowę zaczęto w połowie XII wieku, stanowiącej dumę i jeden z symboli miasta. Słynie ona z licznych arcydzieł w dziejach malarstwa i grafiki. Jest najważniejszą i jedną z najstarszych świątyń w stolicy Austrii. Obeszli ją ze wszystkich stron, a następnie zwiedzili wewnątrz z przewodniczką, która objaśniała im wszystko, zapoznała z legendami i historią katedry, która została zbudowana w XIII wieku w stylu późnoromańskim, a następnie rozbudowywana od XIV do początku XVI wieku. Wówczas to otrzymała swą niepowtarzalną gotycką formę. Należy ona do największych świątyń europejskich. Ponad jej dachami wznoszą się cztery wieże: najwyższa z nich potocznie nazywana *Steffl* ma przeszło sto metrów wysokości, podczas gdy północna, której budowy nigdy nie ukończono, zaledwie około siedemdziesięciu. Zachodnią fasadę świątyni wieńczą jeszcze dwie wieże tej samej wysokości. Spośród dwudziestu dwóch dzwonów znajdujących się w owych wieżach najślawniejszy jest „Pummerin” o potężnym, poruszającym do głębi dźwięku.

Królujące tam piękno wywołało w nich olśnienie i poruszenie licznymi niezwykłymi dziełami sztuki gotyckiej oraz barokowej, zwłaszcza koronkową późnogotycką kazalnicą i barokowymi ołtarzami, przede wszystkim głównym, z przepięknymi witrażami i wspaniałym obrazem przedstawiającym męczeńską śmierć św. Szczepana, pierwszego męczennika w dziejach chrześcijaństwa. Zwiedzili też w podziemiach groby książąt z austriackiej linii Habsburgów i ważnych osobistości Austrii.

Po zakończeniu zwiedzania z przewodniczką ledwo znaleźli miejsce w obłożonych ławkach przed słynącą z cudów ikoną Maryi z dzieciątkiem, otoczoną wielkim kultem. Początkowo umieszczona była w ołtarzu głównym, lecz od czasu powojennej odbudowy katedry znajduje się pod późnogotyckim baldachimem ołtarzowym w południowej nawie, do której prowadzi główne wejście. Jest to część dostępna dla turystów za darmo, odgrodzona od całej świątyni metalową, ażurową balustradą, przez kraty której można coś niecoś zobaczyć z pozostałej części kościoła, dostępnej tylko za opłatą. Tłoczyli się przed nią turyści, chłonąc piękno tej potężnej, wysokiej katedry. Ponad balustradą można było wystarczająco wiele zobaczyć, by poddać się podniosłemu nastrojowi uwielbienia dla panującej w niej tęsknocie za absolutem, za dążeniem do absolutnego piękna.

Owa dawna ikona obrosła ciekawą tradycją i legendami. Namalowana została jako wotum dla greckokatolickiej cerkwi w Máriapócs (dawniej

węgierskie *Pócs*) we wschodnich Węgrzech. Od tego czasu czczona jest jako palladium, dzięki któremu arcyksiążę Eugeniusz Sabaudzki odniósł zwycięstwo nad Turkami pod Zentą. Na rozkaz cesarza Leopolda I została sprowadzona do Wiednia w tryumfalnej kilkumiesięcznej procesji, gdzie została uznana patronką miasta.

Obraz ten miał w sobie coś magicznego, co powodowało, że nie można było oderwać od niego oczu. Lena i Waldemar wpatrywali się w nią z przejęciem. Odczuwali nastrój unoszących się tu od wieków modłów i sami się do nich przyłączyli. Modlili się swoimi słowami, gdyż w modlitewnych formułkach ani on, ani ona, nie potrafili nawiązać kontaktu z Bogiem. Jednak w tym kościele panował niepodzielnie. Tutaj nie sposób było nie wierzyć w niego.

Lena gorliwie prosiła o umocnienie wiary i nadziei na uleczenie:

Boże, zaradź memu niedowiarstwu — powtarzała w duchu. — Obawiam się, że jak tylko wyjdę na zewnątrz i zmieszam się z tłumem turystów, to przestanę w Ciebie wierzyć. Utrwal we mnie tę wiarę i nadzieję, która mnie tu napełniła. Umocnij moje serce, wypełnij je ufnością. Zaradź mojej słabości i lękowi.

W kolejnych dniach pobytu kochankowie nieustrudzenie wędrowali malowniczymi uliczkami, podziwiając najstarsze w mieście kościoły i rzymskie fundamenty. Najciekawsze było dla nich zwiedzanie śladami Habsburgów. W labiryncie ich rezydencji można się było pogubić. Oszołomienia doznali w *Hofburgu*, z którego Habsburgowie rządili połową Europy, w pałacu *Belvedere*, w ich letniej siedzibie — pałacu *Schönbrunn*, w skarbcu, w Bibliotece Narodowej, stanowiącej arcydzieło sztuki barokowej, w Augustyńskim kościele książęcego dworu, gdzie odbywały się cesarskie śluby i gdzie przechowywane były ich serca.

Mit Habsburgów trwał tu nieprzerwanie. W księgarniach półki uginały się pod biografiami Marii Teresy, księcia Rudolfa i Sissi. Na wielu szyldach można było zauważyć napisy: „Hoflieferant” (dworski dostawca). Zwiedzili też oczywiście cesarski grobowiec pod kościołem Kapucynów, gdzie ze zdziwieniem zauważyli na sarkofagach świeże kwiaty.

Największe jednak wrażenie wywarła na nich galeria obrazów w *Kunsthistorisches Museum* — jednym z największych i najwspanialszych muzeów świata, którego zbiory stanowiły wynik pasji kolekcjonerskiej Habsburgów. Podziwiali dzieła tak wybitnych malarzy jak Breughel, Rubens, Rembrandt, Dürrer, Raffael, Tycjan, Tintoretto, Veronese, Caravaggio, Velazquez i wielu innych.

Podczas oglądania tych obrazów wrażliwej Lenie łzy wzruszenia cisnęły się do oczu, a w duszy drgały struny szczęścia.

— Oglądanie dzieł malarzy stanowiących typ artysty spontanicznie

afirmującego życie, nazwany „artystyczno-literackim” uzmysłowiło mi, że odrzucenie literatury w malarstwie i zabawianie się samą formą dzieła doprowadziło w sztuce do odduchowienia jej — zwrócił się do Leny Waldemar, gdy znużeni odpoczywali w muzealnej kawiarni, by się posilić. — Żaden z modernistycznych i późniejszych współczesnych malarzy nie oddziaływa na duszę, nie wzbudza takich uczuć, nie dostarcza takich doznań jak ci dawni. Nie sądzisz?

— Zgadza się. Jak najbardziej. Przeżyłam tu wiele wzruszeń. Jestem pełna budujących uczuć. I w ogóle... Zwiedzanie tego bogatego miasta w tak luksusowych warunkach odmieniło mnie, oszołomiło. Byłam w Wenecji, w Rzymie, zwiedziłam parę wspaniałych miast, ale zawsze w skromnych warunkach, nocowałam w tanich hotelach. A tutaj... Czuję się jak ktoś, kto przyzwyczajony do cichych skrzypiec i fletu, po raz pierwszy usłyszał gromkie tutti całej orkiestry. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem ci wdzięczna za ten wspaniały pobyt w tym zachwycającym mieście.

## Rozdział 39

Wieczory spędzali na koncertach. W tej europejskiej stolicy muzyki, mieście, w którym tworzyli trzej najsłynniejsi kompozytorzy wszechczasów: Haydn, Mozart i Beethovena, tak zwani wiedeńscy klasycy, trudno było zdecydować się, jaki koncert wybrać z licznych możliwości. Największe wrażenie zrobił na nich wieczór w *Musikverein*, gdzie występowała jedna z paru najsłynniejszych w świecie orkiestr symfonicznych. Lenę zauroczył też typowy wiedeński koncert dla turystów z utworami Mozarta i Straussa.

W muzeum Mozarta dowiedzieli się, dlaczego umarł w nędzy. Był hazardzistą, co przemilczane jest w jego biografiach. Jednak mimo wielu pokus do końca życia zachował wierność swej pierwszej miłości, którą poślubił wbrew sprzeciwowi dominującego ojca. Nie wiadomo, gdzie jest jego grób, ponieważ został pochowany w zbiorowej mogile. Kochankowie odwiedzili jego symboliczny grobowiec ze wspaniałym pomnikiem na Centralnym Cmentarzu — głównej, ogromnej nekropolii Wiednia, gdzie znajdują się wspaniałe grobowce wielu znamienitych postaci i osobistości, między innymi Beethovena, Schuberta, Straussa, prezydentów drugiej republiki i wielu innych sławnych ludzi, żyjących w Wiedniu. Wszystkie zachwycają pomnikami stanowiącymi wspaniałe dzieła sztuki, tak samo jak potężna cmentarna kaplica.

Spędzili czas dokładnie tak, jak to zaplanował Waldemar. Rozpierało ich poczucie szczęścia i radości życia, spotęgowane, gdy przebywali na łonie tamtejszej wspaniałej przyrody. Rozbuchana wiosna wzmogła czujność ich serc, otoczyła upajającym tchnieniem. Rozwijały się pąki liści, a białe, różowe i żółte kwiaty miały potulne płatki, posłuszne słońcu. Zapachy drażniły nozdrza, odurzając ciepłym uczuciem. W „pięknym modrym Dunaju” przeglądało się jak w zwierciadle piękno odradzającego się istnienia. Lena kochała naturę, lecz nigdy dotąd nie przyglądała się jej tak intensywnie, nie zatracala się tak głęboko w jej obserwacji. Patrzyła, patrzyła. Chłoneła ją całą sobą. W jej dwojgu olśnionych czarnych oczu zawierała się cała jej życiowa siła, oddzielona od własnego ja. Zapominała o sobie, o czasie. Całą duszą garnęła się ku pięknym widokom.

W znajdującym się w centrum stolicy Miejskim Parku Waldemar obfotografował ją we wszystkich możliwych pozycjach i miejscach. Najwięcej zdjęć zrobił przy słynnym, jednym z najchętniej fotografowanych obiektów na całym świecie, oblężonym głównie przez Japończyków, którzy go sobie



szczególnie upodobali. Największą chyba atrakcją tego parku stanowią właśnie marmurowe i brązowe pomniki oraz popiersia, między innymi Schuberta, Lehara, Antona Brucknera, malarza Hansa Makarta, i burmistrza Wiednia Andreama Zelinkę, pod rządami którego park ten został utworzony. Pod względem ich liczby i rzeźb park ten jest jednym z najbogatszych. Łąki, grządki, różnokolorowe klomby, egzotyczne drzewa i rozległy staw sprawiają, że miejsce to stanowi oazę zieleni w samym centrum miasta.

Lena przeżyła w nim emocjonującą zabawę: wrzucanie kawałków bułki wprost do dzióbków dzikich kaczek atakowanych z przeraźliwym krzykiem przez mewy odbierające im pokarm. Było to o tyle trudne, że te agresywne ptaki potrafiły rzucać się na biedne kaczki i wyjmować im nawet z dziobów okruchy. Wyrzucenie mowy czyhającej na kaczkę, którą chciała nakarmić, wymagało od niej koncentracji i zręczności.

Będąc po wpływie koncertów, podczas spacerów w Wiedeńskim Lasku, składającym się z potężnych liściastych drzew, nuciła walc „Opowieści Lasku Wiedeńskiego”, a podczas wycieczki statkiem po Dunaju „Nad pięknym modrym Dunajem”. Natomiast w lesie, w pobliskim *Gieshübl* brzmiała jej w uszach Symfonia Jowiszowa Mozarta, która kojarzyła się jej ze śpiewem ptaków wśród tych wspaniałych świerków i bujnych, rozłożystych górskich sosen ze szcoteczkowymi długimi igłami, gęsto pokrywających niezbyt wysokie góry.

W zaczynającym się niemal w środku miasta lesie *Lainzer Tiergarten*, w którym jesienią odbywają się polowania, po raz pierwszy zetknęła się, dosłownie na wyciągnięcie ręki, z całymi stadami dzików. Zachwyciła się jeleniem z ogromnym porożem, który przechadzał się wśród spacerowiczów i wprost z ich rąk zjadał wszystko, co mu podsuwali.

Niesamowitym przeżyciem było dla niej oglądanie róż w *Volksgarten* — jednym z licznych miejskich parków, położonym w samym centrum miasta, tuż przy Hofburgu. Jakże marne były te róże w Parku Śląskim! Tutaj poczuła się jak w siódmym niebie. Nie przypuszczała, że te jej ulubione kwiaty mogą być tak ogromne jak pięść olbrzyma i olśniewać całą gamą przeróżnych kolorów. Poza niebieskim i czarnym czarowały one wszystkimi możliwymi kolorami. Od białego, poprzez różne odcienie żółtego, herbacianego, pomarańczowego, blade-liliowego aż po fioletowy, od różowego poprzez coraz to intensywną czerwień aż do szkarłatnego, a każda miała inne kształty. Lena nie mogła się na nie napatrzeć.

— Sfotografuj jeszcze ten oryginalny kolor! — krzyczała raz po raz do Waldemara, który cieszył się, że sprawił jej tak wiele radości.

Zauroczenie i uwielbienie przepełniało radością jej duszę zapamiętałą w namiętnej zieleni i toni błękitnego nieba. Jej serce wypełniała nadzieja, ba, pewność, że wygra walkę z rakiem. Była zupełnie odmieniona. Nawet sen w tym wspaniałym hotelu był inny niż dotąd. Głębszy, narkotyczny. Całkowicie się w nim zatapiała. Po przebudzeniu musiała z samego dna nieznanego dotąd sennej głębi wydobyć pogrążone w niej zmysły. Z trudem, powoli, kawałek po kawałku, jak z przepastnej studni powracała do rzeczywistości. Nie miała poczucia czasu. Nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Dopiero po przytuleniu się do śpiącego jeszcze Waldemara, uzyskiwała pełną świadomość bajecznej rzeczywistości.

## Rozdział 40

W ostatnim dniu pobytu odbyli pożegnalną przechadzkę po ulicy *Graben*, głównej promenadzie, prowadzącej od *Stephansplatzu*, przez *Kohlmarkt* aż do rezydencji Habsburgów *Hofburgu*. Przy tej ulicy znajdowały się firmowe sklepy najslynniejsze domów światowej mody. Szli po zacienionej stronie, by nie narazić jasnej karnacji Leny na zaczerwienienie. Promienie słońca pieściły secesyjne kamienice po drugiej stronie. Z podziwem oglądali bogatą, artystyczną sztukaterię ich fasad. Od czasu do czasu zatrzymywali się przed wystawami sklepów.

Po drodze weszli do kościoła św. Piotra wypełnionego turystami. Była to pierwsza barokowa budowla Wiednia. Z zachwytem obejrzeni bogate freski na wnętrzu kopuły oraz imponujący ołtarz. Ze wszystkich stron aż kapało barokowymi złoceniami, co Lenie skojarzyło się z niebem, gdyż zetknęła się w dzieciństwie na lekcji religii z opinią, że jest ono złote, i tak to sobie od tego czasu wyobrażała.

Na rogu ulic *Graben* i *Kohlmarkt* zatrzymała się przed wystawą sklepu jubilerskiego *Cartier*. Wpatrywała się w platynowy pierścionek z brylantem. Całą jej istotę, ciało i duszę, przenikał wydobywający się z klejnotu promień. Wypełniała ją świetlista jasność i graniczące z euforią wzruszenie. Waldemar obserwował wyraz jej twarzy i po chwili zwrócił się do niej.

— Widzę, że nie możesz oderwać wzroku od tego pierścionka z brylantem, jakby był przeznaczony dla ciebie. Podaruję ci go, kochanie, żebyś miała pamiątkę z Wiednia.

— Oszalałeś? Masz pojęcie, ile on kosztuje? Tu nie ma nawet cen, bo są bająnskie.

— Zasługujesz na niego po tym, co wycierpiałeś w swoim krótkim życiu.

— Daj spokój. Wydałeś już tutaj majątek! Zachowujesz się jak milioner.

— Na co miałbym wydawać pieniądze, jak nie na ciebie. Wejdźmy. Musisz go mieć. To cię uszczęśliwi.

Zaśmiała się radośnie. — To pewne, że uszczęśliwiłoby mnie to. Jak najbardziej. Ale...

— Nie ma żadnego, ale — przerwał jej. — Wchodzimy. Pierścionek jest już twój.

— To po prostu... Nie mogę znaleźć słów podziękowania, mój ty książę z bajki.

Rzuciła mu się na szyję, nie zważając na przechodniów.

Gdy wyszli ze sklepu, postanowiła podziękować Bogu w pobliskim kościele świętego Michała, znajdującym się obok *Hofburgu*. Ta gotycka, stara świątynia

pochodziła z XIII wieku. Było tu zupełnie pusto, w odróżnieniu od innych zwiedzanych przez nich kościołów wypełnionych tłumami turystów. Usiedli naprzeciw późniejszego barokowego ołtarza udekorowanego figurami ewangelistów i aniołów. Lena wpatrywała się w niego długo, powtarzając w myśli: Gorące dzięki, jedyny Boże! Za Waldemara i jego bezwarunkową miłość, za ten nadzwyczajny pierścionek i w ogóle za cały ten cudowny pobyt w tym magicznym mieście... Z góry dziękuję ci za pokonanie raka, które z pewnością mi się uda.

Całą jej istotę przenikało uczucie niewyobrażalnego szczęścia. Wsłuchując się w dźwięki cichej, ledwo słyszalnej muzyki z taśmy, czuła, jak unosi się tam duch Haydna grającego jako siedemnastolatek na tamtejszych organach, a także Mozarta, po śmierci którego odbyło się w tym kościele prawykonanie jego *Requiem*.

Było jednak coś, co zakłócało jej euforyczny nastrój. Od dwu miesięcy nie miała okresu. Bardzo pragnęła dziecka, lecz obawiała się, że chemoterapia je zabije. Nie chciała jednak psuć Waldemarowi pobytu w Wiedniu. Powiedziała mu o tym dopiero, gdy wrócili do domu.

— Przede wszystkim musisz się upewnić, że to jest ciąża. Gdyby tak było, to oszalałbym z radości. Nie martw się na zapas, całkiem możliwe, że chemoterapia nie będzie konieczna. Może wystarczy radioterapia — uspokajał ją.

— Przypominam sobie, że profesor chyba coś o tym mówił, ale kiedy dowiedziałam się, że to rak, to nic już do mnie nie docierało. — Lena zamyśliła się przez chwilę. — Wiesz, naczytałam się wiele o przypadkach samoistnego pokonania raka i tak sobie myślę, że po tym upajającym pobycie w Wiedniu mój organizm go pokonał.

— To całkiem możliwe. Ja też słyszałem o takich przypadkach. Oby tak było. Życzę ci tego z całego sera. Musisz jutro poprosić lekarza, by zrobił USG. To nieszkodliwe badanie i od razu będziemy znali jego wynik. Może nie będziesz musiała poddawać się operacji.

— To jest teraz moje największe pragnienie — westchnęła Lena.

## Rozdział 41

Z samego rana oboje udali się do profesora Jelonka. Zdenerwowany Waldemar czekał w poczekalni. Chodził tam i z powrotem, gdyż nie mógł usiedzieć w miejscu. Drżał z lęku, że chemoterapia zabije dziecko. Myśli o śmierci Leny w ogóle do siebie nie dopuszczał.

Gdy ginekolog stwierdził ciążę, z jednej strony uradowana, a z drugiej zaniepokojona Lena spytała go, czy będzie musiała poddać się chemoterapii.

— Przecież mówiłem pani, że nowotwór ma zaledwie trzy milimetry. Usunie się go bez specjalnego uszczerbku piersi — tłumaczył jej spokojnie profesor. — Po czym przez pięć tygodni zastosuje się radioterapię polegającą na naświetlaniu tylko tego małego miejsca. Co pół roku będziemy przeprowadzać kontrolę. I to wszystko. Proszę się nie zamartwiać. Urodzi pani zdrowe dziecko.

— Naprawdę? To genialnie! — Zdawało się jej, że oszaleje z radości. — Może wyśmiej mnie pan profesor, ale... Mam takie przeczucie, że mój organizm samoistnie pokonał raka. Proszę mi zrobić USG.

Profesor spojrzął jej badawczo w oczy, wyraźnie zaskoczony. Zawahał się przez chwilę. — No... dobrze. Sprawdźmy, jeśli pani tak na tym zależy. Badanie jest nieinwazyjne i całkowicie bezpieczne.

Przeszli do pokoju, w którym było urządzenie. Po skończeniu badania Lena zauważyła, że profesor ma dziwny wyraz twarzy.

— Proszę się ubrać i wrócić do mnie — powiedział drżącym głosem, wychodząc.

Ubrała się błyskawicznie, w ogromnym napięciu, gdyż zaniepokoiła ją reakcja lekarza. Gdy weszła z powrotem do jego gabinetu, zauważyła, że jest błydy i roztrzęsiony.

— To nie mogła być pomyłka, pani miała nowotwór — rzekł z dziwnym wyrazem twarzy.

— Miałam? — Wytrzeszczyła na niego oczy. — Jak to? To znaczy, że nie mam?

— Dokładnie. To niebywałe! — krzyknął, obejmując ją serdecznie. — Ja chyba zwariuję! Pani jest zdrowa. Po nowotworze ani śladu! Słyszałem o takich przypadkach, lecz w swojej długiej praktyce nigdy się z czymś takim nie spotkałem. I trudno było mi uwierzyć, że to się zdarza. Dziękuję pani za to wspaniałe przeżycie!

Widząc reakcję wstrząśniętej Leny, rzekł:

— Proszę usiąść i uspokoić się.

Sam usiadł naprzeciw niej, za biurkiem. W tym momencie odezwała się jej komórka.

— Proszę odebrać. Proszę podzielić się wspaniałą wiadomością — powiedział profesor.

Dzwoniła Aneta.

— Jestem taka szczęśliwa, Leno! — Zaśmiała się krótko najradośniejszym tonem. — Żona Damiana ugięła się pod naporem jego prośb, zgodziła się na rozwód bez orzekania o winie stron. Poszło tak szybko, że wciąż nie mogę w to uwierzyć... — Cha, cha, cha — śmiała się pełną pierśią. — Weźmiemy ślub w Bazylice Mariackiej, bo oboje mieliśmy tylko śluby cywilne.

— O Boże! — Lena złapała się za serce. — Wyobraź sobie, że ja też znalazłam swoją drugą połowę — wykrztusiła ze ściśniętego z wrażenia gardła.

— A nie mówiłam, że w końcu trafisz na swojego?

— I też zamierzamy wziąć ślub w Bazylice Mariackiej. Ustalimy wspólny termin. To będzie coś... niewiarygodnie wspaniałego! — wykrzyknęła pełnym już głosem, otrząsając się z zaskoczenia. — Nie mogę teraz rozmawiać, zadzwonię później, bo spotkało mnie przed chwilą tak wielkie szczęście, że aż mi się kręci w głowie. Muszę się nim natychmiast podzielić z ukochanym.

— Dziękuję stokrotnie, panie profesorze — zwróciła się do lekarza. Do widzenia — podała mu rękę i na ugiętych nogach wyszła z gabinetu.

Czuła, jak serce gwałtownie tłucze się w jej piersi, a krew huczy w uszach i pulsuje w skroniach. Zdawało się jej, że za chwilę zemdleje pod wpływem euforii, jaka ją ogarnęła. Zachwiała się, lecz czekający na nią Waldemar podtrzymał ją i mocno przytulił. Przeraził się, że nowotwór rozrósł się w ciele ukochanej.

